



Agnieszka
Olszanowska

Listy z dziesiątej. WSI

Prószyński i S-ka

Agnieszka
Olszanowska

Listy z dziesiątej. WSI

Prószyński i S-ka

Copyright © Agnieszka Olszanowska, 2016

Projekt okładki

Agencja Interaktywna Studio Kreacji

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce

© Tatiana Mertsalova/Trevillion Images;

esdras700/Fotolia.com

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta

Grażyna Nawrocka

Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8097-666-5

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

www.proszynski.pl

CZEŚĆ I

Kukurydza

Babcia wyszła pomóc mamie doić krowy. Swoim siedmioletnim rozumkiem szybko przeliczam czas wolności, który właśnie mi podarowała. Wyliczenia mam bezbłędne.

– Zdążę! – zapewniam sama siebie i w podskokach biegnę do starej szafy, która w jednej z szuflad skrywa skarby. Zanim dostanę je w swoje rączki, muszę przewalić cały stos schludnie poskładanych stylonowych, nylonowych i jedwabnych chustek na głowę. Wreszcie mam! Te skarby. Zamknięte są w dużym pudełku po czekoladkach. Pośpiesznie zdejmuję pokrywkę, na której przepiękne róże zachwycają mnie urodą. Odkładam przykrywkę na bok i po chwili grzebania w pudełku wyciągam największą tajemnicę babci. Jak zwykle, przez dłuższy czas próbuję rozszyfrować gryzmoły, którymi zapisana jest poźółkła druga strona pocztówki. Wreszcie udaje mi się i na głos odczytuję:

24 V 1936 r.

Najmilsza panno Basiu!

W dniu Twego ślubu składam Ci szanowna Basiu najserdeczniejsze życzenia. Życzę Ci, aby Ciebie mąż, a Ty męża kochała. Zawsze szczęśliwa w majątek wzrastała. A z dziatek, których życzę Ci Basiu z Twoim, pociechę całe życie miała.

Dla milej Pani Cichej życzenia ślubne przesyła niedobry Stach.

Potem przez moment przypatruję się jeszcze obrazkowi, który zdobi przednią stronę pocztówki w kolorze sepia. Jest niezwykły. Widać na nim dwie urocze, może sześćioletnie dziewczynki siedzące na huśtawce. Mają kręcone włosy, krótkie białe sukienki i podkolanówki. Każda trzyma się swojego, obrośniętego bluszczem, sznura, na którym

umocowana jest deska huśtawki. Dziewczynki są roześmiane i spoglądają na siebie. W tle dostrzegam jeszcze zaczarowany ogród, pełen bluszczy i powoi. Wyobrażam sobie, że jest czarodziejskim ogrodem. Gdyby tak nie było, po co babcia tyle lat przechowywała tę starą pocztówkę? Przecież dziadek już nie żyje. Zmarł tuż przed moim urodzeniem.

Słyszę kroki w sieni. Szybko zbieram skarby do pudełka, które chowam pod stosem odświętnych chustek. Babcia już otwiera drzwi do izby, a ja, w ostatnim momencie, dopycham stale zacinającą się szufladę. I odskakuję od szafy, tak aby babcia się nie domyśliła, że znów tam grzebałam.

– Napijesz się mleka, Beatko? – Babci głos wypełniony jest miłością. Chociaż jeszcze mała, to jednak jestem tego pewna. Zresztą! Mnie wszyscy kochają.

Piję spienione mleko. Bardzo szybko i bardzo zachłannie. Tak jak tylko ja to potrafię. Gdy już w blaszanym garnuszku widać dno, ocieram wierzchem dłoni usta i zadaję babci niewinne pytanie.

– Babciu Basiu, a kim był ten niedobry Stach?

Babcia niecierpliwym gestem zabiera mi garnuszek i krzyczy, abym nigdy więcej nie ruszała jej szuflady. Potem siada na starej kozetce i wyciera oczy pełne łez.

– Stach? – pyta, jakby nie dosłyszała. – Stach? On właśnie umiera!
– Babcia wyciąga z kieszeni starego fartucha list. Trzyma go w dłoni, a łzy spływają jej po twarzy.

– Babciu! – chcę ją pocieszyć. – On umiera, bo był niedobry...

*

Walim, 29 czerwca 1991 r.

Droga Basiu!

Wiesz, jaki byłem zawsze dokładny i skrupulatny. Pamiętałem zawsze o każdym drobiazdku i każdą sprawę zamykałem na ostatni guzik. Ale jednej nie zamknąłem! I to mnie teraz dręczy! Co się stało z Twoimi listami, które wtedy, w tak dziwnych okolicznościach, zaginęły

razem z moimi pieniędzmi?

Najpierw uwierzyłem we wróżbę starej Cyganki. Te słowa były takie przekonywające: człowiek bez serca; jego imię – oznacza wiatr, jego nazwisko – to władza... Ale ten człowiek już dawno nie żyje. On był zły. Gdyby miał Twe listy, to na pewno coś złego by z nimi zrobił. Ale jego nie ma. I słuch o listach zaginął. A przecież jeszcze Cyganka powiedziała, że te listy uratują życie komuś, kogo bardzo kochasz... a potem wywróżyła mi wygnanie...

Basiu! Ja bardzo się boję, co jeszcze może wyniknąć z mojej głupoty, że tych listów nie upilnowałem. Żem w tak głupi sposób je stracił! Tobie one już nie zaszkodzą, bo Twój też nie żyje. Ale... ale martwię się o Twoją wnuszę Be-łatę. Sama mi powiedziałaś, że ją kochasz najbardziej na świecie... Co się z nią stanie, jeśli Twoje listy już nie istnieją?

Modłę się całą noc, aby przepowiednia Cyganki była blefem, wytworem mojej chorej wyobraźni. Tak! Chcę uważać, że wtedy, przez cały 1960 rok byłem wariatem, niepoczytalnym księdzem-zjawą, takim, co każdą bajkę za wróżbę brał. Może dobry Bóg się ulituje i mnie wysłucha? Może ochroni Cię, która cała jest Twoją miłością?

Idę już do Niego, Basiu. Kilka dni temu te białe konowały rozkroiły mnie, a potem zaraz zaszyły z powrotem. Powiedzieli, że mam tylko kilka tygodni, aby pożegnać najbliższych... Dlatego teraz właśnie żegnam Cię, droga Basiu. Tylko Ty byłaś mi tak bliska, chociaż jednocześnie daleka. Widocznie Bóg zdecydował, że tak musi być.

PS

Nie przyjeżdżaj na mój pogrzeb. Chcę, abyś pamiętała mnie dawnego: małego syna organisty z Dziesiątej Wsi, który przygrywał Ci na organach do kościelnego śpiewu.

Do zobaczenia.

Twój Niedobry Stach.

Odkładałam żółtą kartkę do koperty. Przez chwilę przebiegają w mojej pamięci różne stare obrazy. Jakaś pocztówka z życzeniami. Babcia zapłakana. Ona coś mówiła. Nie mogę sobie jednak przypomnieć co. Stanisław... Stach... Nie pamiętam go, chociaż data na liście wskazuje, że miałam wtedy ponad siedem lat. A jednak nie pamiętam. Może dlatego, że Bóg go nie wysłuchał? Nie ulitował się nade mną! Bóg mnie opuścił...

*

Bóg opuścił mnie na worku z mąką.
Tak. Dokładnie. To nie żart, nie kpina, tylko szara rzeczywistość.
Moja rzeczywistość.

Mój mąż był piekarzem. Jak go poznałam, właśnie skończył zawodówkę i podjął pracę w piekarni, gdzie wcześniej odbywał praktyki. Lubił swoją pracę. Zawsze powtarzał, że jak formuje bochenki chleba, bułeczki czy rogałe, to czuje się jak artysta. Tak! Michał miał w sobie coś z artysty. Najbardziej chyba fantazję. I właśnie z taką fantazją zdradził mnie w piekarni na zapleczu, na worku mąki. Oczywiście ja nic o tym nie wiedziałam. Ba! Ja nawet nie podejrzewałam go o zdradę! Nie miałam pojęcia, że miał nową koleżankę, przyslaną na staż przez urząd pracy. Nie wiedziałam, że ma na imię Marlina. I nie wiedziałam, że lubi seks w obłokach mącznego pyłu.

Ale się w końcu dowiedziałam!

Najpierw mąż wrócił w bardzo złym humorze z pracy. Nie położył się jak zwykle spać, tylko trzasnął drzwiami do kuchni i nie patrząc nawet na naszych synów jedzących w tym czasie śniadanie, poszedł do pokoju. Przez dłuższy czas nie wychodził z niego. Zdążyłam odprowadzić chłopców do szkoły, która na moje szczęście znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Wróciłam akurat w tym momencie, gdy Michał wychodził z pokoju. Przez ramię przewieszoną miał moją dużą podróżną torbę. Kupiłam ją przed pierwszym porodem, by do niej spakować wszystkie rzeczy potrzebne do szpitala. Teraz on miał tę torbę na ramieniu, a w ręce klucze od mieszkania.

Gdy zdejmowałam kurtkę, Michał rzucił klucze na blat stołu.

Pamiętam, że po zetknięciu się z leżącym tam nożem zabręczęzały. Nawet bardzo głośno. Potem bez słowa wyszedł z domu. I nie wrócił.

Czekałam.

Jeden dzień. Potem dwa dni. Potem trzy. Nie dzwonił. Nie odbierał moich telefonów. Nie dawał żadnego znaku życia. Kończyły mi się pieniądze z jego ostatniej wypłaty. Czwartego dnia nie wytrzymałam ciągłych pytań chłopców:

– Kiedy tata wróci?

– Gdzie jest tata?

Czwartego dnia odprowadziłam chłopców do szkoły, wróciłam do domu i zaczęłam czegoś szukać. Nie wiedziałam czego, ale instynkt podpowiadał mi, że mam szukać. I znalazłam. W chlebaku leżały okruchy starego chleba i torebka, w którą był zapakowany. Była tam też karteczka z adresem i numerem telefonu piekarni, gdzie ostatnio pracował Michał. Wahałam się przez moment, a potem zadzwoniłam.

Odebrała szefowa. Zapytałam, czy może wie, co się dzieje z moim mężem, bo po pracy nie wraca do domu i nie odbiera moich telefonów. A ja coraz bardziej martwię się o niego.

– Pani mąż już tu nie pracuje – odpowiedziała ta kobieta. – Zwolnił się cztery dni temu na własne żądanie.

– To niemożliwe! – krzyknęłam i usiadłam na krześle, a nogi miałam jak z waty.

– Przykro mi, ale tak to wygląda. – Kobieta mówiła bardzo zdenerwowanym głosem. – Może nie powinnam tego pani mówić – kontynuowała – ale kilka dni temu przyłapałam pani męża z nową stażystką na worku mąki w intymnej, nawet bardzo intymnej – powtórzyła – sytuacji. – Kobieta nie dawała mi dojść do słowa. Może chciała wszystko z siebie wywalić, mówiła bardzo głośno i bardzo szybko.

– Oczywiście dziewczynę od razu wywaliłam na zbity pysk i jeszcze zadzwoniłam do urzędu pracy, aby mi więcej takich kurew nie podsyłali. A pani mężowi zwróciłam uwagę, że jak na męża i ojca trochę za bardzo się zapomniał! Niestety, chyba zapomniał się jeszcze bardziej... Gdy dowiedział się, że Marlenę wywaliłam na bruk, przyszedł do mnie do biura, rzucił mi wypowiedzenie i bez słowa

wyszedł! – Kobieta zamilkła. Ja też milczałam. Cisza się przedłużała. Więc ona na zakończenie jeszcze raz przeprosiła mnie i zapewniła, jak jest jej bardzo przykro, ale musiała mi o tym powiedzieć, skoro mój mąż wyszedł bez słowa i do tej pory nie wrócił. Być może ma to jakiś związek z tą całą aferą. Być może... I rozłączyła się.

Miało. Po miesiącu poszukiwań Michała, kiedy już i policja go szukała, i cała nasza mała Osada oblepiona była jego zdjęciami, zadzwonił do swojej matki i powiedział, że jest w Anglii. Ma nową miłość. I do Polski nie zamierza na razie wracać. O tym, czy zamierza płacić alimenty na naszych synów, teściowa nic mi nie wspomniała. Być może sama tego nie wiedziała.

W taki sposób zostałam sama. Bez pracy. Z grzybem na ścianach w gminnym „czworaku”. Nie! Nie byłam sama! Razem ze mną zostali nasi synowie, Patryk i Konrad, którym nie miałam za co kupić jeść. Po dwóch miesiącach nie pytali mnie już, gdzie jest tata, ale kiedy będzie mięso na obiad. I wtedy naprawdę poczułam, że Bóg mnie opuścił.

*

Zrozpaczona szukałam pracy, biegałam po zasiłki do GOPS-u, a nocami gryzłam poduszkę, aby chłopcy nie słyszeli, jak wyję z żalu. Pracę czasami miałam, ale tylko dorywczą. Myłam okna starszym sąsiadkom, sprzątałam. Potem rwałam truskawki na plantacji u znajomego rolnika. Opieka dała mi kilka jednorazowych zasiłków, ale, jak mówiły pracujące tam panie, powinnam odszukać męża i zmusić go do płacenia alimentów. Łatwo powiedzieć, prawda?

Produkty spożywcze i środki czystości brałam w pobliskim sklepie na kreskę. Właściciel dawał mi je po długich zapewnieniach, że jak coś dostanę z opieki, to ureguluję długi. Cała Osada litowała się nad nami. Dotąd żaden facet, nawet najgorszy menel spod sklepu, tak nie załatwił swojej rodziny.

– Żeby uciec do Anglii? Zostawić żonę i dzieci bez grosza przy duszy? I do tego z kochanką? Tego jeszcze u nas nie było! – dziwili się wszyscy. – Wszystko przez tę Unię! Gdyby nie te otwarte granice, chłop by się opamiętał i rodziny nie porzucił!

Nie wiem, czyby się opamiętał, ale już wiedziałam, iż odszukanie

go będzie graniczyło prawie z cudem. Teściowa i cała jego rodzina szła w zaparte. Wszyscy przysięgali, że nie wiedzą, gdzie ani z kim on tam jest. Mijały miesiące, a ja nie dostałam od niego ani grosza. Długi rosły coraz większe, mieszkanie było coraz bardziej zagrzybione, a ja stałam się lekomanką. Za ostatnie pieniądze kupowałam Apap Extra, Panadol, Upsarin C i inne tego typu środki i łykałam je kilka razy dziennie, aby nie czuć bólu głowy, bólu pleców i bólu życia. Nikt o tym nie wiedział i pewnie byłam na najlepszej drodze do jakiegoś zatrucia lub zaćpania się, gdy któregoś dnia, chyba zaraz na początku wakacji, usłyszałam w radiu, że pewna znana aktorka zmarła w swej luksusowej rezydencji. Nie byłam jej szczególną wielbicielką, nie. Ale przeżyłam szok, gdy media podały, że jej serce nie wytrzymało leków przeciwbólowych, które podobno od wielu lat regularnie zażywała. Wtedy, nie mając poduszki pod ręką, zaczęłam po prostu wyć na głos. Z rozpacz. I ze strachu, że i ja tak skończę jak ta aktorka.

Patryk, nie mogąc mnie uspokoić, pobiegł do sąsiadki, nam już wyłączyli telefon za niepłacenie rachunków, i od niej zadzwonił do mojego brata Kuby, by coś zrobił. Mój syn uważał, że chyba zwariowałam, a on nie chciał trafić do domu dziecka.

Tak. Mój dziesięcioletni zaledwie syn uratował mi życie. I śmierć znanej aktorki też mi je uratowała. Ale zanim zdałam sobie z tego sprawę, mój brat przyjechał z portfelem wypchanym stówami, które miał za ostatnią sprzedaną krowę. I tymi stówami spłacił moje „kreski” w miejscowym sklepie. Potem pomógł nam się spakować i jeszcze tego dnia, zanim odbył się głośny na cały świat pogrzeb hollywoodzkiej gwiazdy, wróciłam do rodzinnego Zwierzyńca.

Nie. To nie ja wróciłam. Kuba wrócił i przywiózł ze sobą dwóch małych siostrzeńców i siostrę, która była jednym wielkim wrakiem człowieka.

*

Po jedenastu latach wróciłam do rodzinnego domu. Rozbita, znerwicowana i niepewna nawet nie jutra, ale tego, co wydarzy się za godzinę lub dwie. Gdyby dawniej ktoś mi powiedział, że tak skończy się moje małżeństwo z Michałem, to zwymyślałabym go, że jest wredny

i zazdrosny. A jednak życia nie da się przewidzieć!

Michała poznałam, gdy byłam u sióstr na praktykach. To było w wakacje. Właśnie wtedy skończyłam trzecią klasę technikum ogrodniczego i mieliśmy miesięczne praktyki w ogrodach sióstr zakonnych w niedalekiej Osadzie. Dojeżdżałam codziennie do Osady porannym autobusem i pierwsze kroki kierowałam do piekarni. Tam kupowałam słodkie bułeczki z makiem, bo to, co siostry dawały nam na przekąskę, nie zawsze mi smakowało i na wszelki wypadek miałam swoją wałówkę. Właśnie tam, w tej piekarni, pracował Michał. Wchodziłam do środka i bardzo powoli wybierałam bułki, a on wychodził z zaplecza i równie powoli układał chleb, bułki i inne pieczywo na półkach. I tak, przez te poranne pięć minut, zakochałam się. Michał chyba też. Po dwóch tygodniach, gdy właśnie z koleżanką pieliliśmy marchew przy białym parkanie, oddzielającym ogród zakonnicy od ulicy, z drugiej strony muru usłyszałam nawoływanie:

– Beata! Beata! Słyszysz?

Do tej pory nie wiem, skąd wiedział, jak mam na imię. Ale nie miałam wątpliwości, że głos należał do niego. Podeszłam do parkanu i powiedziałam, że słyszę. Zaproponował, że będzie czekał na mnie przy bramie, którą wychodziłyśmy z klasztornego ogrodu. Zgodziłam się. Na pierwszą randkę umówiłam się przez mur zakonnego parkanu. Nawet nie widziałam wtedy jego twarzy. Ale wiedziałam, że to jest Ten On – Moja Miłość.

Czekał przed bramą. Nieśmiało pocałował mnie w policzek i przedstawił się. Nazywał się Michał Wesołowski. Był szalenie przystojny. Tak mi się wtedy wydawało. Innym chyba też, skoro później sporo przecież młodsza dziewczyna oddała mu się na worku mąki! Ale wtedy, kilkanaście lat temu, zakochał się właśnie we mnie. W Beacie Cichej ze Zwierzyńca.

Byliśmy parą aż do końca mojej szkoły. A potem, zaraz na początku lipca, było wesele na sto dwadzieścia osób. Miałam welon, białą suknię, bukiet z niebieskich margerytek i sesję zdjęciową w Żelazowej Woli. Wszystko miałam! I wszystko diabli wzięli!

Po ślubie przeprowadziłam się do Osady, gdzie Michał mieszkał w gminnych czworakach blisko piekarni. Mieliśmy mieszkać tam tylko

przez jakiś czas. Lokal był w fatalnym stanie, dwa ponure pomieszczenia co pół roku malowałam, aby ukryć czarnego, śmierdzącego grzyba, który i tak wyłaził, gdy tylko przychodził pierwszy zimowy mróz. „Łazienkę” Michał zrobił w kącie korytarza, za plastikową zasłonką. Mieścił się tam zaledwie sedes, umywalka i pralka. Myliśmy się w dużej dziecięcej wanience. Jak wspomniałam, mieszkanie miało być tylko na chwilę. Nawet się tam nie zameldowałam, co potem zarzuciły mi panie z GOPS-u. Faktycznie, ja i chłopcy byliśmy zameldowani w Zwierzyńcu, a Michał u swoich rodziców mieszkających niedaleko Osady.

Z chwili zrobiło się jedenaście lat, a my niczego lepszego się nie dorobiliśmy. Fakt, tylko Michał pracował, a ja zajmowałam się domem i chłopcami. Zresztą sama nie wiem, dlaczego tak naprawdę nie pracowałam. Może bałam się wymagających pracodawców, którymi straszyły mnie wszystkie moje koleżanki? A może po prostu za bardzo zaufałam Michałowi powtarzającemu ciągle, że mało dość i dużo dość.

Tak więc na koniec zostałam sama z tym mało dość i wtedy okazało się, że mało to jednak jest mało albo jeszcze mniej. Bez miłości, męża, pieniędzy, za to z głębokimi lękami, byłam wrakiem trzydziestoletniej kobiety. Gdyby nie pomoc brata, zapewne panie z opieki społecznej zabrałyby mi dzieci. Czułam się całkowicie bezradna. Po prostu wrak.

*

Zwierzyniec do pierwszej wojny światowej stanowił część Starszego Folwarku. Swą nazwę otrzymał nie przypadkiem, bo w tej oddalonej o pół kilometra od Starszego Folwarku wsi były zabudowania gospodarskie. Tam trzymano krowy, świnie, konie, owce i drób w oddzielnych kurnikach. Dobre to było miejsce dla zwierząt, niedaleko obór Sucha Nida miała swój bród, po którym parobkowie łatwo mogli przeganiać zwierzęta na rozległe pastwiska z drugiej strony rzeki. A i tutaj zwierzaki pojono, co ułatwiało pracę ludziom, nie musieli w cebrach wody do koryt nosić. I tak od tej trzody część wsi nad rzeką, a nieopodal małego lasu, nazwano Zwierzyńcem.

Podczas pierwszej wojny Zwierzyniec cały spłonął, po uprzednim

wyrznięciu przez wojsko wszystkiego, co jeszcze żyło w oborach. Ale nikt nie odważył się powiedzieć, kto te obory spalił: Niemcy czy Ruskie. A może to okoliczni chłopci sami dokonali rzezi zwierząt, a na wojsko winę zwalili? Nikt tego teraz nie wie. Zresztą sam dwór też poszedł z dymem, ocalały jedynie zabudowania w Starszym Folwarku, dom Zarządcy i ogromne wiaty na maszyny.

Po wojnie część ziemi należącej do Starszego Folwarku dziedzic rozparcelował i okoliczni chłopci nabyli ją od niego, biorąc pożyczki specjalnie na ten cel w bankach dawane. Resztę majątku zapisał przed śmiercią Zefirynowi Zarządcy, który przez wiele lat był sąsiadem moich dziadków.

Moi i Kuby pradziadkowie sprowadzili się do Zwierzyńca z Księstwa Łowickiego. Ziemia nad rzeką, na całkowitym odludziu, bardzo im się spodobała. Wcześniej w Księstwie żyli na tak gęsto zabudowanej wsi, że jak gospodynie obiad gotowały, to przez okno jedna drugiej sól podawała. A oni, ci nasi pradziadkowie, spokoju pragnęli na stare lata i dla mojego dziadka kawał ziemi w Zwierzyńcu kupili.

Dom drewniany z bali modrzewiowych wybudowali i zaraz się do niego sprowadzili, ale długo się spokojem nie nacieszyli. Podczas drugiej wojny światowej oboje zmarli, a pożyczkę, co na zakup ziemi zaciągnęli, potem część dziadek spłacał, a część po wojnie umorzono. Nasz tata urodził się już w Zwierzyńcu. Ja i Kuba też. W tym domu, który pradziadkowie z modrzewiowego drewna wybudowali, bardzo często dzieci się rodziły. Jakoś tak się złożyło, że i nasza mama do szpitala nigdy zdążyć nie mogła i w domu porody ją zastawały.

W latach osiemdziesiątych tym razem nasi rodzice pożyczkę wzięli i nowy, murowany z pustaków i czerwonej cegły, dom wybudowali, typowo peerelowski koszmarek, jak to teraz esteci mówią. Dom ma bardzo prostą konstrukcję, jedenaście na dziewięć, piętrowa prosta bryła, z dużym poddaszem pod dwuspadowym dachem z eternitu. Żadnych balkonów, tarasów i tak teraz modnych lukarn. Jedna z naszych zawistnych sąsiadek, gdy budowa zbliżała się do końca, powiedziała, że Cisi wielką budę dla psa postawili, a nie dom. Trochę racji w swej zawiści miała, ale ja dom w Zwierzyńcu bardzo kochałam. Być może

czułam, że lepszego już nie będę miała. Być może.

*

Kuba niszczył Zwierzyniec! Co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Gdzieś w połowie lipca, gdy już jako tako zadomowiłam się z chłopcami w części domu, która przecież należała mi się po rodzicach, wybrałam się na dłuższy spacer. Chłopcy pojechali z moim bratem na zakupy do hipermarketu. Mnie ze sobą nie zabrali. To miał być taki męski wypad. Po zakupach zamierzali iść na hamburgery, pooglądać rolki i quady. Kuba obiecał chłopcom, że może kiedyś kupi im quada. A na początek rolki. Tak, odkąd Michał nas opuścił, Kuba wczuwał się w rolę wujka. Byłam mu za to wdzięczna, co nie zmieniało faktu, że spustoszenia, jakie poczynił w naszym wspólnym spadku, były porażające.

Wyciął wszystkie drzewa rosnące wokół zabudowań gospodarczych i domu. Nie ocalało nic. Chyba byłam w szoku, gdy nas tu przywiózł. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz zaczęło mi ich brakować.

Nie było już starych lip za oborą. Przy stodole nie rosły kosztele i kronsunki ani wiśnie szklanki. A za domem smutno bieleły się pieńki po orzechach włoskich, które z taką dumą nasza mama pielęgnowała przez ostatnich dwadzieścia lat. Nawet maliny, porzeczki i agrest podzieliły los drzew – zostały wycięte, wytrzebione i zapewne spalone w piecu ogrzewającym dom. Byłam tym wszystkim przerażona. Zwierzyniec był pusty i obdarty. Zabudowania stały bezbronne niczym nagi człowiek. A na miejscu drzew wyrosła zniechęcona przeze mnie kukurydza.

Najpierw przecierałam oczy z niedowierzania, ale naprawdę Kuba pod same mury zabudowań gospodarskich nasiał kukurydzy! Całe piętnaście hektarów ziemi obsiał kukurydzą. Kukurydza rosła wszędzie. Za stodołą, przy oborze, za domem, wokół wiat i szop. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak on to zdołał zrobić. W wąskich miejscach chyba musiał dosiewać ją ręcznie, przecież żaden siewnik pomiędzy zabudowaniami nie mógł się zmieścić. Jedynie podwórko było wolne od tej cholernej kukurydzy. I oczywiście wąski pas drogi dojazdowej od szosy. A tak to gdziekolwiek spojrzalam, tam rosła kukurydza! Czułam

się, jakbym mieszkała w kukurydzianym lesie albo buszu. Tak, busz to najlepsze słowo na kukurydzianą inwazję. Dziękowałam Bogu, że chłopcy są już na tyle duzi, że nie przyjdzie im pomysł na chowanie się w kukurydzy, bo małe dziecko natychmiast mogło w niej zabłądzić.

W całym Zwierzyńcu nie było już miejsca ani na warzywa, ani na kwiaty. O najmniejszym nawet drzewku nie było też mowy. Kuba nienawidził drzew. Dlaczego? Mogłam się tylko domyślać, ale wersję oficjalną miał taką.

– Tylko kukurydza się teraz opłaca! – tłumaczył mi podniesionym głosem. – Tylko za nią można dostać jakieś grosze! Więc koniec z żytkiem, owsikiem, mieszankami, trawami, pastwiskami, krówkami i świneczkami! Rozumiesz? Koniec z tą drobnicą. Jak jesteśmy w Unii, to teraz trzeba nastawić się na jedno, a nie rozdrabniać. Ja wybrałem kukurydzę!

– I dlatego zniszczyłeś wszystkie drzewa, krzewy i kwiaty, co?
– płakałam z żalu.

– Z tego wszystkiego kasy nie było! – Zdenerwował się. – Teraz kasa jest najważniejsza. Prawda, pani mężatko nie mężatko? – dociął mi ostro, aż podniosłam się z krzesła i wyszłam na dwór.

No tak. Na razie byłam na jego utrzymaniu i moi synowie też. Michał nadal nie dawał znaku życia, a teściowa tylko od czasu do czasu podsyłała nam kilka złotych. Kuba miał pieniądze i Kuba rządził, a ja mogłam jedynie płakać z tęsknoty za wyciętymi drzewami, krzakami i nienawidzić kukurydzy i męża, który mnie porzucił. Tylko tyle mi zostało. A, i powinnam wreszcie znaleźć jakąś pracę, bo teściowa ostatnio odgrażała się, że złoży pozew do sądu rodzinnego o pozbawienie mnie praw rodzicielskich i ustalenie opieki nad wnukami. Skoro jestem niezaradna życiowo, nie mam żadnej pracy i oczekuję od niej pieniędzy, to ona woli, aby Patryk i Konrad zamieszkali z nią. Tak że miałam większe kłopoty niż wycięcie przez Kubę drzew.

O tych kłopotach rozmyślałam, gdy szłam w stronę lasu. Lasu Kuba jeszcze nie wyciął. Musiałby otrzymać pozwolenie z nadleśnictwa. Chyba mu się nie opłacało likwidować lasu, ponieważ rósł na piachach, na ziemi szóstej klasy. A na piaszczystej ziemi raczej kukurydza się nie udaje, dlatego las ocalał, a razem z nim ocalały moje wspomnienia.

Chociaż kto wie, czy nie lepiej byłoby, gdybym tak jak Kuba nienawidziła drzew? Kto wie?

Las rósł za rzeką. Od rzeki oddzielały go kiedyś malownicze łąki. Teraz oczywiście łąk nie było, tam też rosła, wysoka aż do czubka mojego nosa, kukurydza. Aby dotrzeć do lasu, musiałam przedzierać się przez nią, co raczej nie było miłe, jej ostre liście trochę mnie raniły, a zawiązujące się kolby łaskotały brązowymi czuprynkami w odsłonięte części ciała. Coraz bardziej nienawidziłam kukurydzy! Prawie tak jak Michała.

Gdy weszłam do lasu, Michał odżył w moich dobrych wspomnieniach. Szłam pomiędzy drzewami i dotykałam ich pni. Płakałam, wspominając. Przecież większość z nich była świadkami naszej miłości. Dotykałam kory tych drzew, o które oparci całowaliśmy się. Nie potrafiłabym powiedzieć, czy w tym lesie było drzewo, pod którym nie kwitła kiedyś nasza miłość. Nie wiem, czy było takie.

Kiedy Michał przyjeżdżał do mnie, w lecie czy w zimie, przychodziliśmy tu i jak wariaci ganialiśmy się po lesie. Michał zamykał mnie w swoich objęciach opartą o pień drzewa. A potem długo i namiętnie całował. Tak było za każdym razem. Wiosną i latem leżeliśmy na zielonym mchu, a jesienią na dywanie różnobarwnych liści.

Ten las, gdyby potrafił mówić, powiedziałyby wiele... – tak mawiał mój tata. I miał rację, bo odkąd w Zwierzyńcu zaczęły dorastać dzieci, w tym lesie zawsze kwitła miłość, ale jaka piękna! Nigdy nikt tam nie znalazł wyrzuconej prezerwatywy, a przecież tata bardzo rozglądał się, gdy tu przychodził. I nigdy niczego nie znalazł. Dziadek zresztą też nie.

Usiadłam pod lipą, na której ostrym scyzorykiem Michał wyciął inicjały:

M+B=WM Michał plus Beata równa się Wielka Miłość.

Kora zabiłżniła się przez te lata, ale litery były nadal czytelne. Pamiętam dobrze, krzyczałam wtedy na Michała, by nie niszczył drzewa. Serce mi się ścisnęło, gdy je kaleczył, ale on tylko śmiał się i tłumaczył, że znak naszej wiecznej miłości powinien tu zostać, i po chwili nasze inicjały bieliły się na skaleczonym pniu. Wielka Miłość, Wieczna Miłość umarła, a ślad po niej został. Dotykałam tych głębokich rowków na pokaleczonej lipie. Potem szeptałam:

– Michale? Gdzie jest ta nasza Wielka i Wieczna Miłość? No, gdzie? – W odpowiedzi nie usłyszałam jego głosu, jedynie szum drzew nad głową. Las płakał razem ze mną. Dlatego kochałam drzewa.

Postanowiłam iść dalej. W uszach wciąż słyszałam łagodny szum drzew oraz wyrzuty mojej teściowej:

– Czy ty się dziwisz, że Michał od ciebie odszedł? Przecież wcale o niego nie dbałaś! Karmiłaś go tylko makaronem z truskawkami. Lato czy zima u was na stole wciąż były truskawki! – Teściowa nie kryła swej złości. – To i nic dziwnego, że wreszcie miał dość! Sam zarabiał, a ty jak księżniczka siedziałaś sobie w domu. Nic dziwnego, że gdy poznał prawdziwą kobietę, taką z krwi i kości, to cię porzucił! O!

Nie powiedziałam teściowej, dlaczego truskawki były u nas o każdej porze roku. Nie potrafiłam. Być może nigdy by ich nie wzięła do ust, gdybym powiedziała, co jej syn naprawdę z nimi robił... Co my z nimi robiliśmy... – poprawiłam się w myślach. Wyszłam z lasu i dalej szłam przed siebie. Kiedyś była tu ścieżka, a teraz nie było jej widać. Zielsko ją zarosło. Na ten widok zrobiło mi się jeszcze ciężiej na sercu. Tyle lat mnie tu nie było. Powinnam wrócić do Zwierzyńca, ale ostatecznie postanowiłam zobaczyć, jak wygląda Stary Park przy domu Zarządcy. Kiedyś tą ścieżką chodziłam codziennie do oddalonego o trzy kilometry przystanku autobusowego. Boże, jak to było dawno temu! Całe wieki.

Ścieżka zarosła. Widocznie byłam ostatnią osobą, która nią chodziła. Kuba wtedy uczył się w Warszawie i mieszkał w internacie przy technikum kolejowym. Zawsze się z niego śmiałam, że się w końcu wykolei. A teraz okazało się, że on mocno trzyma się szyn życia, a ja z nich wyleciałam. Cóż, po prostu zwykła ironia losu.

Plątałam się w długich i ostrych odnogach jeżyn i dzikich róż, które nie wiadomo skąd tam się rozrosły. Natura jest naprawdę dzika i nieprzewidywalna, jeśli tylko człowiek zostawi ją samą sobie. Minęło zaledwie jedenaście lat od skończenia przeze mnie technikum, a ścieżki już nie ma! Gdybym nie znała tego miejsca na pamięć, nie potrafiłabym teraz dojść do Starego Parku.

Tylko po co ja tam właściwie idę? – zastanawiałam się przez chwilę. Nigdy tam nie zabierałam Michała. To było miejsce zakłete.

Tylko ja je znałam. Hm, i Kuba też trochę. I Szymon Zarządca. Ale on do parku rzadko zaglądał. Nie dbał o tę część gospodarstwa. Z niewiadomych powodów Stary Park zostawił na łasce losu i nie próbował go ani karczować, ani uprawiać. Czasami tylko wypasał w nim krowy. W dzieciństwie park mogłam uważać za własny. I tak też robiłam.

Gospodarstwo Zarządcy oddalone było od Zwierzyńca o pół kilometra, oczywiście gdy się szło na skróty, czyli moją ścieżką. Zwykłą drogą, by dostać się do niego, należałoby jechać dookoła koło szkoły podstawowej i przejechać przez rzekę dużym mostem. Jak nic byłoby ze dwa kilometry. Czasami skróty są korzystne, szczególnie gdy po drodze mija się tyle cudownych miejsc. Choćby takich jak Czarny Staw. Byłam już niedaleko od niego. Zeszłam z dawnej ścieżki. Nogi mi krwawiły pokaleczone kolcami jeżyn. Weszłam w wysoki owies, który aż się prosił, aby go zżąć, już tak był dojrzały.

Hm, owies? Czyżby Kuba nie rozpropagował mody na kukurydzę w całej okolicy? A czyj jest ten owies? – zastanawiałam się, rozkoszując się jego zapachem. Wnętrzem dłoni dotykałam złocistych i ciężkich kłosów. Przesuwałam w palcach ziarna niczym paciorki różańca. Kiedyś ten kawałek pola należał do Zarządcy. Przypomni mi się Szymon Zarządca. Nie żył już od kilku lat. Nie byłam na jego pogrzebie. Właściwie od dnia ślubu z Michałem rzadko przyjeżdżałam do Zwierzyńca. Tata nie lubił mojego męża i nawet nie próbował się z tym kryć. Od początku zarzucał mu czyhanie na majątek. Nie mogłam zrozumieć, o co wtedy tacie chodziło. Michał ożenił się ze mną z wielkiej miłości i nigdy nie wspominał... do momentu śmierci moich rodziców nie wspominał, że powinnam coś od nich dostać, skoro wyprowadziłam się z domu. Dopiero po ich śmierci zaczął mnie buntować przeciwko Kubie. Twierdził, że należy mi się spadek albo spłata. Wszystko jedno co, byle dużo...

Nie wiedziałam, kto po śmierci Szymona Zarządcy, który umarł bezpotomnie, przejął Starszy Folwark. Ktoś jednak musiał, skoro pole nie zarosło zielskiem, tylko złociło się dojrzałym owsem. Po powrocie do domu zapytał Kubę, kim jest nasz sąsiad. Tak postanowiłam, a potem wyrwałam łodygę owsa i trzymając ją w dłoniach, doszłam do

Czarnego Stawu, a może raczej do tego, co z niego zostało.

Zostało niewiele. Tylko owalne bajorko, które za moich dobrych czasów lśniło czarną wodą. Wynurzały się z niej połamane przez wiatr gałęzie olszyny, która gęsto porastała brzeg stawu. Od gnijących liści woda w stawie była czarna i bardzo tajemnicza, bo tak naprawdę nikt nigdy nie sprawdził, jak głęboka jest jego toń. Kiedy z Kubą patrzyliśmy w wodę i próbowaliśmy dostrzec dno, widzieliśmy jedynie niezgłębioną czerń. Tajemnicą dla nas było, czy w stawie są ryby. Kuba był wielkim rybiarzem, tak na niego mówili rodzice, i w każdym bajorze wypatrywał ryb. Oczywiście w wiadomych celach – aby je złowić, ogłuszyć, wypatroszyć, usmażyć na smalcu i zjeść. Był czas, gdy dzięki wędkarskim zdolnościom Kuby prawie codziennie na kolację jedliśmy smażone płotki, małe szczupaki, liny, a czasami i piskorze. Wszystkie pachniały błotem i szlamem. Ale były pyszne. Pachniały beztroskim dzieciństwem.

A teraz bajorko zieleniło się z daleka. Podeszłam, z niedowierzaniem patrząc na to, co zostało z mojego Czarnego Stawu. Na brzegu rosły trzy, a może cztery olszyny. Reszta była wycięta, o czym świadczyły stare pniaki i stosy suchych drobnych gałęzi. Widocznie ten, kto wyciął drzewa, nie potrzebował chrustu na opał i zostawił wszystko na brzegu stawu. Widok był żałosny. Płakać mi się chciało.

Woda nie była czarna, ale intensywnie zielona, i to nie tylko dlatego, że nie spadały już do niej tony olszynowych liści. Nie! Była zielona, bo na jej wierzchu pływał gruby kożuch rzęsy wodnej. Nie było widać nic więcej. Ani dna, ani ewentualnych żyjątek. Nic. Lustro wody przykryte było od brzegu do brzegu rzęsą. A wokół stawu rósł bujny złocisty owies. Nad nieopodal płynącą rzeką rozpleniły się gęstwiny krzaków, pokrzyw mojej wysokości, ostów równie wysokich i tym podobnego zielska. Westchnęłam z żalu. Prawie straciłam ochotę, by iść do Starego Parku, chociaż byłam już całkiem blisko. Bałam się, że i tamtego miejsca nie poznam, ale zarys gęstych drzew był już widoczny i nic nie wskazywało na to, że park zniknął. Musiałam tam iść. Choćby po to, aby stracić ostatnie dziecinne złudzenia.

Może i gdy Stary Park mnie zawiedzie, to wtedy sięgnę dna i będę

miała siłę się odbić? Kto wie? – dumałam i dalej deptałam owies, którego właściciel był mi nieznany, więc czułam się bezkarnie. Choć gdyby Michał był tu ze mną, to zboże nie byłoby deptane, ale gniecione. Oj, i to bardzo! Poczułam, że robi mi się gorąco od dawnych wspomnień. No tak. Prawie pół roku jestem sama. I czasami ta samotność daje mi się we znaki. Tak jak teraz. Pomyślałam, że powinnam kiedyś pokazać moim synom las, inicjały na drzewie i opowiedzieć im, jak bardzo kochaliśmy się z ich tatą. Może wtedy żal chłopców byłby mniejszy? Może czuliby, że naprawdę są mi potrzebni? Tak, tylko jak im wytłumaczyć, dlaczego ich ojciec kochał, kochał i przestał kochać? Nie wiem jeszcze, jak mam z nimi o tym wszystkim rozmawiać. Muszę się nad tym zastanowić – postanowiłam.

W końcu dotarłam do Starego Parku.

Powitał mnie jak zawsze: dzikością i pięknem. Nic a nic się nie zmienił. Był taki, jaki zapamiętałam. Piękne dęby, lipy, buki, klony i osiki rosły po obu stronach sztucznych kanałów, mających kształt litery U i końcówkami dotykających brzegów rzeki. Mimo upływu lat, podczas których nikt ich nie pogłębiał i nie czyścił, w kanałach nadal była woda. Co prawda tylko trochę, ponieważ lipiec był ciepły, ale jednak była. Widocznie co roku na wiosnę, gdy poziom wody się podnosił, rzeka wypełniała kanały po brzegi wodą. Potem, gdy woda w rzece już opadła, w kanałach pozostawało jej sporo. Było to bardzo ciekawie wymyślone, szkoda, że nikt od prawie stu lat nie cieszy się tym pomysłem. Nikt? No, tego to na pewno nie wiedziałam.

Suchą stopą przeszłam od końca kanału do rzeki i skierowałam się do środka parku. Tam też było tak jak dawniej. Rosły stare, zdziczałe jabłonie, obsypane małutkimi dzikimi jabłkami, kilka z nich miało odłamane przez wiatr konary, smutno oparte o ziemię. Wyglądały jak uduka kurczaka wyrwane ze stawu biodrowego. Zawsze miałam takie skojarzenie, gdy widziałam złamaną gałąź.

Jabłonie otaczały wysokie po pas zielska. Wszechobecne osty i pokrzywy tu też królowały. Ich dwórkami były komosa, łopian, barszcz Sosnowskiego – podobno bardzo jadowity i zdradliwy. Potrafi spowodować poparzenia drugiego stopnia. Tak przynajmniej przekonywał prezenter w Teleexpressie, kiedy opowiadał o kilkuletniej

dziewczynce, która na wakacjach u babci bawiła się właśnie liśćmi tej rośliny. Trafiła w ciężkim stanie do szpitala. Na wszelki wypadek ominęłam barszcz szerokim łukiem i wpadłam prosto w stare, pewnie zeszłoroczne, krowie łajno. Było suche i nie pobrudziło mi butów. Zdziwiłam się trochę.

Krowie łajno? Przecież Szymon Zarządca już dawno nie żyje. To czyja była ta krowa? Oczywiście łajno na to pytanie nie chciało mi odpowiedzieć, zatem poszłam dalej, aż do wewnętrznego szczytu litery U, do środka sztucznego kanału. Tam, o ile dobrze pamiętałam, powinno rosnąć kilka starych dębów. A ich podnóża kiedyś gęsto obrastał barwinek. Całe morze niebiesko kwitnącego barwinku. Co roku przed Niedzielą Palmową biegałam tam z Kubą i rwaliśmy go, a potem babcia szykowała palemkę z gałązek bazi rosnących nad brzegiem rzeki i owijała je właśnie jego zielonymi pędami.

Barwinek był. Nie zniknął! Nikt go nie zniszczył. Była też inna niespodzianka, o której już zapomniałam. Razem z nim rosły całe kępy przekwitniętych już konwalii. W tym miejscu dno sztucznego kanału nie było wypełnione wodą, tylko suchymi zeszłorocznymi liśćmi. Mogłabym więc, jak za dawnych czasów, wbiec do środka i z rozpędem wdrapywać się na drugą stronę kanału, z której to zazwyczaj podziwiałam stary bunkier oraz gospodarstwo Zarządcy. Nie wskoczyłam tam jednak, kusila mnie reszta parku.

Skierowałam się w stronę drugiej odnogi kanału. Miałam zamiar dojść do rzeki i zobaczyć, czy istnieje jeszcze wąskie przejście, którym zawsze przemierzałam ostatni odcinek ścieżki i potem dochodziłam do utwardzonej leszem drogi, przy domu Zarządcy.

Stary Park miał duszę. Chociaż zaniedbany, przemawiał do mnie szeptem. Czułam, że kiedyś w nim tętniło życie. Biegały tu dzieci dziedziców Starszego Folwarku. Może jakieś zakochane pary szeptały sobie czułe wyznania? Może on z nią pływali małą łódką po spokojnej wodzie wokół parku? Kto wie? Park przecież sam nie powstał. Musiały go stworzyć ręce człowieka, i tak było, przecież babcia opowiadała, że jedna część naszego lasu była ogrodem dawnych dziedziców Starszego Folwarku. Do tej pory rosną tam jeszcze zdziczałe czerwone i białe porzeczeki, agrest i dzikie jabłonie. Nawet antonówka tam rośnie! To

dopiero jest jabłoń! Uwielbiam jeść jej jabłka.

Kiedyś park, ten kawałek pola obsiany owsem, gdzie był sztucznie powstały Czarny Staw, i nasz las stanowiły jedną, kilkuhektarową część.

Rozmarzona szłam w stronę dawnej ścieżki. Na chwilę zapomniałam, że jestem porzuconą, samotną kobietą bez pracy. Samotną matką z tysiącami rozstępów w miejscach, gdzie rodziło się życie moich synów. Kobieta po trzydziestce, bez studiów i tylko z maturą na świadectwie z technikum ogrodniczego. A co najgorsze, siostrą apodyktycznego, zarozumiałego brata, który nienawidzi drzew i nie pozwoli mi zasadzić kwiatów wokół domu, bo tam przecież rośnie kukurydza.

Zapomniałam o tym wszystkim i znów stałam się młodą dziewczyną, nastolatką, która idąc rano na przystanek autobusowy, rozmyśla. Beatą ze Zwierzyńca, która w drodze do szkoły marzyła o wielkiej miłości, przeżywała sobotnie pocałunki i w myślach przymierzała suknie ślubne z katalogów mody, przeglądanych przez dziewczyny z całej klasy. Znów nią byłam, dotykałam liści bzu, w maju wypełniających park aromatem pięknych kwiatów, najpiękniejszych. Schylałam się, aby powąchać pachnące dzikie róże. Pobiegałam do kącika parku, gdzie zaraz po Wielkanocy z nagiej ziemi wychodzą pędy zawilców, aby po kilku dniach okryć ziemię swoją bielą. Teraz w lipcu już ich nie widać. Znikły albo wymieszały się z zielenią trawy. Czas ich piękna mija wraz z przekwitnięciem. Ale dla mnie zawsze były znakiem, że wiosna jest już naprawdę. Tak, Stary Park działał na mnie w sposób magiczny. Nie przeszkadzały mi krzaki dzikiego bzu, które nie powinny tam rosnąć, ani sumaki, o których dziedzice Starszego Folwarku pewnie nawet nie słyszeli. To wszystko nie miało znaczenia. Stary Park przetrwał i jeśli on istnieje, chociaż zaniedbany, zarośnięty, to i ja mogę odbić się od dna! Tak sobie postanowiłam, biegnąc w stronę wyjścia na łąkę, za którą ciągnęła się już leszowa droga.

Wyjście było. A jakże! Tylko łąki nie było. Biegnąc, przedarłam się przez zasłonę zwisających gałęzi lipy, które pachniały miodem i lipcem, i wpadłam prosto w... pole wysokiej na prawie dwa metry kukurydzy! To był szok. Przewróciłam się i stratowałam ze trzy rośliny, które chociaż wyrosnięte, jeszcze nie były aż tak sztywne, aby stawić mi

opór. Leżałam na nich i ze złością klęłam na czym świat stoi Unię, dopłaty obszarowe, o których mi Kuba ciągle gadał, a ja nic z tego nie rozumiałam, i klęłam tego, co posiał tu, na pięknej kiedyś, aksamitnej łące – kukurydzę.

– Pieprzę tę cholerną Unię! – darłam się na głos. – Pieprzę dopłaty obszarowe! Nienawidzę kukurydzy! – Zanosłam się płaczem. Leżałam pomiędzy łodygami kukurydzy i z wielkiej bezsilności, że mój stary świat cały runął, zaczęłam niszczyć młode kolby kukurydzy. Odrywałam je od łodyg jedna za drugą, jakby to one były winne, że Michał mnie porzucił, że jestem beznadziejną i głupią matką i że teściowa chce mi zabrać dzieci. Jak oszalała tratowałam znienawidzoną kukurydzę. Dłonie rozboleły mnie od łamania twardych liści i łodyg, ale ja musiałam wyładować całą swoją furję, cały ból, który zbierał się we mnie od pół roku. I nie wiem, jak dużego zniszczenia bym dokonała na kukurydzianym polu, gdybym gdzieś znad niedalekiego brzegu rzeczki nie usłyszała, jak ktoś, najwyraźniej do mnie, krzyczy:

– Proszę przestać niszczyć moją kukurydzę! – Domyśliłam się, że to głos właściciela kukurydzy, owsa i Starego Parku. Opanowałam się trochę i powoli, przedzierając się przez pogniecione łodygi, skierowałam się w stronę rzeki, skąd dochodził głos i majaczyła postać jakiegoś faceta.

– Będę niszczyła, bo mam na to ochotę! – odpowiedziałam mu hardo, gdy już stanęłam z nim twarzą w twarz. Uśmiechnął się albo miał taki zamiar, bo w gęstwinie ciemnej brody nie było to zbyt widoczne.

– Kim pani jest? Skąd się tu pani wzięła? I dlaczego niszczy moje uprawy? – zasypał mnie gradem pytań.

Klapnęłam na ziemię. Prawie u jego stóp. Ze zmęczenia i nerwów nogi odmówiły mi posłuszeństwa i teraz od dołu obserwowałam jego postać. Nie miałam siły odpowiadać na żadne pytania. Patrzyłam na jego czarne adidas. Wyglądały na oryginalne. Potem wzrok przesuwając ku górze, rejestrując dzinsowe spodnie, też, cholera, oryginalne, chociaż zniszczone. Gdy zaczęłam podziwiać wyświechtaną flanelową koszulę, on, aby ułatwić mi sprawę, usiadł na trawie obok mnie. Zobaczyłam wtedy jego twarz. Wyglądała koszmarnie. Coś jakby połączenie Johnny'ego Deppa z umartwionym Jezusem, czyli długie do ramion

zmierzwiłone włosy, bródka niczym u pirata z Karaibów i zapadnięte oczy, otoczone zbyt głębokimi jak na jego wiek kurzymi łapkami.

Facet miał zniszczoną przez nałogi twarz, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Patrzył na mnie spojrzeniem ćpuna z Dworca Centralnego, którego kiedyś tam widziałam, kiedy podszedł do mnie i zebrał na działkę. Przestraszyłam się, że ten też może coś ode mnie chcieć, krzyknęłam:

– Jestem Beata ze Zwierzyńca! – Chociaż powinnam przedstawić się jako Beata Wesołowska, ale w tej sytuacji zapomniałam, jak się nazywam. Chciałam tylko powiedzieć cokolwiek i wycofać się na bezpieczną odległość, aby ten nieznany mi mężczyzna nie miał możliwości dobrać się do mnie. Bałam się.

– Ach! To sławna Beata, którą mąż zdradził na worku z mąką – wyraźnie zadrwił ze mnie.

Poczułam się, jakbym dostała w twarz, i łzy poleciały mi z oczu. Poderwałam się na równe nogi i nie patrząc na niego, zaczęłam z głośnym płaczem uciekać w stronę Zwierzyńca. Teraz nie patrzyłam, co depczę. Biegłam przez kawałek Starego Parku, a potem wpadłam w złocisty owies. Tratowałam go, a w myślach krzyczało tylko jedno zdanie: Wszyscy tu wiedzą, że mnie mąż zdradził na worku z mąką! Wszyscy!

Nogi plątały się w wysokich łodygach gęstego zboża. A ja przewracałam się w nim, podnosiłam i brnęłam dalej. Aby tylko do naszego lasu. Tam żaden pieprzony facet nie będzie mnie upokarzał.

Myliłam się. Gdy dopadłam do brzegu lasu i rzuciłam się na miękki dywan z zielonego mchu, aby w nim się wypłakać, facet stanął obok mnie.

– Przepraszam – usłyszałam. – Tu są całe tysiące mrówek. Niech się pani podniesie z ziemi. – I złapał mnie za ramię, aby na siłę oderwać od mchu.

Szarpałam się. Nie chciałam wstawać. Chciałam, aby nie tysiące, ale miliony mrówek pogryzły mnie i pożarły do białych kości. Wtedy umarłabym w najpiękniejszym miejscu na ziemi, tam gdzie kiedyś kwitła moja miłość.

– Uspokój się! Słyszysz! – Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Podnoś się z tej ziemi! – Czułam, że on odrywa moje ciało od miękkiego mchu. Wreszcie się poddałam. Było mi już wszystko jedno, co robi. Gorzej być nie mogło. Usiadłam na pniaku, do którego mnie dociągnął. Tam pozwoliłam sobie na najgłośniejszy w swoim życiu płacz. Wylałam głośniejsze niż w dniu śmierci aktorki z Hollywood. A nieznajomy stał obok mnie i czubkiem markowego buta wiercił dziurę w ściółce.

– Przestań! – warknęłam na niego, szlochając.

– Bo co?

– Bo niszczysz las!

– W dupie mam twój las! Ty niszczyłaś moją kukurydzę, podeптаłaś kawał owsa, to ja będę niszczył twój las! I gówno mi zrobisz!
– dodał.

Po tych słowach nie wytrzymałam. Poderwałam się z pniaka i uderzyłam go w twarz.

Patrzył na mnie ze zdziwieniem, a ja poczułam, jak wszystkie emocje opadają ze mnie niczym liście z drzew. Spojrzałam na jego zastygłą w bezruchu twarz. Zobaczyłam szare oczy i bruzdy na czole, zapadnięte policzki, głębokie cienie pod oczami i poczułam, że spotkałam kogoś mi bliskiego. Tak! To był on! Drugi wrak człowieka. Bezwiednie wyciągnęłam dłoń i dotknęłam miejsca, gdzie go uderzyłam. Nawet nie drgnął. Głaskałam go po policzku. Dotykałam miejsca, gdzie ostra broda łagodnie przechodziła w twarde policzek.

– Przepraszam! – powiedziałam.

– Nie będę niszczył twojego lasu – odparł i delikatnie mnie przytulił.

Tak poznałam Pawła.

*

Nie bardzo rozumiem, o co chodzi w tych ogłoszeniach. Szukają kelnerki albo ekspedientki do zwykłego spożywczego, a życzą sobie CV i listu motywacyjnego, jakby robili konkurs co najmniej na stanowisko dyrektora szkoły. Co ja mam wpisać do dokumentów aplikacyjnych, skoro od skończenia szkoły nigdzie nie pracowałam?

Czy ja naprawdę potrafię dobrze coś robić? Pracę, sprzątać,

gotować? Wychowywać dzieci? Nie, tego się w CV nie uwzględnia. To takie same czynności jak jedzenie, spanie, mycie się czy po prostu życie. To umiejętności, którymi nie można zabłysnąć w życiorysie. Ewentualny pracodawca, czytając o takich umiejętnościach, uzna nas za osoby... No właśnie! Za kogo uważałby mnie człowiek czytający moje CV, gdybym mu napisała, że najlepiej wychodzi mi mycie okien?

A ja uwielbiam myć okna. W Osadzie nie mogłam zabłysnąć tym talentem. Mieliśmy tam zaledwie dwa okna. I to bardzo małe, ze starymi, drewnianymi futrynami. Ale tu, w Zwierzyńcu, jak tylko wróciłam, od razu rzuciłam się w wir sprzątania całego ogromnego domu, który od śmierci rodziców powoli zniknął pod warstwami kurzu i koronkami pajęczyn, pracowicie tkanymi przez pająki.

Kuba ogarniał, inaczej tego nie można nazwać, tylko swój pokój i kuchnię. Moje porządki można by więc uznać za olbrzymią pracę. Musiałam doczyścić osiem pokoi, dwie kuchnie i dwie łazienki. Posprzątałam je, a nie ogarnęłam! Umyłam dwanaście okien, w tym dziesięć trzyskrzydłowych, i dopiero wtedy mogłam zdecydować, w których pokojach zamieszkać z moimi synami.

Okna myłam z wielką radością, po prawie jedenastu latach minimalizmu, jakim było pielęgnowanie tych dwóch malutkich okienek, znów miałam niezmierną przestrzeń szkła, które mogłam myć, czyścić i pieścić ścierkami z mikrofibry, nadającymi szybom krystaliczny blask. Po umyciu każdego okna przez chwilę stałam i przyglądałam się temu, czego dokonałam. Okna uśmiechały się do mnie idealnym blaskiem przezroczystej czystości. Nawet widok ciemnozielonej kukurydzy, niezgrabnie bujającej się za oknami pod naciskiem silnego wiatru, wydawał mi się piękny. Ta zniechęcona zieleń, oglądana przez brudne, obsrane owadzimi odchodami szyby, była przygnębiająca. A teraz, gdy patrzyłam na nią przez tafle idealnie czystego szkła, była radosna i kojąca swą barwą. Chociaż i tak brakowało mi drzew...

Wszystkie stare, pożółkłe ze starości i brudu firanki zaraz po odpięciu z karniszy wręczyłam Kubie i kazałam je spalić. Coś tam mrucał pod nosem, żebym nie myślała, że on, jedyny pracujący w tym domu, pojedzie do miasta i nakupuje mi nowych firanek! Bo te jeszcze są dobre i jakby się je wyprało, spokojnie kilka lat mogłyby wisieć.

Zapytałam brata, dlaczego przez ostatnie trzy lata tego nie zrobił. Znaczą się... nie uprał ich. Fuknął tylko i poszedł za oborę spalić całą furę firankowych szmat. Po chwili gryzący dym był jedynym śladem ich dawnego istnienia.

W bieliźniarce mamy znalazłam równiutko poukładane stosy czystych firan. To były te na „zmianę”, jak zawsze mawiała. Śmieszne, jej już nie ma, a firanki leżą tu sobie spokojnie, jakby cierpliwie czekały na swoją kolej. Doczekały się. Wyjęłam je i przytuliłam do twarzy pierwszą z brzegu. Pachniała trochę stęchlizną. Nic dziwnego! Kuba od śmierci rodziców nie otwierał tej szafy ani razu.

Rozłożyłam wszystkie firanki na podłodze. Położyłam się obok nich, jakbym chciała poczuć obecność mamy. Dotykałam ich faktury. Była różna. Jedne firanki miały maszynowo haftowane wzory. Inne były stylonowe i gładkie. Jeszcze inne cieszyły oczy kolorowymi motywami kwiatów i liści. Wszystkie były świadectwem ostatnich dwudziestu lat życia mamy. To ona je kupowała w miasteczku na bazarze. Kochała te szmatki. Pamiętam, jak nieraz ojciec się wściekał, gdy znów wspominała, że na święta trzeba kupić do kuchni nowe zazdrostki albo firanki do któregoś pokoju. On nie rozumiał, co ona w nich widzi. My z Kubą też nie bardzo. Śmieliśmy się, że mama duszę diabłu by sprzedała za nowe firanki.

A teraz już ją rozumiem. Za późno! Mamy nie ma. A ja nigdy jej nie powiedziałam: Kocham cię, mamó, za te czyste okna na święta. Kocham cię, mamó, za te piękne firanki w moim pokoju. Kocham cię za to, że jesteś.

Nie powiedziałam. Przecież była jeszcze taka młoda, gdy tata chyba przysnął za kierownicą samochodu i wjechał prosto pod koła tira nadjeżdżającego z naprzeciwka. Tata miał cukrzycę. Po prostu przysnął. On pewnie nic nie czuł, ale mama? Czy pomyślała wtedy, że już nigdy nie zmieni firan na święta?

Zawołałam Patryka. Dałam mu pieniądze i kazałam, aby z Konradem pojechali do Starszego Folwarku, gdzie znajdowały się trzy spożywczo-przemysłowe sklepy. Tam, w którymś z nich, mieli kupić mi wybielacz do firanek.

– A za resztę możemy kupić sobie chipsy? – zapytał. Skinęłam

głową, więc w podskokach pobiegł na podwórko wołać brata. Po chwili wsiedli na rowerki i pojechali po wybielacz i chipsy. A ja wróciłam do firan, aby jeszcze przez chwilę poczuć obecność mamy.

To już ostatni raz – pomyślałam. Za moment wszystkie ślady mamy rąk spłyną razem z wodą do szamba. Ale to nic, mamó! Teraz ja będę kochała firanki!

Pod wieczór uprane, wybielone i bijące w nos zapachem świeżości firanki na „zmianę” zawisły nad kryształowo czystymi oknami. Poczułam się szczęśliwsza, a mama pewnie uśmiechnęła się do taty i powiedziała z tryumfem: Zobacz, ojciec, moje firanki znów ktoś kocha! A mówiłeś, że szkoda na nie pieniędzy!

Zatem potrafię myć okna. Jestem specjalistką w tej dziedzinie. Czyli nie dla mnie praca kelnerki, ekspedientki. Nadaję się wyłącznie na sprzątaczkę. Drę brudnopis mojego CV. Nikt go nie będzie chciał czytać. Kogo obchodzą moje czyste okna? No kogo? Jak się jest takim zerem jak ja, to już nie trzeba wysilać się i pisać życiorysu. Trzeba po prostu znaleźć kogoś, kto potrzebuje sprzątaczkę. Idę pogadać z Kubą, może on zna kogoś takiego?

Los okazał się dla mnie łaskawszy, niż myślałam. Kuba znał człowieka szukającego pracownicy do swojego baru z fast food. Tym człowiekiem był właściciel Starego Parku we własnej osobie... Paweł Zarządca. A ja, nosząc w sercu widmo sprawy w sądzie rodzinnym, którym co jakiś tydzień telefonicznie straszyla mnie moja teściowa, schowałam wstyd do kieszeni i tłumacząc sobie, że jak się jest zerem, to nie można mieć zbyt wielkich ambicji, postanowiłam następnego dnia pojechać do miasteczka i znaleźć ten bar. Co prawda prościej by było, gdybym wieczorem odwiedziła ewentualnego szefa w domu, ale wizja bycia sam na sam z człowiekiem, który ratował mnie przed pożarciem przez mrówki, wcale nie była kusząca. Tak! Lepiej będzie, jak porozmawiam z nim o pracy tam na miejscu. Kuba powiedział, żebym powołała się na niego, bo on z Pawłem czasami lubią wypić sobie kilka piw i pogadać. Cóż, już teraz wiem, skąd ten człowiek zna tak intymne szczegóły mojego życia.

– Na skrzyżowaniu głównej alei bazaru, obok stoiska z zabawkami stoi fast food Pawła – wytłumaczył mi brat.

– Tam, gdzie kiedyś sprzedawali pieczywo, a potem był bar z chińszczyzną?

– O, właśnie tam. Zresztą jak go zobaczysz... od razu będziesz pewna, że to miejsce jest stworzone dla ciebie! – Kuba się śmiał.

– Dlaczego? – zapytałam. Dobrze znałam ten bazar i nie przypominałam sobie, aby było na nim coś stworzone specjalnie dla mnie.

– Sama zobaczysz! – zapewniał mnie, jakby chciał dodać mi otuchy, gdy wsiadałam do jego poloneza, by jechać na rozmowę w sprawie pracy. – Tylko się pośpiesz! Mam dziś drugą zmianę i musisz mi oddać samochód!

Przypomniał mi jeszcze, że jestem matką i powinnam przejąć opiekę nad własnymi dziećmi, gdy ich odpowiedzialny wujek będzie musiał pojechać do pracy. Tak, jak się jest takim wrakiem i zerem jak ja, rodzony brat musi czuć się w obowiązku przypominania mi o moich powinnościach. Przecież mogłabym zapomnieć!

*

Zaparkowałam na wąskiej ulicy tuż obok bazaru. Trzy razy sprawdziłam, czy nie ma tam zakazu postoju, ale nie było. Na szczęście! W mojej sytuacji mandat od straży miejskiej wcale nie byłby miłą niespodzianką. O nie!

Wkrótce doszłam do środka targowiska i dostrzegłam pstrokate stoisko z zabawkami, gdzie na metalowych prętach wisały różnobarwne dmuchane piłki, pluszowe plecaczki dla przedszkolaków, maskotki, samochodziki i inne rzeczy, z których moi chłopcy już nie korzystają. Nie wyrosli natomiast z potrzeby jedzenia, noszenia coraz większych butów i spodni. Potrzebowali też droższych niż do tej pory podręczników.

Tak, Beato! Musisz pracować choćby w tym fast foodzie, by mieć pieniądze na utrzymanie chłopców. W przeciwnym razie teściowa nie da ci spokoju i ciągle będzie cię straszyć zabranianiem dzieci do siebie – w myślach uzasadniałam potrzebę podjęcia pierwszej w życiu poważnej pracy.

Kuba miał rację! Stanęłam przed małą budką, obitą kiedyś białym,

a teraz już szarym sidingiem. Ten bar był stworzony specjalnie dla kogoś o moim imieniu. Nad małym daszkiem, pod którym stały dwie dziewczyny i zachłannie jadły hot dogi, widniał szyld z czerwonym napisem: Bar BE-ŁATA. O ile dobrze pamiętam, to ani budka z pieczywem, ani budka z chińszczyzną nie nosiły tej nazwy. Co prawda już dawno nie byłam w tej części bazaru i nie wiem, kiedy ten napis się pojawił, ale fakt faktem, poczułam się, jakby osoba, która nadała tę nazwę, myślała właśnie o mnie – o Beacie.

– O! Beata ze Zwierzyńca! Jaka miła niespodzianka. – Paweł ukazał się w małym okienku budki, przy którym stał klient zamawiający szybką przekąskę. – Z boku są drzwi. – Ruchem ręki wskazał, z której strony jest ten bok. – Zapraszam do środka! – Nie było odwrotu, musiałam przyjąć zaproszenie.

Weszłam. W środku było koszmarnie ciasno i gorąco. Od razu uderzył mnie zapach smażących się w głębokim tłuszczu frytek. Zrobiło mi się niedobrze, ale przełknęłam ślinę i usiadłam na jedynym taborecie, który tam stał. Właściwie powinna na nim usiąść ciężarna dziewczyna, przygotowująca kebab w cienkim cieście, ale Paweł mnie go podsunął i nie śmiałam mu odmówić. Dziewczyna wydała przez okienko kebab i zajęła się wyjmowaniem z tłuszczu złocistorumianych frytek. A on stał oparty o zlewozmywak i zapatrzył się na mnie jak na cudaka.

– Mam nadzieję, że tym razem nic mi, Beato, nie zniszczysz?
– zapytał niby żartem, a jednak nieco ironicznie.

– Nie, tym razem przyszłam spytać, czy nie potrzebuje pan kogoś do pracy? – powiedziałam jednym tchem i nie patrząc na niego, dodałam: – Kuba mi mówił, że pan szuka pracownika.

– Pracownicy raczej! – sprostował już nieco poważniej, a potem zwrócił się do dziewczyny: – Aniu, od kiedy wybierasz się na zwolnienie lekarskie?

– Nawet od jutra, jeśli szef pozwoli – powiedziała zapytana, jednocześnie podając w wyciągnięte za okienkiem dłonie tackę z frytkami i czymś, co wyglądało jak kotlet schabowy. Było mi coraz bardziej niedobrze.

– Od jutra to nie. Najpierw musimy nauczyć panią Beatę, jak się robi kebab. Bo to pani szuka zapewne pracy. Prawda?

O mój Boże! Z ty przeszedł na pani. Co tu robić? – intensywnie myślałam, zapominając, że też nie mówiłam do niego po imieniu.

– Tak! Szukam pracy choćby od zaraz... właściwie od jutra, bo dziś mój brat ma popołudniową zmianę w pracy. Muszę wrócić do dzieci – poprawiłam się.

– Ach tak... Pani ma przecież dzieci. No właśnie, co z nimi?

– Kuba mi pomoże, jak będzie miał nockę albo drugą zmianę. On pracuje w magazynie... na zmiany... Zresztą już niedługo koniec wakacji, chłopcy wrócą do szkoły. Po lekcjach będą czekali w świetlicy, aż ich odbiorę. W najgorszym wypadku, gdyby zachorowali, poproszę o pomoc ciocię ze Starszego Folwarku! – Mówiłam to i czułam, jak pot cieknie mi po plecach. W budce było okropnie gorąco. Zaczęłam się dziwić, jak ta dziewczyna może tu jeszcze pracować. Na oko wyglądała na szósty miesiąc ciąży. I to ciągle stanie na nogach... Jedyne taboret Paweł wyciągnął spod sterty papierowych ręczników i worków na śmieci. Zatem nie był zbyt często używany. Czy ja podołam pracy w tak ciężkich warunkach?

– Czy pani pracowała kiedyś w czymś takim? – Jak nic czytał w moich myślach.

– Nie. Nigdzie dotąd nie pracowałam! – odparłam zgodnie z prawdą. A zresztą i o tym pewnie przy kuflu piwa opowiedział mu mój głupi brat, skoro wypaplał nawet, gdzie mnie mąż zdradził.

– No, to czas najwyższy zacząć! – Zaśmiał się. – Jeśli można, zapraszam od jutra, od piątej rano. A potem, kiedy Ania pójdzie na zwolnienie, ustalimy resztę. Aha – dodał jeszcze. – O umowie, stawce i innych sprawach porozmawiamy wieczorem. Jeśli można, to przyjadę do Kuby. Tu nie ma na taką rozmowę warunków. – Skinęłam głową, chociaż powinien raczej powiedzieć, że przyjedzie do mnie, a nie do Kuby. W końcu to mnie zatrudnia. Zresztą, może się mylę i Kuba będzie z nim ustalał warunki mojej pracy. Odkąd nie mam męża, brat robi wrażenie, jakby był moim jedynym światłem w tunelu. Sama jestem zbyt głupia, aby iść w ciemnościach życia.

*

– Kuba! Kuba! – wołam, wysiadając na podwórku z samochodu.

– Kuba! Kuba, gdzie jesteś?

Muszę z nim jak najszybciej porozmawiać. Patrzę na zegarek. Nie ma jeszcze pierwszej. Musi być gdzieś w pobliżu. Biegnę do domu, ale drzwi są zamknięte na klucz. Widocznie poszedł z chłopcami na pole albo do lasu. Siadam zrezygnowana na ławce przed domem i czekam. Zanim pojedzie do pracy, powinnam z nim porozmawiać. Gdzie on jest, kiedy tak bardzo go potrzebuję?

W połowie drogi pomiędzy miasteczkiem a domem uświadomiłam sobie, co Paweł powiedział. Powiedział tak:

**O UMOWIE, STAWCE I INNYCH SPRAWACH
POROZMAWIAMY WIECZOREM!!! JAK PRZYJADĘ DO KUBY!!!**

Przecież on nie może przyjechać do Kuby, wyraźnie mi powiedziałam, że Kuba idzie dziś do pracy na drugą zmianę. Każdy normalny człowiek chyba umie policzyć, że druga zmiana trwa od czternastej do dwudziestej drugiej plus jakiś czas na powrót do domu. Kuba nigdy wcześniej nie docierał do domu jak o dwudziestej drugiej trzydzieści. Pewnie Paweł też umie liczyć i dobrze wie, że jeżeli przyjedzie niby do Kuby, to zastanie mnie samą w domu. No, z Patrykiem i Konradem. Niby nie samą, ale jednak...

– Czego ty tak wrzeszczysz? – Kuba i chłopcy wyłonili się zza obory. Wszyscy trzej mieli w dłoniach białe jeszcze kolby kukurydzy, którą ze smakiem obgryzali. Patrzyli na mnie z wyższością facetów. Oto wróciła baba z miasta i ledwie wysiadła z samochodu, już drze mordę! Daję sobie obciąć włosy, że przed chwilą Kuba tłumaczył im, jakie te baby są głupie, wredne, sprzedajne dziwki, które za kilka groszy i lepszy samochód są zdolne zdjąć majtki na środku ulicy.

Kuba nienawidzi wszystkich kobiet, odkąd Anka Muzyczne Usta, tak na nią mówiliśmy, a którą on szalenie kochał, puściła się z pewnym nadzianym Arabem. Przynajmniej wszyscy twierdzili, że facet był nadziany. Od tamtej pory brat zraził się do kobiet. Jest już podstarzałym kawalerem, a swoje mądrości życiowe od dwóch tygodni wpaja moim synom. I z przerażeniem obserwuję, jak szybko upodabniają się do niego. Obaj chodzą jak wujo, z dłońmi splecionymi z tyłu pleców. Obaj obzerają się kolbami kukurydzy i z wyższością spoglądają na mnie. Dwa tygodnie! Zaledwie dwa tygodnie, a oni już upodobnili się do Kuby. Co

będzie dalej? To wszystko wina Michała! Gdyby nas nie zostawił, chłopcy nie musieliby szukać autorytetu w osobie wuja.

– Mama, no czego wrzeszczysz? – zapytali moi synowie, a potem pobiegli do samochodu sprawdzić, czy czegoś im z miasta nie przywiozłam. Rozczarowali się zapewne, ale zauważyli, że Kuba przysiadł się do mnie na pogawędkę, i wykorzystali okazję, aby poudawać, że są kierowcami, czego im Kuba zazwyczaj zabraniał, więc zatrzasnęli drzwi i zaczęli się bawić w aucie.

– Pamiętasz, co babcia mówiła nam o Szymonie Zarządcy? Pamiętasz?

– Pamiętam. – Kuba wstał z ławki, wziął się pod boki, przybrał babci pozę i zaczął ją parodiować: – Nie wolno wam chodzić do Starego Parku! Nie wolno wam chodzić koło domu Zarządcy! Nie wolno! Ci wszyscy Zarządcy z dziada pradziada są źli. I Szymon też może wam krzywdę zrobić! – Parsknęłam śmiechem. Babcia nie żyje już z sześć lat, a Kuba tak wspaniale ją naśladuje. – Ty, Beatko, dlaczego ty chodzisz do przystanku przez Stary Park? Przecież ten staruch może ci krzywdę zrobić! Proszę cię, nie chodź tamtędy! – Kuba kończy wspominki i siada obok mnie, przypalając sobie papierosa, a ja pogrążam się we wspomnieniach.

Ta krzywdą to inaczej gwałt. Babcia nigdy nie używała tego słowa. Gwałt nie istniał w jej słowniku. Gdy opowiadała o wojnie, mówiła, że wtedy „krzywdzili” kobiety, a my z Kubą nie rozumieliśmy, w jaki sposób. Raz nawet Kuba wymyślił, chyba po konsultacjach z jakimś starszym chłopakiem, że wtedy kobietom coś się wkłada, tam między nogi, ale co, tego nie wiedział. Potem Kuba twierdził, że może widelec, przecież to ostry przedmiot, którym można kogoś skrzywdzić.

Wiele lat później zrozumiałam, że babcia, mająca dużo córek, żyła w ciągłym strachu, aby jakiś łobuz ich nie skrzywdził. Córki szczęśliwie się wychowały, powychodziły za męża, a w babci ten strach pozostał. Przeniosła go na mnie, na swoją ukochaną wnuczkę. Włócząc się sama po lasach, parkach i pustymi drózkami, według niej prowokowałam los. Dlaczego właśnie Zarządcę podejrzewała o tak nieczne zamiary wobec niewinnych dziewczynek? Tego nigdy nam nie powiedziała.

– Pamiętasz, co babcia mówiła na temat twojego Michała? – Kuba

spoważniał. – Ja bardzo dobrze pamiętam.

– Ja też – odparłam cicho, aby chłopcy, chociaż zamknięci w samochodzie, nie mogli usłyszeć. – Zachwycała się nim. Mówiła, jak mu dobrze z oczu patrzy. Jaki mi się fajny chłopak trafił. Jak to z nim będę miała dobrze i że nigdy mnie nie skrzywdzi! – Rozpłakałam się na wspomnienie babcinych słów. – Pamiętasz, Kuba, jak on do niej mówił? Babciu kochana, ja Beatkę na rękach będę nosił! Pamiętasz?

– Pamiętam. Pamiętam. Sama widzisz! Babcia jednak czasami się myliła. I co do Michała też. Może ci wszyscy Zarządcy z dziada pradziada wcale nie byli takimi potworami, jak nam opowiadała. Kto wie? Może i Paweł też nie jest... – Kuba skończył palić. Strzepnął popiół ze spodni. Podniósł się.

– Cholera, jak mi się nie chce do roboty jechać! – powiedział ze złością i poszedł do domu robić sobie kanapki. Jeszcze nigdy nie słyszałam, aby mu się chciało jechać do pracy. Czasami wydawało mi się, że on chce powiedzieć: Cholera, jak mi się żyć nie chce!

Mogłabym mu wtedy przytaknąć.

*

Nie przyjechał. Po prostu przyszedł tą samą dróżką, którą ja zawędrowałam do Starego Parku. Zauważyłam go, gdy jak widmo wyłonił się z kukurydzy. Nawet pies na niego nie zaszczekał. Może po prostu mu się nie chciało? Moim zdaniem, odkąd jesteśmy w Unii, to nawet psy rzadziej na obcych szczekają. Czyżby i one czuły, że podlegają jakimś unijnym dyrektywom? Albo słyszały, że w Europie nie wypada na nikogo czekać? Ciekawe. Bardzo ciekawe.

Byłam sama. Chłopcy, pomimo moich próśb i nakazów, uciekli do garażu i tam rozbierali na czynniki pierwsze stary motor Kuby. Oczywiście on sam pokazał im, jak odkręcać śruby i jak dobierać odpowiedni numer klucza do odpowiedniej śrubki. Ba, obiecał im, że jak rozkręcą starą jawę 350, a potem ją z powrotem skręcą, złożą i uda im się ją odpalić, to on kupi im quada! Zatem nic dziwnego, że każdą wolną chwilkę spędzają w garażu, zamiast bronić czci samotnej matki. Chociaż tak szczerze, to wątpię, aby im się ta sztuczka z jawą udała. Kuba ją wymyślił, aby chłopcy szybciej przyzwyczaili się do mieszkania

w Zwierzyńcu i mniej myśleli o ojcu. A sam pomysł? To Kuba w dzieciństwie, gdy miał tyle lat co Patryk, rozebrał starą syrenkę wujka Zdzicha, a potem, pod nadzorem wuja oczywiście, złożył ją i odpalił. Nawet przejechał przez całe podwórko, zanim silnik przestał pracować! Ale był z siebie dumny. Przez kilka lat chwalił się tym wyczynem wszystkim chłopakom w okolicy, a ja po cichu mu zazdrościłam. Sama nic nie potrafiłam ani rozebrać, ani złożyć. Nawet lalki, gdy którejś noga wypadła ze stawu, nie potrafiłam naprawić, tylko jego o to prosiłam. On zaś, owszem, wkładał lalkom nogi na miejsce, ale potem obgryzał im pięty. Lalkom oczywiście, miał taki odruch nerwowy, że gryzł wszystko, co trzymał w dłoni, więc po jakimś czasie moje cztery lalki nie miały stóp. Gdy patrzyłam na okaleczone nogi, gorzko płakałam. A teraz, gdy obcy mężczyzna pojawił się na naszym podwórku, tak naprawdę byłam sama.

Nie przyniósł ze sobą żadnych papierów. Zdziwiłam się. Myślałam, że będzie chciał spisać moje dane do umowy albo do ubezpieczenia czy coś podobnego. A on trzymał ręce w kieszeni. Najwyraźniej nie zamierzał niczego ze mną podpisywać. Stał obok mnie i przez chwilę milczał. Może czekał, aż zaproszę go do domu, ale ja nie miałam takiego zamiaru. Byłam sama i nie czułam się bezpiecznie. Tu, przed domem, przynajmniej słyszałam dochodzące z garażu głosy chłopców. Było mi z tym trochę różniej.

– To co? Przechodzimy na ty czy dalej walimy sobie na pan, pani?
– mówił niby lekko, ale w głosie słyhać było nutę zakłopotania. No tak, po tamtej akcji w kukurydzy, a potem w naszym lesie właściwie w jakimś stopniu byliśmy ze sobą dość blisko.

– Możemy być po imieniu. – Wyciągnęłam dłoń, a on szybko ją uścisnął.

– Paweł jestem.

– Beata.

– Dobra, jak już najgorsze mamy za sobą, teraz możemy przejść do interesów, sąsiadko. – Z przekorą uśmiechnął się do mnie. – Bar i obecność Ani nie sprzyjały temu. – Przytaknęłam i zaproponowałam, aby usiadł na ławce. Sama przezornie stałam i robiłam czubkiem buta dziurę w piachu. Ale i on nadal stał. Jakoś tak sztywno było.

– Beato, powiem wprost, nie wiem, czy ta praca będzie ci pasowała. Sama widziałaś, jakie mamy warunki. – Chrząknęłam.
– Gorąco, ciasno i cały dzień na stojąco. W soboty i niedziele robota non stop. Klienci stoją nieraz w półgodzinnych kolejkach. Wyobrażasz to sobie? – Skinęłam głową, choć tak naprawdę nie bardzo to sobie wyobrażałam. No i te mdłości od frytek. Przemilczałam jednak swoje obrzydzenie. – Zatem nadal chcesz tę pracę?

– Tak. Tak. Oczywiście – powiedziałam jakoś tak lekko. Może zbyt lekko, jak na decyzję o podjęciu pierwszej pracy.

– Dobrze. Zatem proponuję następujące warunki...

– Cała zamieniam się w słuch – przerwałam mu.

– Ha, ha, ha. Bez przesady, Beato. Będzie tak: praca od piątej rano do piętnastej, mniej więcej, zależy, jaki ruch będzie na targowisku. Soboty i niedziele pracujące. – Wybałuszyłam oczy ze zdziwienia. Zauważył to. – Oczywiście będą też i wolne, ale to zazwyczaj ustalamy na bieżąco. Teraz ci nie obiecuję, czy co druga niedziela wolna, czy jak, sam tego jeszcze nie wiem. Pasuje?

– Pasuje – powiedziałam, chociaż nie pasowało. – Mów dalej.

– No to jazda! – Zaśmiał się. – Najpierw będziesz razem z Anią, tak ze dwa tygodnie, aż wszystkiego się nauczysz, a ja w tym czasie trochę odpocznę. O! Wezmę sobie urlop. Potem, gdy ona odejdzie na zwolnienie, będziemy w budzie tylko we dwoje.

Już nie byłam tak bardzo pewna, czy chcę tę pracę.

– Oczywiście w soboty i niedziele mamy pomoc... takie małolaty dorabiające sobie do kieszonkowego. Zbierają zamówienia, biegając po targowisku, a potem roznoszą jedzenie po straganach.

– Tak?

– Tak. To bazarowy zwyczaj. Wtedy jest więcej otwartych straganów i ruch większy, i handlarze nie zawsze mają czas, aby przyjść do nas i stać w kolejce. Ale uprzedzam! My sami przygotowujemy zamówione jedzenie, a te dzieciaki tylko biegają i je roznoszą. A tych zamówień jest czasami sporo. Mówić dalej?

– Jasne... mów... robi się coraz ciekawiej. – Uśmiechnęłam się z przymusem.

– Teraz kilka konkretów. Wolisz tygodniówki czy wypłatę raz

w miesiącu?

– Nie wiem – odparłam szczerze, nawet się nad tym nie zastanawiałam.

– Ja ci na początek proponuję tygodniówki. Będziesz miała łatwiej, zanim nie uregulujesz swoich spraw z mężem. Och, przepraszam! Zagalopowałem się.

– Nie szkodzi. I tak Kuba ci wszystko wypaplał. Tych spraw z Michałem pewnie jeszcze długo nie pozalatiwiam. Wszyscy go kryją. Nawet nie wiem, gdzie on jest.

– Na takich jak on są różne sposoby, ale to nie moja sprawa. Więc tygodniówki, okej?

– Okej.

– Dziewięć pięćdziesiąt do ręki.

– Co?

– Przecież mówię: dziewięć złotych, pięćdziesiąt groszy za godzinę pracy do ręki. I ani grosza więcej!

– Nie zamierzałam się targować!

– I dobrze, bo ja nie lubię się targować. – Akurat! – pomyślałam sobie. Wyglądasz na takiego, co by własną babkę sprzedał. – A jak z ubezpieczeniem? – Zagadnął trochę od niechcienia.

– Nie rozumiem. Przecież należy mi się chyba ubezpieczenie. Prawda?

– Opcje są dwie. Sama zdecydujesz, którą wolisz. – Żałowałam, że Kuba był w pracy, byłam bardzo ciemna i głupia. Facet przyszedł do mnie, przygotowany jak do pokazowej lekcji, i zagina mnie na każdym kroku. Chyba czuje, że trafiła mu się naiwna gęś. Dobrze, że jeszcze nie spytał, czy potrafię liczyć do stu. Fakt! Nie musiał, ma tam przecież kasę fiskalną. Ona sama policzy. Ja mam tylko przyciskać odpowiednie klawisze. – Słuchaj, Beata. – Teraz Paweł nerwowo wiercił butem dziurę w piachu. – Powiem szczerze, wołałbym więcej ci płacić, ale żebyś na razie pracowała na czarno. – Uff, chyba mu ulżyło, jak to powiedział, reszta szła mu już o wiele płynniej. – Beato, bazarowy świat ma swe własne, niepisane prawa. Połowa tam handlujących pracuje na czarno lub na pół etatu. Tak już jest. Nikt o tym nie mówi głośno, ale wszyscy zainteresowani dobrze o tym wiedzą!

– Ja nie wiedziałam! – protestuję.

– Bo ty raczej mało interesowałaś się tym, jak żyją inni ludzie, prawda? – zapytał trochę złośliwie. Miał rację, więc w milczeniu słuchałam, co dalej powie. – Ja ci uczciwie mówię: możesz pracować u mnie na czarno i wtedy dostaniesz dziewięć pięćdziesiąt do ręki albo zatrudnię cię na pół etatu, ale za niższą stawkę. Sama zdecyduj!

– zakończył. Poczulałam się, jakby ciężki kamień leżał mi na piersi. Muszę podjąć decyzję. Ale jaką? To, co on mi proponuje... jest jawnym łamaniem prawa! Nawet ja to wiem! Ale jednak jest uczciwy, od razu wali kawę na ławę. Chyba nie chce mnie zniechęcić? A niech tam! Zapytam go o to.

– Słuchaj, Paweł, a może ty nie chcesz, abym pracowała u ciebie, co? Jeśli tak, powiedz. Ja naprawdę szukam pracy, a nie litości!

– Puściły mi nerwy, rozplakałam się i usiadłam na ławce, chowając twarz w dłonie.

– Beato! Ja tak naprawdę cię nie znam! Wiem o tobie tylko tyle, ile kiedyś powiedział mi Kuba! – Paweł zmienił ton, zaczął się tłumaczyć:

– Bardzo chciałbym ci pomóc, ale tak! Mam i ja swoje obawy.

– Tak? A jakie, jeśli można wiedzieć? – zaszlochałam.

– Choćby taką, że kiedy zdążę się do ciebie przyzwyczaić, nauczysz się tego, co trzeba, a pewnego dnia pojawi się twój mąż, ty wrócisz do niego i rzucisz pracę! No i co? Dziwisz mi się, że jestem ostrożny?

– Nie! – teraz już krzyczę, a nie szlocham. – Dziwię ci się, że wymyśliłeś scenariusz, o jakim ja nawet już nie śnię! Michał nigdy do mnie nie wróci! Nie po to zostawił mnie – poprawiłam się – nas, jak zbędny bagaż, aby znów go brać na ramiona! – Te słowa dotarły do mnie. Tak! On nigdy nie wróci do nas! Jesteśmy sami. Porzuceni. Ale ja jestem matką. Jestem dorosła. I powinnam wreszcie stanąć na nogi. Tylko jak? Nie potrafię podjąć nawet najprostszej decyzji. Nie potrafię powiedzieć ani tak, ani nie. Już nie szlocham. Znów ryczę na głos.

Patrzył na mnie bezradnie. Kogo widział? Rozhisteryzowaną dziewczuchę? Worek treningowy, który kopie samo życie? Wrak. Po prostu widział nie człowieka, ale wrak!

– Beato! Chociaż spróbuj popracować u mnie, a ja zostawię ci czas

do namysłu. Powiedzmy, że proponuję ci okres próbny. Jakies dwa tygodnie... Potem sama mi powiesz, czy chcesz dalej pracować, czego oczekujesz ode mnie i co ty możesz mi zaproponować. Tyle mogę zaryzykować!

Podniosłam głowę. Spojrzałam na niego. Też nie wyglądał najlepiej. Ukucnął przede mną. Wziął mnie za rękę.

– Ja wiem, Beato, co znaczy być na dnie – powiedział bardzo cicho. – Ale też wiem, że od dna można się odbić! Trzeba tylko chcieć, a wtedy znajdą się ludzie, którzy podadzą ci dłoń. Wierz mi! – Podniósł się i puścił moją rękę. – Czekam na ciebie jutro o piątej rano! Cześć! – Odszedł szybko. Po chwili tylko rozkołysana kukurydza znaczyła ślad jego obecności. A ja nadal szlochałam.

– Zobacz, Konrad! Ona znów beczy! Ale baba! – Ostre jak żyłotka słowa Patryka ocuciły mnie. Podniosłam głowę i spojrzałam na moich synów. Stali niedaleko mnie. Uwalani po same pachy w smarze. Stali i patrzyli na zapłakaną matkę. Zrozumiałam, dlaczego tak bardzo trzymają się Kubę. On jest twardy i nie płacze. Jest moim przeciwieństwem. Chłopcy już dobrze wiedzą, że ojciec nie wróci do nich. Dlatego trzymają z Kubą. Boją się mojej bezradności. Jeśli nie wezmę się w garść, to stracę własne dzieci. To pewne!

*

Czwarta rano. Obudziłam się i od razu poczułam okropne mdłości. Znam ten stan. To ze strachu przed nieznanym. Zawsze tak miałam. Przed pierwszą spowiedzią, pierwszą komunią, różnymi egzaminami i maturą oczywiście. Mdłości nie miałam tylko przed ślubem. Teraz już wiem dlaczego... Paniczny strach dawał zawsze o sobie znać, gdy to coś miało się udać. Moje małżeństwo nie udało się, zatem mdłości nie były potrzebne. Ale teraz jest jeszcze gorzej niż zwykle. Szybko wstaję, muszę biec do toalety. No tak! Jeszcze i biegunka! Jakby same mdłości nie wystarczyły.

Siedzę na sedesie. Żołądek zacisnął się do wielkości pięści. A ja nadal siedzę. Jak mam zdążyć na piątą, skoro do tej pory nawet po papier nie zdążę sięgnąć? Jednak myślę sobie, że to jest dobry znak. Takie przeczyszczenie. Może w ten sposób strach mnie opuszcza i będę

gotowa do podjęcia wyzwania, jakim jest praca u Pawła? Tak!
Przekonuję siebie i zdecydowanym ruchem sięgam po niebieski papier.
Potem budzę Kubę, szepcząc mu do ucha, że się zdecydowałam i jadę na bazar. On mruży, żebym się nie martwiła o chłopców, on się nimi zajmie i mogę wziąć poloneza. Alleluja! Tylko muszę go zatankować.

O czwartej czterdzieści pięć jestem już przy drzwiach baru. I znów wielkie zdziwienie! Drzwi są otwarte na oścież, a w środku Ania na wielkiej tarce ściera żółty ser. Zauważyła mnie i uśmiechnęła się szeroko.

– Fajnie, że jesteś! Paweł straszył mnie, że możesz nie pojawić się dzisiaj... i wcale.

– Tak ci zależy, abym tu pracowała? – Od razu walę jej na ty, bo na oko jest kilka lat młodsza ode mnie.

– Pewnie! Już od miesiąca błagam go, aby pozwolił mi wziąć zwolnienie. A on tylko obiecuje, że jak znajdzie kogoś na moje miejsce, to mi pozwoli – mówiła, nie przerywając tarcia sera. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w żółte strużyny, które szybko zapełniały srebrną miskę.

– Nie mogłaś tak po prostu iść do lekarza i wrócić ze zwolnieniem?
– dziwię się na głos.

– Mogłabym. Pewnie! – Ania skończyła trzec ser, odstawiła miskę i schyliła się do wiadra, w którym była mała szatkownica. – Ale to byłoby nie w porządku. Paweł jest spoko. Jak mu powiedziałam, że jestem w ciąży, to mi pogratulował i obiecał taryfę ulgową. – Nie przestając mówić, wzięła sporą główkę kapusty i zaczęła ją szatkować.
– Pod warunkiem że, o ile nie będzie to nagły problem, będę uprzedzała go o wizytach u lekarza i planowanych zwolnieniach.

– Hm, czyli pełna lojalność wobec szefa! – Zaśmiałam się. – Co mam robić? – zapytałam, chowając torebkę do jedynej zamykanej szafki, która stała tuż obok drzwi. – Nikt mi jej nie buchnie? – dodałam nieufnie.

– Raczej nie. Ale nie gwarantuję. To jest bazar! Tu aż roi się od złodziei, więc wszystko jest możliwe. Od czego masz zacząć, sama zapytaj szefa. Właśnie nadchodzi.

Nadchodzi? To było małe słowo. Paweł nie nadchodził, tylko

toczył się główną aleją, niosąc przed sobą olbrzymi pojemnik wypełniony po brzegi pieczywem. Przezornie wyszłam z baru, bo wątpiłam, abyśmy się tam wszyscy pomieścili. Miałam rację. Ania wepchnęła się w kącik pomiędzy dwie mikrofalówki a opiekacz do kebabu. Paweł wszedł do środka i na podłodze postawił pojemnik. Sapnął głośno. A potem zwrócił się do mnie:

– Jak tam, ciężko było wstać?

– Ależ skąd! – zaprzeczyłam. – Co mam robić, szefie?

– Spojrzałam na niego i od razu pożałowałam swoich słów. Zmarszczył się. Nie spodobał mu się dowcip. Trudno! Widocznie długa współpraca nie będzie nam pisana.

– Na początek, Beatko, nauczysz się segregować pieczywo. Popatrz. – Ukucnął obok góry pieczywa i zaczął rozkładać je do mniejszych pojemników. – Te długie paluchy odkładamy na zapiekanki. Przycinamy je wzdłuż i już zapiekanka prawie gotowa. – Kiwnęłam głową. Proste. Przecież nieraz jadłam zapiekanki. – Te małe, z sezamem na wierzchu, to na hamburgery i cheeseburgery. Nacinamy je, wiesz jak, prawda? Dobra, słuchaj dalej. Krótkie paluchy są na hot dogi. I to by było na tyle. A! Z tych z sezamem robimy też fish maki. Tu mamy jeszcze chlebki na kebab. Jak się je kroi, sama zaraz zobaczysz.

Spoglądałam na niego z zaciekawieniem, gdy sprawnie rozdzielał pieczywo do pojemników. Prawie klęczał na skrawku wolnej podłogi. Włosy miał spięte gumką, a na twarzy dłuższą niż ostatnio brodę. Zapadnięte policzki miarowo poruszały się, gdy mi wszystko tłumaczył. Patrzyłam na niego i po chwili przestałam się bać. Ania miała rację. Wyglądał na uczciwego człowieka, chociaż po przejściach. Poczułam się rażniej. Może nie będzie tak źle.

– Dobra, ja jadę po towar, a wy działajcie dalej. – Schował pojemniki z bułkami pod ladę, zabrał pusty i szybko wyszedł z budki. Teraz była moja kolej. Zrobiło się miejsce dla mnie, więc weszłam do środka.

– I jak? Prawda, że jest spoko? – Teraz Ania szatkowała świeże ogórki. – Pieczywo ja powinnam rozpakować, ale on wie, że ciężko jest mi się tak pochylać, i dlatego od jakiegoś czasu sam to robi. Umyj ręce i będziesz mieszała surówkę.

Zatem zaczynam. Dokładnie umyłam ręce, włożyłam gumowe rękawiczki, uklękłam w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą klęczał Paweł. Przysunęłam sobie duży kubek z poszatkowaną białą kapustą. Ania zaczęła dokładać pozostałe składniki: startą marchew, poszatkowaną natkę pietruszki, sól i pieprz. A ja wszystko dokładnie mieszałam. Dwudziestolitrowe wiadro było prawie pełne.

– Aż tyle tego potrzeba? – zdziwiłam się.

– Pewnie! Bywa, że jeszcze trzeba dorabiać już przed południem. Zresztą sama się przekonasz. – Ania właśnie szatkowała czerwoną kapustę, a mnie podsunęła nóż i deskę, i wzrokiem wskazała pomidory. – Pokrój je i włóż do jakiejś miski.

Kroiłam, co mi kazała. Pomidory w plasterki. Kiszzone ogórki w cienkie talarki. Cebulę w drobniutką kostkę. Umyłam liście sałaty. Z dużej torebki nasypałam do miseczki prażoną cebulkę. Potem z foliowych pojemników przelewałam majonez, keczup i inne sosy do plastikowych dozowników. Ania wydawała polecenia szybko i pewnie. W małym palcu miała wszystko, co należy przygotować, zanim pojawią się pierwsi klienci.

– Teraz zajrzyj do lodówki – powiedziała, gdy warzywa i dodatki były już przygotowane. Otworzyłam dwumetrową chłodziarkę, która ledwie mieściła się w pomieszczeniu. – Jest tam wszystko, co potrzebne do zrobienia żarełka. – Ania uśmiechnęła się, widząc moje zdziwienie, ale nie skomentowała, tylko zajęła się robieniem herbaty dla nas. A ja patrzyłam i patrzyłam na stosy parówek w folii, kotletów wołowych, smażonych kostek rybnych, kotletów schabowych, kielbasy podwawelskiej, paczuszek z plastrami żółtego sera, surowego mięsa drobiowego.

– Na co to mięso? – zdziwiłam się.

– Cholera! Zapomniałam o kebabie. Trzeba te ochłapy nadziać i uruchomić opiekanie mięsa na kebab. – Szybko i sprawnie nakładała kawałki mięsa na ostry szpikulec. A potem coś tam przekręciła, pstryknęła i po chwili urządzenie zaczęło się powoli kręcić, a płomień gazu przypiekał mięso. – Zaraz pokażę ci, jak trzeba je przycinać. Teraz wypijemy herbatę, bo potem już możemy nie mieć czasu!

Pijąc herbatę, przejrzałam jeszcze zawartość zamrażarki. Czego

tam nie było! Całe paki mrożonych karbowanych frytek. Mrożona fasolka po bretońsku. Mrożony bigos. Pyzy, pierogi i mrożone pizze. Czyli wszystko, czego może potrzebować głodny klient.

Potem jeszcze zdążyłam sprawdzić, co mieści się na wiszącej pod sufitem minipółce. Tam znajdowały się torebki z barszczykami w proszku, rosołkami, budyniem, kisiem i czekoladą w proszku oraz różne rodzaje kawy i herbaty. Cukier w małych saszetkach, papierowe ręczniki, serwetki, jednorazowe sztucce, talerzyki, tacki, kubeczki. Butelki z sokiem malinowym, przyprawą w płynie i Bóg jeden wie z czym jeszcze! Kręciło mi się w głowie, gdy pojawił się pierwszy spragniony klient.

– Pani Aniu kochana! Kawkę jak zwykle poproszę!

– Już się robi, Jureczku kochany! – Ania, śmiejąc się, napełniła wodą bezprzewodowy czajnik i czekając na wrzątek, wysłuchiwała dawki bazarowych plotek, którymi raczył ją Jureczek, właściciel budy z pieczywem, stojącej po drugiej stronie głównej alei. Gdy już poszedł, szepnęła mi, że dla niego trzeba być miłym, bo gdy brakuje nam pieczywa, to on sam je przynosi.

– Ale przecież Paweł niósł pieczywo z samochodu? – Wygląda na to, że cały dzień będę się dziwić.

– Och, głuptasku! – Ania śmieje się ze mnie. – Rano Paweł wszystko przywozi z piekarni. Ale czasami jest taki ruch, że zaczyna brakować nam bułek. I jak nie ma czasu, by jechać do piekarni, po prostu krzyczymy do Jureczka, aby pieczywo nam podrzucił. O! I cała filozofia. Naturalny łańcuch pokarmowy. Tak! Cały bazar to jeden wielki łańcuch pokarmowy. Żywioł, który albo się kocha, albo... przed którym trzeba uciekać. Paweł go kocha, co widać gołym okiem.

A ja? Jak tu się będę czuła? – zadałam sobie pytanie, na które jeszcze nie znałam odpowiedzi.

*

Z Anią od razu znalazłyśmy wspólny temat. Jak to matka z matką... Moja babcia zawsze mawiała, że nawet osiemdziesięcioletnia staruszka dogada się z osiemnastoletnią matką, o ile jeszcze będzie pamiętała, jak to było, gdy chodziła w ciąży. Miała rację. Ania od razu

zaczęła mnie wypytywać o różne rzeczy. Sama najwyraźniej też już czuła się matką, bo cały czas paplała o swoim maleństwie.

Po kilku godzinach pracy wiedziałam, że urodzi się dziewczynka. I że będzie miała na imię Kinga, ponieważ to teraz bardzo modne imię. Ciekawe dlaczego? W przerwie pomiędzy przycięciem mięsa na kebab a zrobieniem dziesięciu zapiekanecek na zapas pokazała mi zdjęcia z USG.

– Prawda? Widać, że dziewczynka! – Rozgorączkowana pokazywała mi jakiś cień na prawie całkiem czarnym wydruku.

Przytaknęłam, aby nie robić jej przykrości. Zresztą trochę jej zazdrościłam. Taka młoda, urocza w tym swoim szczęśliwym stanie. Cały świat wydawał się jej oazą radości. Nie chciałam jej psuć tego nastroju. A mogłam! Przecież jak mnie robili USG przed urodzeniem się Konrada, to też lekarz był pewien, że będzie dziewczynka. Potem, gdy już urodziłam, przez kilka minut nie mogłam uwierzyć, że mam syna. Tak działa siła sugestii. Tak bardzo pragnęłam mieć córkę. Nawet czasami, gdy spóźniał mi się okres, śmialiśmy się z Michałem, że może zaskoczyłam i będzie dziewczynka. Ale specjalnie się o nią nie staraliśmy. Warunki mieszkaniowe były fatalne. Tylko Michał pracował, więc trzecie dziecko nie było nam aż tak bardzo potrzebne do szczęścia. Ale teraz, gdy Ania bez przerwy paplała, jakie już sukieneczki kupiła dla małej, jakie różowe skarpeteczki i różowe kapelusiki ma, zaczęła budzić się we mnie jakaś taka dziwna tęsknota. Jakiś żal, że wszystko, co najlepsze, już minęło. Już wszystko przeżyłam. Pierwsze zauroczenie. Dwie ciąży. I ten uroczy czas, gdy chłopcy byli słodkimi niemowlakami, a każdy dzień, chociaż tak bardzo męczący, przynosił coś nowego. Nowy uśmiech, gaworzenie. Dzwoniący o metalową łyżeczkę ząbek, który pojawił się nie wiadomo skąd. Pierwsze słowa, pierwsze krociki. Łzy, gdy obtarło się kolano... To wszystko już mam za sobą. Chłopcy z dzieciennego kojca przenieśli się do garażu Kuby. I teraz już nie jestem dla nich żadnym autorytetem. Nawet nie wiem, co to jest klucz nasadowy. A już na pewno nie mam pojęcia, jak odkręcić świecę przy motorze! Więc po co jeszcze jestem im potrzebna? Te myśli natrętnie powracały.

– A wiesz? – Ania paplała bez przerwy. – Tak naprawdę mieliśmy wpadkę. Gumka nam pękła! – Wybałuszyłam oczy ze zdziwienia,

dopiero co mnie poznała, a już mi tak intymne szczegóły zdradza, ale nie nie powiedziałam, tylko zajęłam się krojeniem pieczarek na zapiekankę, bo zauważyłam, że te mrożone już się skończyły. – Jak ta guma nam pękła, mój facet przestraszył się i w środku nocy chciał jechać do apteki, aby kupić tę pigułkę po stosunku. Ale na nią podobno trzeba mieć receptę. A skąd ją wziąć w środku nocy, co?

Nie bardzo wiedziałam, co jej mogę odpowiedzieć, więc nadal w milczeniu siekałam pieczarki, a ona dalej gadała:

– Rano miałam iść do ginekologa, ale coś mnie tknęło i stwierdziłam, że zaryzykuję. Jak będę w ciąży, to będę, powiedziałam mu i tyle. W końcu mam już te dwadzieścia cztery lata i może faktycznie to dobry czas na dziecko? I tak los sam zdecydował, że już niedługo będziemy mieli małą Kingę. Prawda, że dobrze się złożyło?

– Przytakuję, bo co ma robić? Dobrze, że tak się cieszy. Ja też się cieszyłam, że będę mamą.

– A Paweł? – zapytałam. – Czy on ma dzieci?

– Nie. Nic mi o tym nie wspominał. Chybaby coś powiedział, gdyby je miał, przecież pracuję u niego od samego początku, jak tę budę kupił. – Nadal miała potrzebę paplania, buzia nawet na chwilę się jej nie zamykała. – Nawet pamiętam, jak szyld mu przywieźli!

– Tak? – podchwyciłam temat. – To on wtedy pewnie był z jakąś Beatą?

– A skąd! Nawet zadałam mu to samo pytanie, na czyją cześć ta głupia nazwa. A on zaśmiał się i powiedział, że z przekory. Podobno słyszał, jak ktoś kiedyś powiedział, że Beata to żadne imię. Nie dość, że Be! To jeszcze i łąta! Ha, ha, ha – zaśmiała się Ania i nagle chwyciła się za brzuch i zaczęła jęczeć z bólu.

Rzuciłam nóż na blat i pomogłam jej usiąść na taborecie. Zasunęłam szklaną szybkę, aby nikt niczego od nas nie chciał, i na prośbę Ani zadzwoniłam do Pawła. Za niespełna pięć minut był już na miejscu, wziął Anię na ręce i wzbudzając ogólną sensację na bazarze, zaniósł ją do samochodu. Mnie kazał odsunąć szybkę i pracować, jakby nic się nie stało! Zbaraniałam, nawet jeszcze nie opanowałam obsługi kasy fiskalnej, ale nie zdążyłam mu już tego powiedzieć, zniknął na końcu alei, gdzie stał jego samochód. Musiałam jakoś sobie poradzić.

Tylko nie bardzo wiedziałam jak.

Po dwóch godzinach na barową komórkę przysłała wiadomość. Nie wiedziałam, czy mi wolno, ale ją odczytałam. Jednak była dla mnie.

Paweł napisał:

„To po moim urlopie! Ania zostaje w szpitalu. Za godzinę przyjadę Ci pomóc. Jak nie dasz rady z kasą, sprzedaż zapisuj w zeszycie”.

*

Odkąd zaczęłam pracować w barze, w domu mówią na mnie Frytka. Gdy pierwszego dnia wróciłam z pracy i chciałam na powitanie ucałować chłopców, obaj odepchnęli mnie i odbiegli ze śmiechem.

– Mama pachnie jak frytka! Mama-frytka! Mama-frytka...

Kuba pociągnął nosem. Potem podszedł do mnie i przytknął twarz do mojej bluzki, obwąchał moje włosy i wydał wyrok:

– Marsz do łazienki! Śmierdzisz przypalonym olejem jak frytka! Zanim usiądziesz z nami do stołu, proszę zmyć z siebie ten obrzydliwy zapach!

Kuba był okrutnym sędzią. On rządził w domu i dlatego z pokorą pomaszerowałam do łazienki. Wykąpałam się, a ubrania, w których pracowałam w barze, wrzuciłam do pralki. Rzeczywiście! Pachniały fast food, gorącym olejem, kebabem i całym tym żarciem, jakie przez cały dzień robiłam. Od tego dnia pierwsze kroki po powrocie z pracy od razu kierowałam do łazienki. Ale i tak chłopcy i Kuba wołają na mnie Frytka. Ale co tam! Lepiej być zarabiającą Frytką niż bezrobotną mamą.

Ania już nie wróciła do baru. Lekarze zalecili jej dużo leżenia i odpoczynku, by poród nie zaczął się przedwcześnie. Paweł drapał się w głowę i wyrzucał sobie, że tak długo zmuszał ją do pracy. I że nie daruje sobie, jak dziecku coś się stanie. Próbowałam go pocieszać, przecież mogła sama, bez jego zgody, iść wcześniej na zwolnienie. I nic by jej nie zrobił. No! Przynajmniej do porodu.

– Ty nic nie rozumiesz! – tłumaczył mi, kiedy akurat nie było nikogo pod budką. – Ania sama na początku ciąży chciała pracować jak najdłużej, bo potrzebowała pieniędzy! A będąc na zwolnieniu, pracując na pół etatu, to za dużo nie dostanie.

– A ten jej facet? Mało zarabia? – dopytywałam się z ciekawości.

– On? – Paweł nie krył zdziwienia. – On siedzi w mamrze, a ona, głupia, jeszcze paczki mu tam zawozi!

Teraz to ja już nic nie rozumiałam. Ania zupełnie co innego mi opowiadała. Ale wolałam nie mówić nic o tym Pawłowi, a nuż jej powtórzy? I będzie dziewczynie przykro, że ją obgaduję.

– Złapali go, jak dragami handlował. Potem inne sprawki wyszły na jaw i zapuszkowali go na jakieś dwa–trzy lata. I Anka sama musi sobie radzić! – Paweł chyba naprawdę ją lubi, w jego głosie słychać było współczucie. – Ale obiecałem jej pomoc, gdyby potrzebowała.

– Dlatego do ciebie kazała mi dzwonić, gdy zasłała.

– Tak. Ona tylko mnie tu ma... – Urwał nagle, a ja poczułam uszczypnięcie jakiejś takiej złości. Na nią i na niego. Że tak się przyjaźnią i w ogóle, takie tam...

Szybko odstawiłam kubek z niedopitą herbatą i zaczęłam szatkować kapustę, aby dorobić surówki, której pewnie znów nam zabraknie.

– Beata, zła na mnie jesteś? Co? – Pochylił się nade mną i poczułam na włosach jego oddech.

– Nie! Dlaczego? Tak się tylko zamyśliłam, coś mi się przypomniało.

Poderwałam się od tej kapusty i zaszyłam w kącie, obok mikrofalówek, że niby coś tam mam pilnego do zrobienia. Znów to samo! Odkąd pracujemy tylko we dwoje, nie mogę sobie poradzić z tą jego bliskością. Ciągłe objamy się o siebie. Ja przyjmuję zamówienie, wbijam na kasę należność, wydaję resztę. Paweł w tym czasie już szykuje zamówione zapiekanki, frytki czy coś tam innego. I podając klientowi zamówienie przez okienko, niby przypadkiem ociera się o mnie. On przyjmuje zamówienie, a ja chcę do hot doga włożyć warzywa... nagle wpadamy na siebie, kiedy Paweł akurat wyjmuje chlebek na kebab. I tak ciągle! Dotykamy się biodrami, ramionami, brzuchami. Objamy się o siebie. W budzie jest tak mało miejsca, że nie ma możliwości elegancko i z zachowaniem właściwej odległości wyminąć się.

Z Anią też tak było. Ciągłe uważałam, aby nie uderzyć jej w spory już brzusek. A i tak po kilku godzinach znałam każdy wystający

kawałek jej ciała. I wcale mi to nie przeszkadzało! Ale fizyczna bliskość z Pawłem mnie razi. Nie znoszę, gdy zahaczy o moje ciało swoimi wystającymi kośćmi. Paweł jest chudy, długi i przeraźliwie kościsty. Do tego jest mężczyzną! W tym jest problem. Po prostu odzwyczyłam się od tak bliskiego kontaktu z facetem. Z Kubą, choć jesteśmy rodzeństwem, zazwyczaj zachowujemy spory dystans. Chłopców nie mogę w żaden sposób porównywać z Pawłem. Oni są moimi dziećmi, częścią mnie. W nich nic mi nie przeszkadza. Zresztą obaj są podobni do Michała: wysocy, dobrze zbudowani, z ładnymi buziami. Takie miniaturki tatusia. I chociaż mam ogromny żal do niego, to jednak cieszy mnie, gdy ktoś mówi, jakich przystojniaków wychowuję. Wtedy puchnę z dumy. I co z tego, że podobni do ojca? To ja jestem ich matką i cieszy mnie ich uroda.

Paweł jest brzydki. Zapadnięte policzki, długie włosy, przeraźliwa chudość. Wszystko w nim jest zaprzeczeniem piękna, jakie zwykłam podziwiać u mężczyzn. Tak, ale Paweł jest moim szefem i nie powinnam o nim w ten sposób myśleć. On też tak chyba uważa, i kiedyś sam mnie zagadnął:

– Beata, czy mi się wydaje, czy ty... czy tobie się wydaje, że ja cię tak specjalnie dotykam? – Zauważył moją niechęć. To pewne!

– Nie! Nie! Ja wiem, że tu jest tak bardzo ciasno. I z Anią też tak się gniotłyśmy – tłumaczę mu zmieszana. Patrzy na mnie badawczo. Czuję na sobie jego świdrujący wzrok.

– Słuchaj – mówi, mieszając bigos w garnku – gdybym mógł, pracowałbym z samymi facetami. Ale nie mogę! Dwóch facetów obok siebie w takiej budzie to jak nic gotowa upadłość!

– Tak? Dlaczego? – Próbuję kawałka upieczonego mięsa drobiowego i udaję, że nic a nic nie rozumiem.

– Przecież zaraz na bazarze byłby krzyk, że pedały! I w ogóle. Rozumiesz? – Wcale nie oczekuje na moją odpowiedź, tylko ciągnie dalej: – Dlatego zatrudniam dziewczyny. W życiu już o niejedno byłem podejrzwany. A teraz, nareszcie, chciałbym spokojnie żyć! Rozumiesz, Beato?

– Oczywiście – odpowiadam cicho, a on przytula mnie do siebie i śmiejąc się, mówi:

– W ostateczności możesz oskarżyć mnie o molestowanie w pracy. Ale zapewniam cię, że na razie obijanie się o ciebie nie ma podtekstu erotycznego.

Robię się cała czerwona. Paweł zauważa moje zawstydzenie i szepcze, że jak będzie miało taki podtekst, sam mi o tym powie. Dobrze bawi się moim kosztem. Nie ma co! Ale ja szybko uczę się od niego.

– Jak będę miała na ciebie ochotę, też ci to powiem! Szefuniu.

– O! I się rozumiemy! To jest właściwe nastawienie. Zobacz, chyba kolejka nam się szykuje.

Dalsze godziny spędziliśmy na nieustannym przygotowywaniu hot dogów, herbat, kaw, kebabów i niezliczonej ilości zapiekanek. Jednak nadal starałam się unikać jego ciała. Nic na to nie mogłam poradzić.

*

Wakacje powoli zbliżają się do końca, a ja jeszcze nie zapisałam chłopców do szkoły w Starszym Folwarku. Gdy wyprowadzaliśmy się z Osady, nawet nie przyszło mi do głowy, aby zabrać dokumenty z podstawówki, do której obaj chodzili. W domu mam tylko ich świadectwa. Czy to wystarczy do zapisu? Muszę się dowiedzieć.

W poniedziałkowe przedpołudnie, kiedy ruch na bazarze nie jest zbyt wielki, Paweł pozwolił mi zniknąć na małe dwie godzinki, bym mogła zapisać chłopców do nowej szkoły.

Nowej? Dla nich tak. Ale ja, gdy powoli wchodziłam do niej po czterech betonowych schodach, czułam się, jakbym znów wracała do siebie. Przecież była moją i Kuby podstawówką. Miejscem czasami znienawidzonym, a czasami pełnym wzruszeń i niesamowitych przeżyć. Tu czułam się jak w domu. Znałam każdy kąt tego niezbyt dużego przybytku. Każdy nauczyciel był nam bliski, chociaż wciąż wymyślaliśmy im przezwiska. Dyrektora nazywaliśmy Łysym, panią od „wszystkiego”, jak jeszcze za naszych czasów się zdarzało, zwaliśmy Bubalaczką, był Głupi Jaś, Licha, Wielkie Cyce, Żarówka i jeszcze inni.

Do innych zaliczała się obecna pani dyrektor, która rozpoczęła pracę, gdy byłam w klasie ósmej. To była ciekawa istota. Niska, drobna, o głosie ledwie słyszalnym dla ludzkiego ucha. Przynajmniej tak nam się wydawało na lekcjach matematyki, której uczyła. Nie potrafiła przebić

się przez decybele wydawane przez piętnaścioro uczniów. Była dla nas za delikatna. Jednak, jak się okazało, do prowadzenia szkoły wprost stworzona. Przez następnych piętnaście lat broniła jej przed zamknięciem z powodu niedostatecznej liczby uczniów. Potrafiła tym swoim mdlejącym głosem co roku przekonywać wójta i całą sferę radnych, że w interesie gminy nie leży zamknięcie naszej szkoły i wożenie dzieci do oddalonej o dziesięć kilometrów Niwy. Pod koniec jej subtelnego przemówienia podobno radni prawie płakali wzruszeni i większość głosowała przeciwko zamknięciu placówki. Po cichu mówiło się, że miała romans z przewodniczącym rady gminy i to on urabiał tę większość przed głosowaniem. No tak, obecna pani dyrektor, gdy się pierwszy raz pojawiła w naszej szkole, trzymała za rączkę może czteroletnią córeczkę. Owoc krótkiego małżeństwa, jak niekiedy wyznawała ze smutkiem.

Tak i gdy mnie zobaczyła przed drzwiami swojego gabinetu, od razu zaszepiała:

– Zastanawiałam się, kiedy przyjdiesz, Beatko. Ja wiem, że ci teraz bardzo ciężko, ale z czasem sama zobaczysz, że życie bez mężczyzny też ma sens.

– Dzień dobry, pani dyrektor – przerwałam to pocieszanie. Przecież sama dobrze wiem, co tu o mnie teraz wszyscy gadają. – Chciałabym zapisać moich synów do szkoły. Da radę?

– Ależ oczywiście! – Wzięła z moich rąk świadectwa i nawet nie czytając rozwlekłej oceny opisowej, która mówi i nie mówi, co dany uczeń potrafi, zaczęła kontynuować najwidoczniej już wcześniej przygotowaną mowę. – Wiesz, Beatko, że twoi synowie ugruntują pozycję naszej szkoły w tym roku szkolnym?

– Naprawdę? – wykrzyknęłam szczęśliwa, że rozpad mojej rodziny do czegoś się przydał.

– Tak! – Najwyraźniej pani dyrektor moją radość potraktowała serio. – Bo gmina wymaga od naszej szkoły, aby posiadała równo osiemdziesięcioro uczniów. Nie wiem, który radny-bezradny to wymyślił, ale co roku dręczą mnie tą liczbą. Nie masz nawet pojęcia, ile ja się muszę nagłowić, aby mieć tylu uczniów. – Nie, nie miałam. – Doszło nawet do tego, że nagabuję matki pięcio- i czterolatków, aby je

wcześniej posyłały do szkoły. I wszystko po to, aby osiągnąć jakiś bzdurny limit. Widzisz, Beatko, już w czerwcu, gdy ktoś mi powiedział, że twój brat sprowadzi cię do domu, ucieszyłam się. Akurat dwóch uczniów brakowało mi do magicznej osiemdziesiątki. No i proszę! Z nieba mi spadłaś! Ale na wszelki wypadek namówiłam jeszcze matkę czteroletnich bliźniaków, aby ich podesłała do zerówki. Zgodziła się, bo przedpołudniami dorabia sobie w sklepie i takie rozwiązanie jej pasuje. Dzieci będą do południa w szkole, a ona nie wyda na opiekunkę. Teraz, jak ty mi się tu, Beatko, pojawiłaś, to mamy już osiemdziesięcioro dwoje uczniów! – z dumą poinformowała mnie pani dyrektor. – I żaden radny w tym roku do nas się nie przyczepi!

– Bardzo się cieszę – wymamrotałam, choć miałam pewne wątpliwości co do metod pani dyrektor, ale wolałam je przemilczeć. Spisała dane Patryka i Konrada, adres ich poprzedniej szkoły. Obiecała, że osobiście dopilnuje, aby podstawówka z Osady przesłała wszystkie potrzebne dokumenty.

– Bardzo pani dyrektor dziękuję! – Staralam się być miła, bo jednak zdjęła mi spory kłopot z głowy.

– Beatko – powiedziała na do widzenia. – To miejsce przyciąga porzucone kobiety. Sama się przekonasz. Do widzenia.

Przekonałam się. I owszem. Zaraz po wyjściu z jej gabinetu na korytarzu dostrzegłam Ankę Muzyczne Usta szorującą lamperię. Była ubrana w jeden z tych klasycznych fartuszków sprzątaczek szkolnych. Wyglądało na to, że była woźną. Zauważyła mnie. Przerwała zmywanie. Podeszła i się uśmiechnęła.

– Cześć, Anka!

– Cześć, Beata! A co ty tu robisz? – zapytała. Ona jedna udawała, że o niczym nie wie, jakby pani dyrektor na głos nie wyliczyła uczniów, których można przyprowadzić do szkoły. Opowiedziałam jej pokrótce, co mnie tu sprowadza. Anka nadal się uśmiechała, tym swoim słodkim uśmiechem, za który Kuba kiedyś dałby się zabić, a teraz przez niego nienawidzi wszystkich kobiet.

– A jak tam twój brat?

– Jakoś się trzyma – odparłam, idąc w stronę wyjścia, ale jeszcze odwróciłam się do niej i dodałam: – Ale mógłby trzymać się lepiej,

prawda? – Uśmiech znikł jej z ust. Nic nie odpowiedziała. Wzięła szcztokę i wróciła do szorowania lamperii. No tak! Co mi mogła powiedzieć? Przecież ona też była porzuconą kobietą. I to w jeszcze gorszej sytuacji niż ja. Przecież ją porzucił Arab.

*

Po miesiącu pracy w fast foodzie zdecydowałam, że zostaję i godzę się na Pawła warunki. I tak od trzech lat opłacam składkę w KRUS-ie, więc na dobrą sprawę mogę sobie darować jego ubezpieczenie.

Paweł był zadowolony. Obiecał raz na kwartał dokładać mi do pensji dwieście parę złotych na opłacenie ubezpieczenia w KRUS-ie. Miałam świadomość, że ten układ nie do końca jest dobry, ale jednak zgodziłam się. Dlaczego? Polubiłam tę pracę. Pawła też.

Na swój sposób był wyjątkowy. Kiedyś studiował prawo, ale rzucił naukę, gdy już bardzo ostro ćpał. Potem, z bliżej mi nieznanymi powodów, po śmierci Szymona Zarządcy przeprowadził się z Warszawy do Starszego Folwarku, gdzie z pomocą swojego taty zaczął obsiewać odziedziczone hektary kukurydzą i owsem. Jakby tego mu było mało, wynajął na bazarze budę i zaczął prowadzić fastfoodowy interes. Tak, Paweł to wyjątkowy człowiek. Mówi, że od kilku lat jest czysty. I ja mu wierzę, choć, gdy na niego patrzę, mam wrażenie, że błędy młodości nadal nie dają mu spokoju. Ale to nie moja sprawa. No bo kto nie popełnia w młodości błędów? No kto?

Na wsi wszyscy bardzo go lubią. Jest taki swojski. I do kościoła pójdzie się pomodlić, i do baru wypić kilka piw. Zachowuje się, jakby nigdy nie mieszkał w stolicy, nie wyjeżdżał na wakacyjne kursy językowe do Anglii, nie studiował prawa. Tak się dostosował do wiejskiego trybu życia, że czasami mam wrażenie, jakby był stąd. Ale nie był i ja to wiem najlepiej! Jego matka tu się wychowała, a nigdy nie widziałam jej na oczy. Uciekła z domu, gdy miała osiemnaście lat, i od tamtej pory nie przyjeżdża do Starszego Folwarku, nawet do swojego syna. Dlaczego? Nie mam pojęcia.

Matka Pawła to rodzona siostra Szymona Zarządcy. Tylko tyle o niej wiem. Na razie! Pewnie Paweł kiedyś coś mi o niej opowie, ale sama nie nalegam, bo po co?

Równy facet z niego. Dał mi pracę, hm, co prawda na czarno, ale jednak dał. Pozwala zabierać do domu resztki warzyw i mięsa, których nie da się przechować do następnego dnia. Z kawałków kebabu gotuję w domu gulasz, do którego dodaję warzywa i ziemniaki. Chłopcy i Kuba są zachwyceni. Tylko palce oblizują i proszą o dokładkę. Nie jest to dużo, ale zawsze coś... tak trochę łatwiej mi żyć.

*

Na początku września Paweł zaproponował mi, że może poduczyć chłopców angielskiego. Wcześniej wygadałam się, że mają z tym językiem kłopoty. Ja mówię trochę po niemiecku, ale anglika nie znam i nie potrafię pomóc chłopcom. Paweł powiedział, że i tak prawie co wieczór czyta *Harry'ego Pottera* w oryginale, więc z przyjemnością podzieli się odrobiną swojej pasji z Patrykiem i Konradem.

Jak on to ładnie ujął: podzieli się... Jakby mówił, że podzieli się tym wszystkim, co ma. Ale nie za darmo! Nie, nie!

W zamian za jego dobroć podjęłam się doprowadzania Starego Parku do dawnej świetności. Przyznaję, to był mój pomysł. Nie mogłam po prostu patrzeć, jak najpiękniejsze miejsce na ziemi powoli ginie, zarastane przez krzaki i niebotyczne zielsko. Podpowiedziałam Pawłowi, że gdyby przywrócił parkowi dawny wygląd, mógłby wystąpić z wnioskiem o dopłaty obszarowe dla tego kawałka ziemi. A jesień jest najlepszym momentem na przeprowadzenie porządków, wycięcie zbędnych krzaków, przycięcie uszkodzonych gałęzi, na co zazwyczaj wiosną brakuje czasu.

Na myśl o dodatkowych pieniądzach zabłyśły mu oczy i obiecał, że zorganizuje kogoś do pomocy, i zaproponował, żebym sprawowała nadzór nad całością robót. On nie za bardzo zna się na drzewach, parkach i całym tym zielonym bałaganie. Tak mi powiedział.

Natomiast ja znałam się, i to całkiem nieźle. Od lat, w myślach, przywracałam dawny blask temu zakątkowi. Oczami wyobraźni widziałam znów wyżwirowane alejki, pogłębione sztuczne kanały, po których płynie mała łódka... a pod stuletnimi dębami ustawiałam ławki, których podpory kute były z metalu na kształt lwich łap. Wyobrażałam sobie, jak spaceruję po Starym Parku, jak planuję, gdzie można zrobić

duży różany klomb, a gdzie najlepiej prezentowałyby się fontanna. Hm, z tą fontanną może trochę się zagalopowałam, ale ze dwa mostki na pewno pasowałyby tu idealnie. Tam gdzie dwie odnogi kanału łączyły się z rzeką, były wymarzone miejsca dla lekko wygiętych, uroczych mostków o kutyh w fantazyjne wzory barierkach.

Swój projekt przedstawiłam Pawłowi. Popatrzył na mnie. Pokiwał głową. Potem wymownie złapał się za portfel i stwierdził, że mogę robić, co chcę, tylko mam nie przesadzać. Co do tych mostków i łódki, on się jeszcze zastanowi. Coś mu się wydaje, że jego pracownica ma zbyt romantyczną naturę! I tu trafił w sedno. Faktycznie, gdzieś w głębi serca byłam romantyczką. Miałam o to do siebie żal, ale cóż, na pewne sprawy właściwie nie mamy wpływu.

Tak jak obiecał, kilka dni po naszej rozmowie mogłam rozpocząć modernizację parku. Do pomocy przy karczowaniu krzaków Paweł umówił dwóch nastoletnich chłopaków, którzy czasami dorabiali u niego, wykonując różne prace w polu. Obaj doskonale jeździli ciągnikiem, co okazało się najważniejszą sprawą. Ja tylko pokazywałam im, które krzaki czarnego bzu, sumaków czy innego cholerstwa należy wyrwać z korzeniami, a Adaś z Norbim sprawnie zaczepiali wokół nich linkę przymocowaną do haka z tyłu ciągnika i po chwili słychać było krótki trzask, ciągnik ruszał do przodu, a za nim dyndał krzew bielejący obdartymi ze skóry korzeniami.

Szkoda, że nie mogliśmy dużo czasu poświęcić na roboty w Starym Parku. Pracowałam do czternastej (zaraz jak największy ruch się kończył, Paweł pozwalał mi wracać do domu, abym razem z Adasiem i Norbim mogła jeszcze do wieczora coś zrobić), a oni w tym czasie wracali ze swoich szkół. Nadeszła jesień i mieliśmy mało czasu na pracę. Wieczór zapadał coraz szybciej i wciąż się nie wyrabialiśmy. Jednak po pierwszym tygodniu w parku jakby przejaśniało. Znikły krzaczki, krzaki i krzaczory. Tylko wielka sterta gałęzi i korzeni na podwórku Pawła świadczyła o ogromie pracy, jaką wykonałam z małolatami. Co prawda specjalnie się nie przepracowywałam. Chłopcy w mig łapali, o co mi chodzi, i sami zajmowali się ciężką robotą. Ja siedziałam na zwalonym pniaku i wydawałam polecenia.

– Adaś, ten krzak białego bzu zostaw. Jest jeszcze w miarę młody,

a chociaż dziki, pewnie kwitnie ładnie, ale tamte obok lip wyrwijcie wszystkie.

– Uważajcie na młode dęby. Rosną trochę nie tu, gdzie powinny, ale po prostu inaczej poprowadzimy alejkę. Czy wiecie, chłopcy, jak długo rosną dęby?

– Doły po wyrwanych korzeniach od razu zasypujcie ziemią, abyśmy w nie nie powpadali.

Konrad z Patrykiem, jak tylko odrobili lekcje, też przybiegali do nas i pomagali, jak mogli.

– Mamo, a pan Paweł naprawdę pozwoli nam tu łódką pływać?

– Mamo, a tu prawdziwe damy na spacerzy przychodziły?

Naprawdę?

– Mamo, a skąd ty wiesz, jak się robi parki, no skąd?

Paweł tylko się śmiał, słysząc naiwne pytania moich synów.

– Właśnie – powtarzał za nimi – a skąd mama wie, jak się robi parki?

Zamiast odpowiedzi rzucałam w niego jabłkami leżącymi pod dziką jabłonką i aż proszącymi, aby je jeść. Próbowaliśmy, ale były tak cierpkie, że wykrzywiały usta. Stanowczo lepiej nadawały się na broń przeciwko przemądrzałemu Pawłowi. Powiedzenie „parki robić” samo z siebie mi się wzięło. Zawsze kochałam lasy i stare drzewa. Gdy tata na opał w lesie je ciął, płakałam, bo mi ich było żal. I to „robienie” chyba stąd się wzięło, z tej mojej miłości do drzew. Ale nie tłumaczyłam tego Pawłowi, tylko raz za razem podnosiłam z ziemi jabłka i w niego rzucałam. Chłopcom bardzo się nasze wygłupy podobały i zamiast robić coś pożytecznego, zaczynali niekończące się bitwy i gonitwy po parku.

Wrzesień był wspaniały. Czułam, że powoli odzyskuję spokój. Zarabiałam pieniądze, chłopcy przyzwyczaili się do nowej szkoły, Paweł pomagał im w angielskim, a Kuba okazywał zadowolenie, że wreszcie przestałam płakać po kątach. Chociaż niekiedy bez powodu był dla mnie niemiły, starałam się nie zwracać na jego fochy większej uwagi.

Rzeczywiście! Przestałam się denerwować. Po prostu nie miałam czasu na płacz, zbędne rozmyślenia czy bezsenne noce. Dni wypełnione były pracą od świtu do nocy. Oprócz pracy w fast foodzie musiałam też sprzątać, pracować, gotować. Takie tam babskie roboty. Ale największą

radość czułam, gdy z każdym dniem Stary Park zmieniał swe oblicze. Samo wycięcie bujnie rozrośniętych krzaków pozwoliło uważniej przyjrzeć się starszym i młodszym drzewom, które w miarę regularnie porastały przestrzeń pomiędzy odnogami kanału.

Paweł tylko kiwał głową, a Kuba, który też od czasu do czasu zaglądał do nas, już się zastanawiał, jak wyczyścić i pogłębić kanały.

– Najprościej będzie przyprowadzić tu ciągnik z cyklopem
– wymądrzał się do Pawła i małolatów, kompletnie mnie ignorując.
– Nie zajmie dużo miejsca, o wiele mniej niż najmniejsza koparka. Fakt.
– Dalej prowadził swój monolog: – Potrwa to dość długo, cyklop łyżkę ma małą, ale zawsze to lżej, niż kopać łopatą! Ziemię od razu trzeba wywozić na pole. O! Na to po owsie będzie bardzo dobrze. W kanałach pewnie od stu lat butwieją liście i ziemia w nich musi być bardzo żyzna. W sam raz pod kukurydzę...

Kiedy usłyszałam znienawidzone słowo, ręce mi opadły i miałam ochotę zdzielić go przez łeb, ale mnie Paweł powstrzymał.

– On ma rację. Jak nic trzeba tu cyklopa. Łopatami przez kilka lat nie pogłębimy tych kanałów. Na wynajęcie jakiejś koparki nie bardzo mnie stać. Skoro tak marzysz o tych mostkach, proś brata, aby swojego cyklopa tu przyprowadził.

Faceci zawsze trzymają swoją stronę.

Po krzakach nadszedł czas na drzewa. Nie, nie wycinaliśmy ich, tylko trzeba było podcinać połamane i smutnie z nich zwisające konary. Podcinką zajął się sam Paweł. Adaś z Norbim wygrabili liście kasztanowców, a moi synkowie robili z nich ognisko. Wszystko po to, aby zniszczyć jak najwięcej larw szrotówki i innych owadów wywołujących choroby kasztanów.

Dziwne, ale gdy byłam dziewczynką, te drzewa nie chorowały. We wrześniu zbieraliśmy z Kubą całe kosze kasztanów i zanosiliśmy je, ku uciesze innych dzieciaków, do szkoły. Potem wszystkie klasy obowiązkowo robiły z nich ludziki i zwierzątka. A teraz? Nie przypominam sobie, aby choć raz Patryk lub Konrad potrzebował kasztanów do szkoły. Widocznie łatwiej jest kazać dzieciom wyciąć z wycinanki zarys postaci, zagiąć wzdłuż linii podstawkę i już ludzik gotowy. Tak, teraz w szkołach już nie robi się koraliki z jarzębiny

i owoców dzikiej róży, osiołków z żołądźmi ani dziadków z szyszek. Czy dlatego, że wszystkie drzewa chorują?

Po kilku tygodniach w Starym Parku nie miałam nic więcej do roboty. Paweł zaproponował, abym na czas najcięższych prac, czyli podcinania spróchniałych konarów i pogłębiania kanałów, zastępowała go w barze. Oczywiście tylko w tygodniu, w weekendy obsługa musiała być stuprocentowa. Inaczej się nie dało. Zgodziłam się, chociaż z żalem. Czas w barze, bez Pawła, dłużył mi się niemiłosiernie. Dlatego zaraz po powrocie do domu razem z chłopcami bieглиśmy zobaczyć, co przez te kilka godzin zmieniło się w parku.

Paweł witał nas szerokim uśmiechem.

– Zobacz, Beato, coś ty ze mnie zrobiła! – droczył się. – W życiu nie trzymałem w ręku piły spalinowej, a teraz muszę nią pracować! I tylko dlatego, że jednej marudzie zachciało się porządkować jakieś zarośla.

– Z piłą ci do twarzy, Pawełku – żartowałam. – Wyglądasz niczym błędny rycerz z mieczem w dłoni.

– Obłądnie to ja się czuję. Niedobrze mi od zapachu tych trocin i spalin. I po co mi to było?

– Abyś dostał większe dopłaty. – Zaśmiałam się i pobiegłam zobaczyć, jak Kuba cyklopem wybiera zbutwiałe tony liści. Konrad z Patrykiem oczywiście siedzieli w kabinie zetora, gdzie było ich ulubione miejsce. Mogli udawać, że są kierowcami albo raczej traktorzystami. Kuba, raz za razem, na postawioną obok przyczepę zwałął łyżkę za łyżką mokre błoto. Zapach był ohydny. Chłopcy zatykali nosy, a ja z perwersyjną lubością wdychałam woń szlamu, zgniłych liści, przestalej wody. To było to! Sama natura. Ciekawe, ile ton kukurydzy w przyszłym roku zbierze Paweł z tego kawałka ziemi, gdzie teraz wywalają błoto?

*

Kukurydza... No właśnie! Ona spowodowała, że pod koniec października musieliśmy przerwać roboty w parku. Paweł z Kubą nie dawali już rady. Obaj pracowali przecież zawodowo. Kuba na dodatek pracował na zmiany, a do magazynu dojeżdżał firmowym autobusem, co

zabierało mu dodatkową godzinę. Dzięki temu ja mogłam swobodnie jeździć samochodem do baru. Pawłowi robienie codziennych zakupów do fast foodu też zajmowało sporo czasu. A po pracy obaj musieli jeszcze pilnować kombajnowania kukurydzy. Zwozili ziarno z pola, zsypywali je do wspólnej suszarni, a potem jeszcze je suszyli, bo suche ziarno kukurydzy jest o wiele droższe od mokrego. Tak, kukurydza była ważniejsza od parku. Przynajmniej dla nich. Ja jej szczerze nienawidziłam. Przez nią znów dopadła mnie depresja.

*

Kukurydza od sierpnia powoli zmieniała kolor. Z soczystej zieleni, która na początku barwiła jej łodygi, nic nie pozostało. Teraz całe hektary kukurydzianych upraw złociły się ciepłą barwą żółci, gdzieś tam poprzetykanej brązem wiech. Z daleka był to widok malowniczy i bardzo nastrojowy, do bólu jesienny, ale z bliska nostalgiczny, wręcz smutny. Tak mi się przynajmniej wydawało. Kiedy nadchodził kres znienawidzonej przeze mnie rośliny, zamiast cieszyć się, poczułam niewyobrażalny żal i tęsknotę. Tak było zawsze, gdy zaczynała się jesień. Od dziecka bałam się tej pory roku. Widok pierwszych żółknących liści kłuł mnie prosto w serce. Nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć, ale po prostu czułam lęk. Dopadał mnie zaraz po żniwach, gdy pola robiły się szarobure. Trwał aż do pierwszych przymrozków, które szronem bielily przydrożne zielska. Pierwszy mróz wyzwał moje serce ze strachu. Czułam wtedy, że nadchodzi zima i do następnej jesieni znów jest bardzo daleko. W tym roku, dopóki trwały prace w parku, jakoś się jeszcze trzymałam. Jednak gdy Paweł zajął się zbiorem kukurydzy, lęki wróciły.

Teraz oprócz corocznego lęku poczułam też żal. Głupi żal za córką, której nie miałam. Kocham bardzo moich synów, ale odkąd zamieszkaliśmy w Zwierzyńcu, oddalili się ode mnie. Nie miałam do nich o to pretensji. Nawet rozumiałam, dlaczego cały wolny czas spędzali z Kubą. Po prostu brakowało im ojca. Kiedy Michał był z nami, nawet nie musiał poświęcać chłopcom zbyt dużo uwagi. Wystarczało im, że obejrzelili razem kilka programów sportowych albo banalny film typu „zabili go i uciekł”. Widywali go rano, gdy się budzili. Wychodził

wieczorem do pracy, a oni już szykowali się do snu. Snuł się po domu w samych slipkach. Widzieli go i mogli się z nim utożsamiać. Tak jak oni był mężczyzną. Ja, kobieta, byłam w domu mniejszością. Poczułam się dziwnie, gdy chłopcy z dnia na dzień zaczęli odkrywać moją inność.

Kiedyś Konrad wszedł do łazienki, gdy zmieniałam sobie podpaskę. W mgnieniu oka zwinęłam w dłoni tę zakrwawioną, ale nie udało mi się ukryć czystej, którą trzymałam w drugiej ręce.

– Mamo! Po co ci ta pieluszka? – Konrad nie krył zdziwienia i rozbawienia. Do tej pory nie widział mnie w tak intymnej sytuacji.

– No po co? – dopytywał się zaciekawiony.

– To nie jest pieluszka. To podpaska – próbowałam mu tłumaczyć.

– Każda kobieta i duża dziewczynka co jakiś czas ich potrzebuje.

– Ale po co? – Nie rozumiał mojego zawstydzonego tłumaczenia.

– Przecież w pieluchy sikają tylko dzidziusia! Mama dzidziusia! Mama dzidziusia! – Śmiał się na cały głos, a ja, tak po prostu, nie potrafiłam mu powiedzieć, jak to jest z tymi naszymi krwawieniami. Nie chciałam go przestraszyć. Chyba. Był za mały, aby dokładnie opowiadać mu o fizjologii kobiety.

Wtedy pierwszy raz poczułam, że moje ukochane niemowlaki, słodkie i rozbrykane przedszkolaki i czupurne kilkulatki, są zupełnie inną płcią. Ale jeszcze nie dotarło do mnie, że z każdym dniem będę coraz mniej ich rozumieć. Kiedyś każdy chłopięcy problem rozwiązywali w krótkiej rozmowie z ojcem i znów wszystko było okej. A ja znów byłam ukochaną mamusią, która smażyła chrupiące naleśniki, piekła najpiękniejsze urodzinowe torty i nosiła tajemnicze podpaski.

Teraz, gdy nie było już nadziei, że Michał do nas wróci, chłopcy przyłgnęli do mojego brata, a ja byłam tylko do smażenia placków, prania poplamionych trawą spodni i zapędzania ich do odrabiania lekcji. Oprócz tego nie byłam im już prawie potrzebna. Dlatego poczułam ten żal.

Gdyby jeden z nich był dziewczynką, tak sobie czasami myślałam, nie musiałabym teraz spędzać samotnie wolnych popołudni i wczesnych wieczorów. Żadna dziewczynka, za żadne skarby, nie chodziłaby do ciemnej nocy po polu kukurydzy tylko po to, aby na koniec przejechać się na przyczepie pełnej kukurydzianego ziarna. Dziewczynka nie

robiłaby tego, ale chłopcy? Owszem! Moi synowie cały wolny czas spędzali razem z Kubą na polu. Pomagali mu w koszeniu kukurydzy. A ja, sama jak palec, siedziałam w domu i bezmyślnie wpatrywałam się w zapadający za oknem zmierzch. Czasami, aby zagłuszyć tęsknotę, chodziłam do Starego Parku i planowałam, co by tu można zrobić, jak tylko Paweł znów będzie miał czas. Potem wracałam do pustego domu i robiłam ciasto na naleśniki.

Mieszałam naleśnikowe ciasto i czekałam, kiedy wreszcie zobaczę na podwórku światła traktora, ciągnącego dwie przyczepy kukurydzy. Dopiero gdy zobaczyłam te światła, mogłam zacząć smażyć naleśników. Błysk reflektorów był znakiem, że chłopcy wracają i zapewne są głodni jak młode wilki.

Nie było siły, aby zatrzymać ich w domu. Tłumaczyli mi, że wujek bez nich nie da sobie rady, a lekcje odrobili już w szkole, w świetlicy. Tak! Oni musieli pomagać Kubie, a mnie zostało tylko czekanie na nich.

Jakie banalne i żalosne jest całe życie kobiety. Tylko czekanie. Najpierw czeka na księcia z bajki. Potem, gdy księżę jest już zwykłym facetem w rozdeptanych kapciach, ona nadal czeka na niego. Czeką, aż wróci z pracy. Czeką, aż łaskawie wstanie z fotela i przyjdzie zjeść kolację. Czeką na niego w łóżku i nie wolno jej usnąć, bo a nuż on będzie miał ochotę na seks. Tak, całe nasze cholerne życie jest tylko jednym wielkim oczekiwaniem. Właściwie powinnam się cieszyć, że ten los nie spotka moich dzieci. To na nich jakieś samotne dziewczyny będą czekały.

A jednak jest mi żal. Chociaż czekanie jest takie smutne, chciałabym mieć córkę. Opowiadałabym jej, jak to jest mieć miesięczkę. Razem zastanawiałybyśmy się, czy lepsze są podpaski, czy tampony. Mogłabym z nią chodzić do fryzjera i kupować ciuchy. Moja córka miałaby długie do pasa włosy, piękną białą sukienkę do komunii i z nią jesienny lęk byłby mniejszy.

Mój żal pogłębił się pewnego dnia, gdy chłopcy poinformowali mnie, że razem z wujkiem jadą pomagać Pawłowi przy koszeniu kukurydzy w Starszym Folwarku. Poczułam napływające łzy do oczu. Jak to? Wołam obcego faceta od własnej matki? To niemożliwe! A jednak... możliwe... Nie czekając na moją zgodę, pobiegli na

podwórko i zręcznie niczym koty wspięli się po schodkach do kabiny zetora. Po chwili, zapłakana, podziwiałam tylko tablicę rejestracyjną ostatniej przyczepy, która szybko oddalała się z pola mojego widzenia. Nawet Paweł był ważniejszy! Nawet on!

Nie wytrzymałam wtedy. Szybko umyłam zimną wodą oczy. Włożyłam stary ciepły dres i stare adidas. Zamknęłam dom na cztery spusty i przez puste pole, na którym walały się resztki pociętej przez orkan kukurydzy, pobiegłam w stronę Starszego Folwarku.

Nie wiem, dlaczego to robiłam. Pewnie dlatego, że bałam się następnych pustych godzin w Zwierzyńcu. Biegłam tak szybko, jak tylko się dało. Musiałam zobaczyć się z Pawłem, zanim przyjadą chłopcy. Chciałam go dopaść i błagać, aby chociaż on nie zabierał mi synów. Żalodne? Może i tak, ale ja nie miałam już nikogo więcej do kochania. Kuba czasami doprowadzał mnie do szału swoimi szowinistycznymi uwagami. Były dni, że nienawidziłam go, chociaż był moją najbliższą rodziną. Tylko chłopców kochałam bez zastrzeżeń. Tylko im potrafiłam wszystko wybaczyć. Nawet to, że mnie zostawiają. Nie ich wina, że są chłopcami. Ani to, że ich ojciec mnie porzucił. Świat jest okrutny, nie oni. Pokrętna natura tak stworzyła mężczyzn, że nie widzą, nie czują, nie kochają bezgranicznie i raz na całe życie.

*

– Oszalałaś! – Paweł wściekł się na mnie. – Po prostu oszalałaś! Jesteś nienormalna! – krzyczał. – Chłopaki po prostu duszą się w domu, chcą pobiegać po polu, pojeździć na kombajnie. Chociaż przez chwilę nie widzieć twoich mokrych oczu. Beata! Otrząśnij się wreszcie! To, że ty jesteś nieszczęśliwa, nie jest jeszcze powodem, aby zamknąć zdrowe dzieci w domu na cztery spusty i kazać im patrzeć na zaryczaną matkę! Beata – złagodniał nagle. – Konrad z Patrykiem bardzo cię kochają. Tak bardzo, że dla ciebie całe popołudnia siedzą na polu.

– Jak to dla mnie? Co ty opowiadasz?

– Po prostu chcą ci kupić pod choinkę jakiś wyjątkowy prezent, a ja z Kubą uczymy ich wartości pieniądza. I za to, że są tu z nami na polu, przerzucą trochę kukurydzy na przyczepie czy podjadą ciągnikiem z przyczepą pod kombajn, obiecaliśmy im kasę.

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Niewiele z tego rozumiałam. Paweł i Kuba uczą czegoś moich synów? Mają im za to płacić? Ale po co?

– Po to, aby kiedyś nie byli tak niezaradni życiowo, jak ich matka!
– odpowiadam sama sobie na najgłupsze pytanie, jakie mogłam w tej sytuacji postawić. Ale nadal mam żal do losu, że nie dał mi córki.

*

W niedzielę zawsze padamy na twarz. Niedziele są koszarne. Kolejka spod naszej budy ciągnie się aż do stoiska z AGD. Nie nadążamy z realizacją zamówień. Ludzie niczym jakiś potop zalewają całą przestrzeń pomiędzy bazarowymi stoiskami. Od samego świtu kupują wszystko: ciuchy, buty, zabawki, pościel, artykuły szkolne, ziemniaki na obiad, pączki na podwieczorek dla teściowej i ślubne prezenty na wesele „za tydzień”. Tak, odkąd pracuję u Pawła, nie mogę się nadziwić, ile osób w niedzielne przedpołudnie może ściągnąć na nasze targowisko.

Są godziny, kiedy tłumy się zwielokrotniają. Zawsze po pełnych godzinach napływa nowa fala ludzi. Przychodzą ci, którzy rozpoczęli dzień po bożemu. Najpierw poszli do kościoła, a potem zaraz na bazar, by zrobić potrzebne i niepotrzebne zakupy. I wszyscy są wygłodniali, jakby przynajmniej od tygodnia nic nie jedli.

W budzie jestem już od piątej. Od razu robię dwadzieścia litrów sałatki z białej kapusty. Potem kroję, szatkuję i trę warzywa i żółty ser. Przydadzą się do hot dogów, hamburgerów czy fish maców. Następnie przygotowuję cały stos zapiekanek z bagietek przyniesionych przez Pawła. Do wpół do siódmej mam ich już ze czterdzieści. Ledwie się mieszczą w pojemniku pod blatem lady. Lady? To nie wygląda na ladę! Raczej na jakiś zapchany blat, na którym stoi kasa fiskalna, cały szereg srebrnych miseczek z kawałkami warzyw, podstawka do wydawania drobniaków, dalej, za kasą, stos soczków, kartoników, plastikowych kubeczków i innych dupereli. Czy tak powinna wyglądać lada? Nie. W tej budzie nic nie może mieć właściwej nazwy. Wszystko przypomina prowizorkę. Aż dziw, że do tej pory sanepid się do Pawła nie dobrał. Może dlatego, że jedzenie jest odpowiednie. Nawet więcej, jedzenie jest

po prostu rewelacyjne, stąd te ciągle kolejki.

Paweł jest zadowolony. W tygodniu obroty są takie sobie. Ale w soboty i niedziele portfel na koniec dnia prawie mu się nie domyka. W poniedziałek rano, zaraz po przywiezieniu pieczywa, jedzie do banku i wpłaca weekendowy zarobek. Potem, już na spokojnie, gdy w budzie pijemy przedpołudniową kawę, klepie mnie po udach i śmieje się, że odkąd pracuję u niego, on coraz więcej zarabia.

– Widzisz, Beata, ty jak nie pracowałaś, to nie pracowałaś! Ale jak dorwałaś się do roboty... sama zobacz! – Patrzą, ale nie na jego portfel, tylko na zabawnie roześmianą twarz. – Będę musiał niedługo pomyśleć o wynajęciu następnej budy. Pieniądz musi robić pieniądz!

Nie obchodzą mnie jego pieniądze. Może tylko tyle, ile wynosi moja tygodniówka. Obserwuję go coraz baczniej i widzę, że się zmienia. Oczywiście w stosunku do mnie. Traktuje mnie jak bliską koleżankę. Opowiada, jak w nocy mysz nie dawała mu spać. Cały czas słyszał jej chrobot gdzieś pod podłogą. Zwierza się ze swoich planów dotyczących kupna lub wynajęcia drugiego pomieszczenia na następny barek. Czasami opowiada o kolejnym kochanku swojej przyrodniej siostry.

Edyta, tak ma na imię siostra Pawła, jest adwokatem i prowadzi moją sprawę rozwodową. Czy raczej walkę o ustalenie alimentów na Patryka i Konrada. Jest sympatyczna i trochę szkoda, że nie układa jej się w życiu osobistym. Ale najwyraźniej pech w miłości jest dziedziczny, zarówno w mojej rodzinie, jak i u Zarządców... z pokolenia na pokolenie.

Nie znam zbyt wielu szczegółów z dzieciństwa Pawła, wiem tylko tyle, że kasy mu nie brakowało. Przez co Paweł stoczył się, natomiast Edyta zaraz po studiach otworzyła małą praktykę adwokacką i jest teraz oczkiem w głowie swojej matki. No właśnie! Dlaczego Paweł nic o niej nie mówi? Dlaczego słowo mama nie istnieje w jego słowniku?

*

Pewnego dnia uświadomiłam sobie, że bazarowy świat, w pewnym sensie, wypełnia moje życie. Po kilku tygodniach pracy w barku bardzo dobrze poznałam stosunki panujące pomiędzy handlarzami. Trochę sami opowiadali, gdy przychodzili kupić kawę albo fastfoodowy obiad, trochę

dopowiadał Paweł albo dzieciaki biegające z tacą po stoiskach.

Dowiedziałam się, że „ci od majtek” mają kłopoty z nastoletnią córką, która uciekła z domu. Co prawda, niezbyt daleko, tylko do babci mieszkającej na sąsiednim osiedlu, ale jednak uciekła. Ba! Jak się żaliła Majtkowa Pani, córcia najpierw przekłuła sobie język i wargę, założyła tam kolczyki, a potem zbuntowała się na porządki panujące w domu, spakowała się i tyle ją widzieli! Paweł potem śmiał się do mnie, że jest ciekawy, czy i w intymnym miejscu też sobie kolczyk założyła. Aż na niego warknęłam, że facetom tylko jedno w głowie. Wzruszył ramionami i stwierdził, że każdy normalny chłop zastanawia się, co taka fajna dziewczyna ma w majtkach. Staralam się pocieszyć Majtkową Panią, że skoro córka jest u babci, na pewno nic się jej nie stanie i jak przemyśli swoje zachowanie, w końcu prędzej czy później wróci do nich. Radziłam jej też, aby przymknęła oko na te kolczyki. Chyba lepiej jest mieć dziecko z wkrętem w języku, niż go nie mieć wcale? Prawda?

Obok naszej budy prawie codziennie stoi beka z kiszonymi ogórkami. Przemięły pan Albert z żoną handluje warzywami. Bardzo polubiłam tych ludzi. Są przesympatyczni.

Oprócz kiszonych ogórków mają też czosnek, białą kapustę, świeży koper, pomidory i ogórki, oczywiście w sezonie. Poza sezonem handlują warzywami okopowymi, ale tylko, jak zawsze zaznaczają, z własnej uprawy! Na początku bardzo się zdziwiłam, gdy usłyszałam ich zapewnienia, gdy klienci pytali, skąd mają warzywa. Do tej pory myślałam, że ci wszyscy ze stoisk z warzywami sprzedają, co zebrali z własnych pól. Byłam w błędzie! Większość z nich co dwa, trzy dni jeździ do Bronisz i tam kupuje hurtowo warzywa, by je potem w detalu sprzedać na naszym bazarze. Tak mi tłumaczył pan Albert, kiedy przyniósł kapustę na surówkę. Przy okazji wcisnął mi kilka kiszonych ogórków w garść.

– Pani Beatko – mówił – nigdzie pani nie kupi tak dobrych kiszoniaków. Niech sobie pani zje na zdrowie! – dodawał i zawsze zapominał za nie policzyć. Czasami, gdy bazarowy dzień zmierzał ku końcowi, a panu Albertowi pozostało jeszcze kilka pęczków kopru albo parę kilogramów niesprzedanych warzyw, przybiegał do naszej budy i wciskał mi je, mówiąc:

– Pani Beatko kochana! Ja panią bardzo proszę, niech pani weźmie te resztki. Żal wyrzucić, a w domu nie mogę się z nimi pokazać! Pani dzieciom i bratu obiad z tego ugotuje. – Przekonywał mnie, dodając, że są **ekologiczne!**

Przyjmowałam je, chociaż na początku z wielkimi oporami, czułam się, jakbym dostawała jałmużnę. Potem Paweł wytłumaczył mi, iż pan Albert ma bardzo zaborczą starą matkę, która, chociaż ledwie chodzi, zawsze sprawdza, czy syn i synowa wszystko sprzedali na bazarze. I nie daj Panie Boże, aby z resztkami wrócili do domu, wtedy uderza w lament, że nawet kilku ogórków nie potrafią ludziom wcisnąć! Dlatego on i jego żona woleli niesprzedane i nienadające się do przechowania na dzień następny warzywa rozdać ludziom po straganach, niż narażać się na awantury. Dlatego potem już bez skrupowania brałam warzywa, tylko co jakiś czas w rewanżu zносиłam im schabowego z bigosem. Dziękowali oboje i jedli, aż im się uszy trzęsły. Czułam, że już nie jestem taka sama, że wokół mnie są ludzie, którzy też mają różne problemy. Mimo to potrafią uśmiechnąć się do drugiej osoby, powiedzieć miłe słowo albo po prostu pogadać o pogodzie. Mój świat powoli wypełniali bazarowi znajomi i ich sprawy.

Najciekawszą i najbardziej mi bliską parą było eksmałżeństwo ze stoiska obok naszej budy. Rozwiedli się tuż przed tym, jak zaczęłam pracować u Pawła. Wcześniej, przez kilka dobrych lat, wspólnie prowadzili stoisko z zabawkami i ubrankami dla dzieci, które tak mnie rozczuliło, gdy szłam do Pawła na rozmowę w sprawie pracy.

Nikt tak naprawdę nie wiedział, dlaczego ich małżeństwo się rozpadło. Nigdy nie opowiadali o swoich problemach. Może nie byłoby nic w tym interesującego, szczególnie dla mnie porzuconej przez chłopca, gdyby nie fakt, że podczas sprawy rozwodowej sąd podzielił cały ich majątek na pół. A mieli wspólne mieszkanie, wspólny garaż, a w nim dwa samochody, i wspólną budę na bazarze. Do tego stopnia żadne z nich nie potrafiło z niczego zrezygnować, że sąd zdecydował, jak dalej mają handlować na bazarze!

Otóż decyzją sądu On handluje w dni nieparzyste: poniedziałek, środa, piątek, a Ona w dni parzyste: wtorek, czwartek, sobota. Problematiczna dla sądu była niedziela, ponieważ oboje domagali się

prawa handlu właśnie dla siebie, gdy ruch na bazarze jest największy. Sąd zdecydował, by dwie niedziele w miesiącu handlował On, a dwie Ona. Gdy w miesiącu jest pięć niedziel, w piątą buda jest zamknięta na cztery spusty. Prawdziwie salomonowy wyrok! – uznano w bazarowym świecie. Każdego dnia On i Ona odprawiają ten sam rytuał. W niedzielę po południu ich wspólna buda jest pusta. W poniedziałek rano ON przywozi swój towar, który po południu pakuje znów do samochodu i czeka z kluczami, aby oddać stoisko swojej byłej żonie. Gdy On odjeżdża spod budy, Ona podjeżdża swoim samochodem i wyładowuje towar. Następnego dnia po południu Ona się pakuje i czeka na niego z kluczami, a On przywozi swój towar... I tak każdego dnia muszą się ze sobą widzieć, muszą rozmawiać, a cały bazar ich obserwuje i ma ubaw, gdy w gorsze dni kłócą się między sobą, nie chcą po dobroci oddać kluczy lub jedno drugiemu zajedzie drogę. Po prostu komedia! Czasami z innymi handlarzami zastanawiam się, jak oni mieszkają we wspólnym mieszkaniu, skoro na bazarze nie potrafią się dogadać? Tym bardziej że w domu mają też wspólną, nastoletnią córkę, której sąd nie odważył się podzielić...

Ona, w swoje dni handlu, często przychodzi na pogawędkę. Wie, że jestem prawie rozwódką, więc nieraz żali mi się na Niego i wymyśla na czym świat stoi. Przytakuję, ale w głębi duszy zastanawiam się, czy ich córka nie ma lepiej niż moi synowie? Przecież pomimo wszystko nadal ma oboje rodziców, nadal z nimi mieszka i oboje łożą na jej utrzymanie. O! I tego najbardziej mi żal. Tego, że dla Michała chłopcy nic nie znaczą. Nie czuje potrzeby kontaktowania się z nimi, dbania o nich. Tak jakby nigdy ich nie kochał. Czy jest to naprawdę możliwe, aby zaraz po zamknięciu drzwi zapomnieć o swoich dzieciach? Nieraz zadaję sobie to pytanie i nie znajduję na nie odpowiedzi.

Następnego dnia On przychodzi kupić kawę i wylewa swoje żale na Nią, skarżąc się, że niby przypadkiem poplamiała mu koszule suszące się we wspólnej łazience...

*

Ze snu wyrwał mnie ostry dźwięk telefonu. Zanim odebrałam, spojrzałam na godzinę – była czwarta trzydzieści. Dzwonił Paweł.

– Beata – usłyszałam szept jak zza szyby – ja chyba umieram.
– Co to za wygłupy? – zapytałam również szeptem, tak aby nie obudzić chłopców śpiących w pokoju obok.

– Nie żartuję! Błagam cię, przyjedź do mnie. – Paweł prawie szlochał albo charczał, ale tego nie mogłam stwierdzić przez komórkę, więc zerwałam się z łóżka i zapewniłam go, że za pięć minut będę.

Zeszło mi nie pięć, ale pewnie z piętnaście minut, zanim ubrałam się i odpaliłam samochód. Kuba nie miał zielonego pojęcia, co wyprawiam z jego autem, przecież jeszcze słodko spał.

Drzwi do domu Pawła były uchylone. Weszłam bardzo powoli, kierując się maleńkim strumykiem światła, wydostającym się przez dość sporą dziurkę od klucza pewnie z pokoju Pawła. Słyszając kroki, zaczął mnie do siebie wołać niewyraźnym bełkotem.

Miałam rację! To był jego pokój. Ale jaki! Bieda z nędzą. Jak na właściciela wielu hektarów kukurydzy i dochodowego fast foodu – po prostu ubóstwo! I to przez duże U! Paweł leżał na dmuchanym materacu przykryty dwoma kołdrami i jakimś starym, pewnie jeszcze należącym do Szymona, kożuchem. Trząśł się cały i jęczał. Zanim podeszłam do niego, rozejrzałam się po pokoju. Oprócz materaca dostrzegłam stojący na podłodze telewizor, obok niego komputer i stosy kartonów, w których pewnie przechowywał ubrania. Na dłużej przykuły mój wzrok cudaczne malowidła na krzywych ścianach. Namazane ciemną farbą przedstawiały sceny na pół biblijne, na pół demoniczne. Miałam wrażenie, że gdzieś już widziałam podobne, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie to było.

*

Miał bardzo wysoką gorączkę. Na moje oko, a raczej dłoń, pewnie ze czterdzieści stopni. Zlany był potem i wstrząsały nim dreszcze. Gdy go spytałam, co się stało, wskazał gardło. Uklękłam obok jego legowiska, tego posłania inaczej nie dało się nazwać, i kazałam mu powiedzieć długie aaaaa, świecąc mu latarką z komórki prosto w gardło. Nie usłyszałam długiego aaaa, tylko krótki charkot, wystarczający jednak, abym dostrzegła, co jest prawdopodobnie przyczyną gorączki. Paweł na sto procent miał anginę. Jego migdały powiększyły się do

takich rozmiarów, że prawie stykały się ze sobą, wypełniając całą przestrzeń gardła. Dlatego nie mógł mówić. Ba! Nawet przełknięcie śliny sprawiało mu straszny ból. Nie wtajemniczając go w moje plany, pomogłam mu się podnieść i włożyć stary kozuch, nic innego do ubrania w tym pokoju nie widziałam, a szukać jego ubrań nie miałam czasu. W samych klapkach zaprowadziłam go do samochodu. Z całą pewnością nie mogłam zostawić go w tej ruderze, gdzie pokój ogrzewał tylko piecyk gazowy!

Paweł był tak chory, że nie protestował. Tylko poprosił, abym sama zajęła się barem.

– Dobrze. – obiecałam. – Barem się zajmę, ale najpierw zawiozę cię na pogotowie. Bez antybiotyku najwyżej na stypę w barze będę ci musiała coś ugotować.

Paweł zacharczał, pewnie śliny przełknąć nie mógł, i na wszystko się zgadzał. Trochę głupio mi było, gdy w tym kozuchu go na pogotowie prowadziłam, ale co tam! Przecież oni powinni mu pomocy udzielić, a nie na ciuchy patrzeć. Zresztą pod kozuchem miał bardzo gustowną piżamkę w błękitne chmurki i gdyby tylko była mniej przeupocona, z przyjemnością bym się do niej przytuliła.

Wyrwana ze snu pani doktor nie była zbyt przyjemna. Zresztą o piątej z minutami rano, w środku zimy, kto by był przyjemny? Dlatego też jej obrażona mina specjalnie mnie nie zdziwiła. Tym bardziej że zamiast badać Pawła, najpierw bardzo powoli i skrupulatnie spisywała jego dane, numer PESEL i inne pierdoły. Pisała dobre dziesięć minut. Natomiast na same badanie Pawła poświęciła może ze dwie. Włożyła mu szpatułkę do ust i od razu podała diagnozę:

– Ciężka angina. Antybiotyk przepiszę, a coś na gorączkę i przeciwbólowego proszę sobie samemu kupić. I do lekarza rodzinnego po zwolnienie, jeśli potrzebne, jechać!

W ten sposób o szóstej rano jeździłam po mieście w poszukiwaniu czynnej apteki. Znalazłam. Kupiłam co trzeba i wróciłam do samochodu. Spojrzałam na Pawła. Leżał na rozłożonym siedzeniu pasażera. Oddychał z trudem. Twarz miał mokrą od potu. Nie wiedziałam, co teraz powinnam zrobić. Nie nadawał się, by go zostawić samego w Starszym Folwarku. Nie miałam wyjścia, musiałam go zabrać do nas. Bałam się

reakcji Kuby, ale nie miałam innego pomysłu. Trudno. Ostatecznie dom jest tak samo mój, jak i jego. Mam prawo gościć w nim, kogo chcę. Tak. Paweł na czas choroby musi być u nas! – postanowiłam. Odpaliłam silnik i wróciłam z drżącym od gorączki Pawłem do Zwierzyńca.

Gdzie mam go położyć? Już wiem, będzie chorował w gościnnym.

Zaprowadziłam go do pokoju, pomogłam usiąść na fotelu, a sama zakładałam świeżą pościel na wyjętą z tapczanu kołdrę i poduszkę. Zerkałam na Pawła, ale nie bardzo był zainteresowany tym, co robię. Wpółleżąc na fotelu i trzymając się za głowę, głośno jęczał z bólu.

Gdy przygotowałam łóżko, podeszłam do niego i z obrzydzeniem pomogłam mu się rozebrać z przepoconej piżamy, a potem włożyć czysty podkoszulek Kuby. Spojrzałam na jego bokserki. Pewnie też powinien je zmienić, ale nie śmiałam mu tego proponować. Dobrze, że je w ogóle miał pod spodniami od piżamy, choć to dziwne, Michał i Kuba, jeśli spali w piżamie, wkładali ją na gołe ciało... a ten nie.

Podprowadziłam go do tapczanu. Chyba było mu wszystko jedno, co z nim robię, bo gdy tylko dotknął pościeli, już prawie usypiał. Na siłę wlewałam mu do ust rozgnieciony antybiotyk, w całości nie był w stanie go połknąć. Przy łykaniu jęczał z bólu. Dałam mu kapsułkę Ketonalu. Zostało mi kilka z czasów mojej lekomanii. Powinien na jakiś czas uśmierzyć ból – pomyślałam i poszłam naradzić się z obudzonym już Kubą, jak zorganizować stałą opiekę nad Pawłem, w końcu to przecież mój szef. I opieka mu się należała.

– Tak, masz rację! – warknął mój brat. – Dbaj o niego, opiekuj się nim, a potem prześpij się z nim. Co ci szkodzi! – drwił. – A nuż zrobisz mu tak dobrze, że będzie cię chciał nie tylko w barze, ale i w domu.

– Kuba! Jesteś zwykłym chamem bez serca. – Bolały mnie słowa brata. – Paweł nie ma tu nikogo, kto by się nim zaopiekował.

– Niby ja mam się nim opiekować? – Kuba już prawie nie panował nad sobą. – Ty pewnie musisz sama zająć się tym zakichanym fast foodem, co?

– Nie rób scen. Kuba, proszę cię! Pomóż mi! – prosiłam. – Przecież ja też mam tylko ciebie. Tak wyszło. Tylko kilka dni i Paweł wróci do siebie. Sam widzisz, w jakim jest stanie. Lekarka powiedziała, że poprawa może nastąpić najwcześniej czterdzieści osiem godzin po

podaniu antybiotyku.

– On przez dwa dni będzie tak jęczał z bólu? – Kuba zdziwił się jak małe dziecko.

– Tak. Jak Patryk miał anginę, też cały czas pocił się, płakał z bólu i nie mógł przełykać. No i co? – Czułam, że opór Kuby słabnie.

– Pomożesz mi? Masz teraz tydzień nocek. Jak ja będę w barze, zerkniesz na niego od czasu do czasu. Dasz mu pić albo zwyczajnie usiądziesz w fotelu i pogadasz z nim, dobrze?

– Zobaczysz się – odpowiedział wymijająco. – Ale pod warunkiem, że chłopaki nie zastaną cię z nim w łóżku.

– Kuba!

– Dobra, dobra. Twoja sprawa – zakończył i puścił do mnie oczko, gdy szykowałam dla Pawła łagodną herbatę z cytryną. No tak, Kuba udawał twardego, a naprawdę czasami był miękkim facetem. Niestety, miał coś ze mnie. Niestety.

Zapasów w barze było tylko na jeden dzień. Dobrze, że pan Jureczek przyniósł mi pieczywo na hot dogi, hamburgery i kebab, inaczej nie wiem, skąd bym je wzięła. Choroba Pawła była poważnym problemem. Do tej pory nie interesowało mnie, gdzie on zaopatruje się w produkty. Co prawda mogłam zadzwonić i spytać, co mam robić, ale szybko odrzuciłam tę myśl. Jak z nim rozmawiać, gdy on ledwie ślinę przełyka? Postanowiłam więc jakoś sama sobie radzić.

Z utargu spokojnie robiłam bieżące zakupy na dzień następny. I tak trwałam z dnia na dzień. Po zamknięciu baru jechałam na zakupy do hipermarketów i kupowałam kotlety, parówki, frytki i wszystko to, czego w dużej ilości nie mogłam kupić na rynku. Pieczywo codziennie dostarczał Jureczek, a warzywa pan Albert.

Samej było mi ciężko, ciągle coś ktoś zamawiał. Non stop słyszałam:

– Dwa kebaby proszę... hamburgera bez sałatki, trzy zapiekanki, kawę, herbatę, barszczyk czerwony, wodę z sokiem... – i tak bez końca. Kiedy ruch na rynku ustawał, a ja kończyłam bieganie po hipermarketach i mogłam wreszcie wrócić do domu, zaczynałam się

ociągać i szukać wymówki, żeby powrót trwał jak najdłużej.

To przez Pawła. Świadomość, że leży tam w gościnnym pokoju cały spocony i trzeba mu zrobić jeść, odpychała mnie. Momentami miałam pretensję sama do siebie, że niepotrzebnie się nim zaopiekowałam. Miał przecież w Warszawie przyrodnią siostrę. Mógł do niej zadzwonić. W ostateczności sam w domu też by przeżył. Przynajmniej nie musiałabym chodzić koło niego. Drażnił mnie, choć na początku nie wiedziałam dlaczego. Po dwóch dniach zrozumiałam, co jest z nim nie tak.

Nie był Michałem. Patrzyłam na jego prawie nagie ciało, gdy pomagałam mu zdejmować przepocone podkoszulki. Michał miał gładką, szeroką klatkę bez nadmiernego owłosienia. Paweł od samej szyi zarośnięty był gęstymi czarnymi kłakami.

Michał pachniał inaczej, nawet gdy był spocony. Michał nie był chudy jak szczur. Nie miał wystającej grdyki. Michał miał krótko przystrzyżone włosy. A Paweł leżał na mamy poduszce, jego rozpuszczone włosy spływały falami po pościeli. Patrzyłam na niego i widziałam w nim ćpuna. Widziałam blizny na ramionach, sznyty nad nadgarstkami. Widziałam kawałki wraka. Dwa wraki pod jednym dachem... jak dla mnie trochę za dużo! Dlatego tak bardzo mnie drażnił. Przez jego obecność nie musiałam patrzeć w lustro, by widzieć swoją bezradność, bezbronność. On był moim lustrem, a ja nie chciałam w nie patrzeć.

Wracałam jednak do domu. Mierzyłam mu temperaturę. Zagadywałam. Opowiadałam, co się dzieje w barze i na rynku. Z zakłopotaniem oddawałam resztki utargu, które zostały po zrobieniu zakupów na następny dzień. On z podobnym zakłopotaniem brał je i wkładał do portfela. Zajmowałam się chłopcami, a potem znów wracałam do niego. Dawałam mu leki. Bałam się mu je zostawić. Ketonal jest taki mocny... pamiętałam o tym cały czas. Robiłam mu kleik z kaszki kukurydzianej i słodziłam go miodem. Przez trzy dni nic innego nie mógł jeść, tylko kleik nie sprawiał mu bólu przy łykaniu. Siedziałam na skraju łóżka i patrzyłam, jak je. Pocił się cały czas. Widziałam, jak drobinki potu wychodziły mu na czole, policzkach, a nawet na odsłoniętych udach. To był mokry pot. Zalewał go, ziębił,

powodował dreszcze. Podawałam mu suche podkoszulki Kuby i zabierałam mokre, gdy je zdjął. Drażniło mnie to. Ta jego niemoc. I to, że nie był Michałem. Michał nigdy nie chorował. Zawsze był twardy. Nie gorączkował, nie kaszłał, nie miał dreszczy. Śmiał się z tych, co chodzili na zwolnienia. W końcu zdradził i porzucił mnie. Tak, Paweł nie był Michałem, Michałem nigdy nie musiałam się opiekować. Może dlatego mnie porzucił? Kto wie?

Paweł czuł moją niechęć. Jak tylko przestał gorączkować, poprosił Kubę, aby odwiózł go do domu. Na pożegnanie poczochnął mi włosy i tyle. Nawet zapomniał powiedzieć dziękuję.

Rozumiałam go. Nawet za bardzo.

*

Kubie przypomniało się, że musi kupić nowy włącznik światła do garażu. Gwałtownie skręcił w prawo i zaparkował na parkingu obok ZUS-u.

– Zaraz wracam! – powiedział, i trzaskając drzwiami samochodu, zniknął w tłumie śpieszących się ludzi.

Nigdzie się nie śpieszyłam. Miałam wolny poniedziałek. Paweł obdarzył mnie tym szczęściem. Stwierdził, że po niedzielnym maratonie, podczas którego sprzedaliśmy wszystko, nawet barszczyki z torebki, należy nam się dzień odpoczynku. On miał w planach spanie przez cały dzień. Skorzystałam więc z propozycji brata, abyśmy razem wybrali się do urzędu skarbowego. Oczywiście tylko Kuba rozliczał się z fiskusem, ja, jako pracująca na czarno, oficjalnie miałam dochody tylko z mojej części hektarów. Przelicznik z hektara, jak obliczyła mi pani w urzędzie gminy, dla naszego gospodarstwa wynosi tyle, ile jedna tygodniówka u Pawła. Po prostu śmiechu warte!

Czekając na niego, zatopiłam się w lekturze ulotki oprysku na chwasty, który przezorny Kuba już zakupił, choć do końca zimy było jeszcze daleko. Co za pasjonujący tekst! Po prostu nie mogłam oderwać się od niego.

Jednak się oderwałam. Niestety, w złym momencie. Ulotka upadła mi na kolana. Zastygłam w bezruchu. Siedziałam z otwartymi ustami i dyszałam. Dobrze, że on mnie nie zauważył, pewnie miałby jeszcze

gorsze zdanie o swojej żonie. Tak! Zobaczyłam Michała. Najzwyczajniej na świecie szedł sobie chodnikiem, obok budynku ZUS-u. Był z nią. Prowadził ją pod rękę, a ona niosła przed sobą olbrzymi brzuch. Cała była olbrzymia. Farbowana blondyna z napuchniętą twarzą i wywiniętymi wargami. Wyglądała na ostatnie tygodnie przed porodem... Przeszli obok parkingu. Michał nawet mnie nie zauważył. A ja, zamiast wyskoczyć z auta i dopaść go, narobić mu obciachu na środku ulicy, wykrzykując, ile wisi nam alimentów, siedziałam jak skamieniała. Tylko patrzyłam na nich. Jak nadchodzą... idą niedaleko mnie... i jak się oddalają. Patrzyłam na mojego ukochanego Michała. Szedł z nią pod rękę i śmiał się. Z ramienia zwisał mu mały plecak. Wiatr targał jego brązowe włosy. Twarz promieniała szczęściem. Wyglądał na młodszego, niż go zapamiętałam. Mój Boże! Czyżby miłość do tej dziewczyny tak na niego działała? Czy może raczej odmiana? Nie wiem. I nie dowiem się, przecież zniknęli w tłumie na przejściu dla pieszych. Głupia idiotka ze mnie... zaprzepaściłam szansę dorwania skurwiela i przypomnienia mu, że oprócz tego bękarta, który niedługo się urodzi, ma też dwóch ślubnych synów. Jego synowie potrzebują jeść! Potrzebują ubrań, butów, piłek, quadów, rolek i tysiąca innych rzeczy! No i przede wszystkim potrzebują ojca! Tak samo jak niczemu niewinne maleństwo w brzuchu farbowanej blondyny, które w złości nazwałam bękartem.

Wybuchłam płaczem. Szlochałam i gryzłam palce. Ból wrócił. Do tej pory w bezsenne noce wyobrażałam sobie jego twarz pochylającą się nad inną kobietą. Nie widziałam jej przecież, więc mogłam sobie wyobrażać, co tylko chciałam. Raz była blondynką, raz brunetką. Jeszcze innym razem farbowaną rudaską. Widziałam, jak ją kocha, jak jej dotyka. Widziałam, jak zmienia się na twarzy. Przecież fakt, że ma inną kobietę, chyba nie wpływa na jego reakcje? Tak mi się przynajmniej wydawało. Dlatego co noc mogłam sobie wszystko wyobrażać. Płakałam, a obrazy same się przesuwwały. On ją całował, a ja płakałam. On ją pieścił, a ja wyłam. On karmił ją truskawkami, a ja umierałam z bólu, zazdrości, żalu i tęsknoty. Teraz jeszcze to! Co noc będę widziała, jak pochyla się nad wózekciem i uśmiecha do tego dziecka. Będę widziała, jak bierze to dziecko na ręce, jak je całuje,

przytula do swojej twarzy, łaskocze brodą brzusek. Znow będzie ojcem. Ale już nie mojego dziecka.

Mówię o tym Kubie. Ten rzuca torebkę z włącznikiem w kąt samochodu i drze się na mnie, że Michał nie jest żadnym ojcem, tylko pierdolonym dzieciarobem! Zamiast płakać, powinnam raczej dzwonić do siostry Pawła i udupić skurwiela, skoro jest tu, w Polsce. Na pewno przyjechali, aby dziecko urodziło się w kraju, więc przez kilka tygodni będzie do namierzenia.

Kuba miał rację. Powinnam zacząć bardziej dbać o interesy chłopców, a mniej płakać. Michał żyje sobie pełną piersią i najwyraźniej nie cierpi na brak zajęcia w bezsenne noce. Tak! Poproszę Pawła, aby znow umówił mnie ze swoją siostrą. Skoro jest dobrym prawnikiem, może faktycznie pomoże udupić Michała. Tak! Muszę go dopaść! A farbowana blondyna, skoro go tak kocha, niech pożegna się z becikowym! Niech spłaca jego długi albo Michał trafi za kratki! Postanowiłam i już. Kuba odpalił poloneza i prowadząc monolog do samego domu, przekonywał mnie, że pewnym osobnikom powinni jaja wycinać zaraz po urodzeniu. Ma rację. Teraz też tak uważam.

*

Edyta działała błyskawicznie. Co prawda, nie udało nam się udupić Michała, ale sąd nie ograniczył mi praw rodzicielskich ani nie dał prawa do opieki nad chłopcami teściowej. Wszystko było zasługą siostry Pawła.

Zanim teściowa założyła mi sprawę, Edyta w trybie przyspieszonym pomogła nam przeprowadzić sprawę spadkową po rodzicach. Jak ominęła wielomiesięczne oczekiwanie na termin rozprawy? Nie mam pojęcia. Ale w wyniku jej starań w połowie stycznia staliśmy się z Kubą współwłaścicielami gospodarstwa rolnego, wycenionego razem z budynkami, sprzętem rolniczym i innymi drobiazgami na jakieś dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy złotych!!! Gdy odczytałam na akcie notarialnym, ile wart jest nasz spadek, po prostu szczęka mi opadła.

Podczas rozprawy teściowa zbaraniała, gdy Edyta, jako mój adwokat, udowodniła przed Wysokim Sądem, że pozwana, czyli ja, nie

jest żadną niedorajdą życiową, tylko współwłaścicielką dobrze prosperującego gospodarstwa rolnego, prowadzonego zgodnie ze wszystkimi wytycznymi dobrej praktyki rolniczej oraz unijnymi wskazówkami. Dodała też, że gospodarstwo ukierunkowane jest na... k u k u r y d z ę!!!

Nienawidziłam kukurydzy, a ta roślina stała się niezwykle użyteczna podczas rozprawy. Jednak życie jest zadziwiające! Jeszcze bardziej zadziwiające było to, czego dowiedziałam się z ust Edyty na sali sądowej.

Otóż udowodniła, że jestem najlepszą matką na świecie, ponieważ pracując w gospodarstwie rolnym, w żaden sposób nie ograniczam rozwoju intelektualnego chłopców, a nawet wręcz przeciwnie – wspomagam go. I tu, Edyta na podstawie wpisów w dziennikach zajęć pozalekcyjnych szkoły podstawowej w Starszym Folwarku poinformowała sąd i wszystkich zebranych, że Patryk z Konradem, dzięki temu, że ich matka może o każdej porze dnia zawieźć ich do szkoły i odebrać z niej, biorą udział w programie innowacyjnym pod wiele mówiącym tytułem: „Rozwijanie inteligencji wielorakich”.

No proszę! Ile się człowiek może dowiedzieć na sali rozpraw! Po prostu wyszło mi na zdrowie, że pracowałam na czarno. Byłam w pełni dyspozycyjną matką, która w każdej chwili może oderwać się od pracy w gospodarstwie i na złamanie karku zawieźć chłopców na: kółko plastyczne, kółko teatralne, kurs tańca towarzyskiego dla dzieci, zajęcia dla młodych przedsiębiorców, kółko biblijne, basen (Kuba miał karnet z pracy i dwa razy w tygodniu jeździł z chłopcami na pływalnię do Sochaczewa, aby rozładować nadmiar swojej i ich energii). Oprócz tego Patryk z Konradem brali udział we wszystkich możliwych konkursach na poziomie szkoły podstawowej.

Nic nie było wysrane z palca. O nie! Moja adwokat na wszystko miała dowody. Edyta pokazywała kserokopie potwierdzonych za zgodność z oryginałem dzienników, dyplomów, decyzji i tym podobnych dokumentów, o których nie miałam pojęcia, że mogą istnieć. Wszystko, co prawda, na moją prośbę, udostępniła jej pani dyrektor naszej podstawówki, która podeszła do sprawy z wielkim zaangażowaniem. Zapewne sama jeszcze pamiętała, jak walczyła z byłym mężem o prawo

do wychowywania ich córeczki.

Nic nie było moją zasługą, o nie. Owszem, dotarło do mnie, że Patryk z Konradem brali w tym wszystkim udział, ale nie dlatego, że mieli tak świadomą i mądrą matkę, która wolała hodować kukurydzę, niż pracować na umowę o pracę. Wręcz przeciwnie! Oni musieli w tym uczestniczyć, przecież całe popołudnia spędzali w świetlicy szkolnej w oczekiwaniu na matkę harującą na czarno w fastfoodowej budzie! Ale Wysoki Sąd o tym nie wiedział. Edyta była tak przekonująca, że prawie udowodniła, iż rozpad naszej rodziny miał pozytywny wpływ na rozwój intelektualny, fizyczny i społeczny naszych dzieci, ponieważ tylko w szkole podstawowej w Starszym Folwarku poziom nauczania jest tak wysoki i tylko ta placówka w naszym powiecie ma tak bogatą ofertę zajęć pozalekcyjnych. Natomiast szkoła w Osadzie nawet do pięt nie dorasta tej, do której obecnie uczęszczają synowie pozwanej...

Na końcu Edyta dobrała się do teściowej. Zadawała jej pytania dotyczące Michała. Całe setki pytań związanych z jego wyjazdem z Polski, braku poczucia obowiązku łożenia na utrzymanie synów, i tak dalej. Teściowa nie była przygotowana na taki atak. Zresztą pewnie nie podejrzewała, że będę miała adwokata. Zwłaszcza tak dobrego, jak Edyta.

Łamał się jej głos, gdy nie potrafiła albo nie chciała powiedzieć, gdzie obecnie przebywa mąż pozwanej i dlaczego unika wypełniania obowiązku rodzicielskiego. Słowa, którymi tak łatwo mnie raniła, były dobre na telefoniczne pyskówki, ale zbyt mało przekonujące na sali sądowej.

Edyta wykorzystała nawet fakt, iż chłopcy nigdy nie mieli wspólnego adresu zameldowania z własnym ojcem! I że tak naprawdę jedynym domem, jaki mieli, był rodzinny dom matki w Zwierzyńcu.

Fakt, dom o wartości kilkuset tysięcy złotych, który w połowie należy do pozwanej, zapewne jest lepszym domem niż zagrzybione dwupokojowe mieszkanie w gminnym czworaku, które wynajmował ojciec synów pozwanej...

Wysoki Sąd oddalił pozew teściowej o odebranie lub ograniczenie moich praw do wychowywania Patryka i Konrada. Oprócz tego nałożył na nią, do chwili ustalenia miejsca pobytu ojca małoletnich Patryka

i Konrada Wesołowskich, obowiązek łożenia na utrzymanie wnuków! Tu sędzia odczytał odpowiedni artykuł oraz wyznaczył datę następnej rozprawy, aby ustalić terminy i sposoby kontaktowania się babki z wnukami.

Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Nie.

Następnego dnia dostała zawału. Zapewne silny stres do tego doprowadził. Ale czy była w tym moja wina? Nie chciałam z nią wojny. Na swój sposób ją lubiłam, dlatego ucieszyłam się, że po oczyszczeniu żył jej stan się ustabilizował i była duża szansa na powrót teściowej do jako takiego zdrowia.

Jedną sprawę miałam załatwioną, ale nadal nie wiedziałam, skąd wezmę pieniądze na zapłacenie cholernie wysokiego podatku od wartości spadku. Kuba też tego nie wiedział.

Dobrze, że chociaż Edyta nie chciała honorarium. Gdy ją o to zagadnęłam, odparła z czarującym uśmiechem, że pierwszy raz w życiu Paweł poprosił ją o pomoc i z wielką przyjemnością pomogła jego znajomej. Skoro w jej bracie nagle obudziła się empatia, jest to dla niej największa zapłata, o jakiej mogła marzyć ona i ich matka.

Nie rozumiałam, o co jej chodziło. Zresztą miałam dość swoich kłopotów, aby zastanawiać się nad tajemnicami życia Pawła.

*

Kuba jest dumny jak paw. Kuba chodzi po całym domu z głową podniesioną bardzo wysoko. A za nim drepczą moi synowie.

– Wujku! Kiedy wreszcie przyjedzie ten facet od internetu?

– Patryk nie może już się doczekać, bo wszyscy w jego klasie mają internet, a on jeden nie. – Zadzwoń do niego! – prosi. – Przecież miał być o szesnastej! A już jest prawie siedemnasta! – mówi z oburzeniem.

Ale Kuba tylko siada przed świeżo zakupionym komputerem. Z lubością dotyka klawiatury i wpatruje się w barwną tapetę na monitorze. Kaskady wody niemalże wylewają się z ekranu, a mój brat jest szczęśliwy. Nareszcie ma nowy komputer.

– Wujku! Wujku! – teraz już obaj chłopcy krzyczą. – Przyjechał! Już jest!

Przezornie wycofuję się na piętro i znów zaczynam myć okna.

Jakiś potworny lęk ściska mi serce. Sama nie wiem dlaczego, ale czuję niepokój. Ten internet! Czy on jest tak bardzo potrzebny do szczęścia moim facetom? Najwyraźniej tak, skoro wszyscy trzej pojechali kupić cały sprzęt komputerowy. I wszyscy trzej na złamanie karku szukali kogoś, kto potrafiłby podłączyć go do sieci.

Okno po oknie zaczyna błyszczeć. Po jakimś czasie pukam się w głowę. Po cholerę myję okna w pokojach, których nikt nie używa? Sama nie wiem. Może to dla mamy? Ona dbała o wszystkie pokoje, nawet gdy nikt tam nie mieszkał. Czy może raczej, by zagłuszyć ten absurdalny lęk? Tak! Chyba tak! Przecież ustaliliśmy z Kubą zasady korzystania przez chłopców z komputera i internetu. Paweł radził mi, jakie wprowadzić zabezpieczenia i blokady, aby sami nie mogli wchodzić na niedozwolone strony. Wszystko jest ustalone. Nic nie może stać się złego. Tak! Na pewno! Uspokajam sama siebie i myję ostatnie okno na piętrze.

Jeszcze mi mało. Nadal jestem niespokojna. Biorę wiadro z wodą i ścierki z mikrofibry. Z całym majdanem wspinam się na strych. Tam przecież są dwa aż szare od brudu okna. Muchy przez całe lata je obsrywały. Nikt o nich nie pamiętał. Strych w naszym domu był obrzydliwą graciarnią. Tony starych książek i zeszytów, pamiętających czasy wszystkich dzieci wychowanych w Zwierzyńcu. Moje i Kuby też tam są. Aż się prosi o zrobienie porządku. Może kiedyś... obiecuję sobie i zabieram się do szorowania starych ram. Farba odchodzi wielkimi płatami, ale nie poddaję się. Po godzinie oba okna lśnią czystością. Całe ręce mnie boją. Wyglądam przez okno na podwórko. Faceta od internetu już nie ma. Zatem na dole chłopaki pewnie już piją szampana piccolo. Uśmiecham się do siebie. Moi chłopcy są szczęśliwi. Z pomocą Kuby ich świat, tu w Zwierzyńcu, znów stał się beztroski i radosny.

Siadam na podnóżku starego klęcznika. Jest pokryty wieloletnim kurzem. Ten klęcznik należał do babci. Dostała go w posagu razem z resztą dębowych mebli: szafą, pięknie zdobionym kredensem, łóżkiem i kufrem z wyprawą z łowickimi ornamentami. Odkąd pamiętam, zawsze modliła się na tym klęczniku. Nawet uszyła sobie specjalną poduszkę na podnóżek, bo klęcznik był bardzo twardy i babcie kolana bolały. Szczególnie pod koniec życia prawie z niego nie schodziła.

Ach, ta babcia! Zmuszała mnie do odmawiania tych wszystkich litanii, koronek i całej masy dziesiątek Różańca. Wykręcałam się, jak mogłam, ale czasami musiałam z godzinę klęczeć obok niej i śpiewać *Kyrie eleison*. Najbardziej lubiłam litanie do Matki Bożej. Są tam takie piękne zwroty: „Wieża z kości słoniowej” albo „Domie złoty” czy „Arko Przymierza”. Zawsze zastanawiałam się, jak taka wieża z kości słoniowej może wyglądać. Do tej pory jestem tego ciekawa. Może teraz, gdy już mamy w domu internet, poszukam informacji na jej temat.

Powinnam zejść na dół i zrobić chłopcom kolację. Kuba zaraz pewnie będzie szykował się na nockę do pracy. Na strychu jest już prawie ciemno. Podnoszę się z klęcznika. Jeszcze tylko zajrzę do jego środka. Ma on tajemniczą skrytkę. Pod podpórką, na której babcia trzymała złożone dłonie, jest pojemnik ukryty pod podnoszoną klapą. Kiedyś nawet był do niego kluczyk, ale któreś z babci dzieci go zgubiło. Korci mnie, by tam zajrzeć. Co tam może być? Tyle lat nie zaglądałam do środka. A niech tam! Zaglądam!

Podniosłam klapę do góry. Tumany kurzu obsypały mnie. W ostatnich blaskach dnia przerzucam książeczki do modlitwy, karteczki z Tajemnicami Różańca, ze dwie książki o Janie Pawle II. No tak, babci skarby! Zapomniałam już, co ona zbierała. Im głębiej szukam, tym więcej kurzu unosi się wokół. Kiedyś te książeczki leżały na półkach w babci pokoju. Pewnie po jej śmierci mama spakowała je do klęcznika i wszystko razem wyniosła na strych. Tak! Na pewno tak było.

Już prawie wszystko przerzuciłam. Ledwie coś widzę, ale na samym spodzie leży mała zielona książeczka. Bez sprawdzania wiem, co to jest: *Żywot św. Alfonsa*. Jak nic! Poznałabym ją nawet na końcu świata. Ha, ha, ha. Zawsze do łez zaśmiewaliśmy się z Kubą na jej widok. Alfons świętym? Ale śmieszne. Ale teraz już nic nie wydaje mi się śmieszne. Wyciągam *Żywot*. Pod nim jest jakieś zawiniątko. Nigdy go wcześniej nie widziałam. Rzucam Alfonsa na podnózek i z zaciekawieniem biorę sporą paczuszkę zawiniętą w szare płótno i obwiązane czerwoną wstążką. Z ciekawością ją obmacuję, ale niczego mi nie przypomina. Jak chłopcy pójdą spać, to do niej zajrzę. Jest już bardzo ciemno. Po omacku schodzę na dół, a paczuszkę przyciskam do serca. Czuję, że tam jest jakaś tajemnica.

Dopiero na dole przypomniałam sobie, że na strychu zostawiłam wiadro i ścierki. A niech tam! Nie zginą. Pójdę po nie jutro. Już nie mogę się doczekać, aby rozpakować zawiniątko. Ale najpierw muszę zobaczyć, jak się mają mali faceci i ich internet. Wchodzę do pokoju Kuby i przeżywam szok. Kuba siedzi przy komputerze blady jak ściana i bawi się myszką. Chłopcy, skuleni, leżą na jego tapczanie i płaczą. Nic z tego nie rozumiem! Co tu się stało?

– Patryk? Konrad? Co wam jest? – pytam. – No powiedzcie mi! Kuba?

– Nienawidzę! – zaczyna wrzeszczeć Konrad. – Nienawidzę go! – powtarza i zeskakuje z tapczanu, a za nim Patryk. Obaj z rykiem wybiegają z Kuby pokoju. Rozkładałam ręce i nie wiem, co robić. Biec za nimi czy porozmawiać z Kubą? Wybieram to drugie.

– Kuba! Kuba! No powiedz coś! – teraz już prawie krzyczę. Mój brat nadal milczy. – Co tu się stało?

– A się stało! – Kuba podrywa się od komputera, na siłę sadza mnie na swoim miejscu, a potem klika na jakąś ikonkę. Nadal nic nie rozumiem, ale powoli moim oczom ukazuje się Facebook. Kuba loguje się jakimś tajemniczym hasłem. Po chwili już widzę jego profil: Jakub Cichy. 0 znajomych. Zdjęć brak. Patrę i nie rozumiem. Brat nic nie mówi, tylko klika na: szukaj znajomych i wpisuje: Michał Wesołowski; Osada/Londyn.

Teraz powoli zaczyna docierać do mnie, co tu mogło się stać. Po chwili oczekiwania na monitorze pojawia się iluś tam Michałów Wesołowskich. A wśród nich jest mój mąż. Jego tak dobrze znajomy uśmiech i nieludzko przystojna twarz spogląda na mnie z małego zdjęcia. Pytająco patrę na Kubę.

– Tak – odpowiada bezbarwnie. – Chłopcy zaraz po podłączeniu internetu prosili mnie, abym pozwolił im wejść na ten portal. Zarejestrowałam się, a oni od razu zaczęli szukać znajomych. Widocznie wiedzieli, o co w tym chodzi... od razu znaleźli ojca. I sama popatrz!

Kuba klika na galerię Michała. Nie wiem, jak mam złapać oddech. Już się nie dziwię, dlaczego chłopcy płakali. Michał wstawił piękne fotki. On i jego małeńka córeczka nad Tamizą. On, Blondyna i dzieciak na tle jakiegoś zameczku, na wrzosowiskach itp. Pod każdym zdjęciem

przepiękne opisy: „Moja ukochana córeczka Joyce”, „Mój najdroższy Skarb na ziemi – Joyce” albo: „Szczęśliwe chwile nad Tamizą” czy „Najważniejsze kobiety mojego życia”. Nic dodać, nic ująć! Przy okazji zablokowane wstawianie komentarzy! I ani słowa o chłopcach!

Podnoszę się z krzesła. Wychodzę z pokoju Kuby bez słowa. Idę do pokoju chłopców. Obaj leżą na swoich tapczanikach z twarzami schowanymi w poduszki. Tylko nerwowo drgające plecy ujawniają ich rozpacz. Siadam na podłodze pomiędzy łózkami i czekam. Czekam i czekam... a oni nadal szlochają. Siedzę tam całą wieczność. Słyszę, jak Kuba wychodzi z domu i odpala samochód. Potem rusza z piskiem i po chwili jesteśmy sami w domu. Na chwilę podnoszę się i idę zamknąć na klucz drzwi wejściowe. Potem wracam do ich pokoju. Patrzą na plecy chłopców. Już nie drżą spazmatycznie, tylko miarowo się poruszają. Usnęli. Delikatnie pochylałam się nad Patrykiem i przekręcam go na bok, by mógł swobodniej oddychać. Potem to samo robię z Konradem. Przykrywam ich kołdrami. Nawet przez myśl mi nie przechodzi, by budzić ich do kąpieli. Jest piątkowa noc i nic się nie stanie, jak raz nie zaliczą mycia. Tak rozgrzeszam się w myślach. Potem zadaję sobie pytanie, co im powiem jutro? Nie mam pojęcia!

*

Kiedy nadeszło jutro, obaj powiedzieli tylko jedno zdanie:
– Nie mamy taty!

A potem zacisnęli mocno zęby i nigdy więcej nie chcieli rozmawiać o Michale.

*

Zaskoczył mnie tym telefonem. Nawet bardzo. Nie spodziewałam się, że po odebraniu połączenia usłyszę właśnie jego.

– Cześć, poznajesz, kto mówi?

– Pewnie – silę się na wesołość, choć głos staje mi w gardle. – Mój mały szwagier. Łukasz, prawda?

– Tak. – Jego głos nie brzmi zbyt miło. Kiedyś, gdy go poznałam, był sympatycznym, wesołym nastolatkiem, ale z czasem stał się gburowatym chamem, bez odrobiny uprzejmości. – Słyszałam, że

wyprowadziliście się z Osady, prawda?

– Tak. I co z tego? – Zaczynam od ataku, może wtedy nie będę musiała się bronić.

– A z tego, że czekam i czekam, kiedy wreszcie oddasz mi piłę, bratowo! – Słowo „bratowo” powiedział z takim przekąsem, aż zrobiło mi się przykro.

– Jaką piłę? O co ci, Łukasz, chodzi?

– Piła spalinowa Stihl, model dwadzieścia trzy, wartość zakupu tysiąc trzysta złotych, wartość rynkowa na dzień dzisiejszy około tysiąca złotych.

– Nie wygłupiaj się, Łukasz. Ja nie mam żadnej piły!

– Beata! Kilka miesięcy przed waszym rozstaniem Michał pożyczył ode mnie piłę i mi jej nie zwrócił.

– Przykro mi – próbuję łagodzić naszą rozmowę, choć wcale nie jest mi przykro z powodu zaginięcia piły, której nie widziałam na oczy.

– Ja nie mam piły i nigdy jej nie widziałam. Może skontaktuj się z Michałem i od niego domagaj się zwrotu!

– Słuchaj, Beata! – prawie krzyczy. – Nic mnie nie obchodzi, dlaczego mój brat cię porzucił, ale skoro on nie zamierza wracać ani do ciebie, ani do kraju, chyba oczywiste jest, że ty masz mi albo zwrócić piłę, albo za nią zapłacić! Rozumiesz?

– Nie! Nie rozumiem! – Teraz ja się drę, aż Paweł, który właśnie wszedł do baru, postawił oczy ze zdziwienia.

– Zrozum, idiotko jedna, że albo zwracasz mi kasę, albo zakładam ci sprawę, bo ci tego nie daruję.

– Czego? Do cholery, czego mi nie darujesz?

– Już ty dobrze wiesz czego! – Łukasz najwyraźniej nastawił się na dokopanie mi, rzucał mięsem i wcale się nie hamował. – Tego, że Michał przez ciebie wyjechał z kraju! Mama dostała zawału! Czekam dwa dni na piłę lub kasę, a jak nie to...

– To co?

– Spotkamy się w sądzie, bratowo! Nawet ta przemądrzała pani adwokat ci nie pomoże. Dotarło? – usłyszałam na zakończenie rozmowy. Potem był trzask i Łukasz rozłączył się.

Jak stałam, tak padłam na taboret, który podsunął mi Paweł.

Schowałam twarz w dłonie. Dobrze, że nikt nie stał pod barem i spokojnie mogłam się wypłakać. Szlochałam, a Paweł wycierał mi łzy.

– Paweł, ja już nie wytrzymam! – jęczałam. – Ja już nie mam siły. Ile jeszcze na mnie spadnie? No ile? Dlaczego mnie spotykają wszystkie nieszczęścia?

– Jakie nieszczęścia? Co ty, Beata, bredzisz? To są przeciwności losu, a nie dramaty i nieszczęścia!

– Tak? A skąd ty możesz o tym wiedzieć, co? – atakuję teraz Pawła. Jak on śmie mi mówić, że wszystko, co mnie ostatnio spotkało, nie jest wielkim dramatem! – Przeżyłeś coś gorszego? Zostawiła cię żona bez środków do życia, samego z dziećmi, co? Wydzwania do ciebie jej rodzina i straszy cię sądem? – Nerwy mi puściły, nic nie przeżył, jest sam jak palec na tym bożym świecie, a wymądrza się tak, jakby pozjadał wszystkie rozумы świata.

– Uspokój się! Ja wszystko rozumiem, tylko próbuję ci powiedzieć, że nie jesteś jedyną opuszczoną kobietą na świecie.

– Naprawdę? Zauważyłeś? – drwię z niego.

– Wyobraź sobie, że tak! – Gwałtownie poderwał się z podłogi i stanął oparty o lodówkę. – Wiesz, czasami mam wrażenie, że ty potrzebujesz mocnego kopa, tak dla ocknięcia się!

– No proszę! No kop mnie, proszę bardzo – prawie krzyknęłam, ale do okienka podszedł klient i zamówił dużą porcję frytek ze schabowym i surówką, więc musiałam zamknąć się i zająć realizowaniem zamówienia.

Gdy klient i kilku następnych po nim już sobie poszło i w pewnym oddaleniu, na stojąco, jadło hot dogi, zapiekanki i szybkie kisielki owocowe, Paweł podszedł do mnie i szepnął mi do ucha:

– Chyba skorzystam z twojej zgody i dam ci takiego kopa, że od razu inaczej spojrzysz na życie.

Ze zdumienia nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, i zanim coś wymyśliłam, jego już nie było. Po prostu wyszedł sobie, rzucając mi tylko klucze od budy. Nawet nie powiedział, abym zamknęła. Właściwie nie musiał. Sama powinnam się domyślić. Był moim szefem i nie powinnam być zdziwiona jego zachowaniem. Najpierw żalę mu się, a potem krzykiem reaguję na jego uwagi. Powiedział, co wiedział,

i sobie poszedł. Tylko co powie jutro? A może mnie zwolni, w zasadzie po co mu taka rozhisteryzowana pracownica? No po co?

Jutro nic nie powiedział. Przez cały dzień unikał mnie. Jak zwykle wczesnym rankiem przywiózł pieczywo. Potem pokręcił się po barze, poprzeglądał lodówki, szafki i półeczki, wynotował sobie, czego brakuje i co powinien jak najszybciej dokupić, i wyszedł. A ja zostałam sama. Ruch był niewielki. Nie bardzo miałam co robić, więc posprzątałam trochę, poukładałam napoje na wystawce. Potem wypiliśmy kawę. Pojawiło się kilku klientów, obsłużyłam ich, a potem... wysłałam Pawłowi SMS-a:

„Czy znasz inne, bardziej doświadczone przez los kobiety niż ja?”

Po chwili otrzymałam odpowiedź:

„Nie, nie znam, tylko czytałem o nich”.

A ja na to:

„Po angielsku, w oryginale...?”

On po dłuższej chwili:

„Nie, ale pisane równie ciekawym językiem. Takim, który ty dobrze powinnaś znać... chyba nawet był Ci bliski...”

Zbaraniałam. O co mu teraz chodzi? O polski? Nie, ten wszyscy znamy. Co on wymyśla za zagadki? Wkurzył mnie i odłożyłam telefon na bok. Nie dawałam sobie rady z Pawłem. Robił wszystko, aby udowodnić mi, że jestem głupią gęsią. Może i ma rację, ale skoro sam jest taki mądry, to co, do cholery, robi w budce z hot dogami?

*

Pojawił się po szesnastej. Właściwie już wszyscy na bazarze zajęci byli pakowaniem swojego towaru i zamykaniem budek. Ja też już posprzątałam bar, zliczyłam dzienny utarg i przygotowałam pieniądze tak, aby od razu dać je Pawłowi. Byłam pewna, że jak zwykle weźmie je, włoży do portfela i powie, bym jechała do domu.

Owszem, wziął pieniądze, włożył je do portfela, ale ani nie wyszedł z budy, ani nie kazał mi jechać do domu. Wręcz przeciwnie, stał tak, że zasłaniał drzwi wejściowe. Nie bardzo wiedziałam, co mam robić. Czy poprosić go, by się przesunął, czy czekać na jego następny ruch?

Wolałam czekać.

Stał tak jeszcze przez chwilę, a potem odezwał się:

– Beata, czy bardzo się śpieszysz?

O kurczę! – pomyślałam. O co mu tym razem chodzi?

– W sumie nie... Kuba miał odebrać chłopców ze szkoły, a potem w planach mieli zakupy, basen i wrócą pewnie dość późno

– odpowiedziałam zgodnie z prawdą. W swej głupocie jeszcze nie nauczyłam się kłamać.

– Oooo... A zrobiłabyś mi kawy?

– Jasne – zgodziłam się. Co mogłam innego powiedzieć?

– Sobie też zrób. Już dawno miałem ochotę wypić z tobą kawę... tak na spokojnie... gdy już nikogo nie będzie na bazarze.

Paweł usiadł na małej beczce z kiszoną kapustą. Robiłam dla nas kawę i zastanawiałam się, co będzie dalej. Co mu chodzi po głowie?

Postawiłam dwa kubki z kawą na blacie i usiadłam obok Pawła. Ręką sięgnął do szklanej zasuwki i zasunął okienko, przez które klienci zamawiali jedzenie. Odgrodził nas od ostatnich odgłosów pakujących się handlarzy.

Poczułam się nieswojo. Do tego stopnia, że kawę posłodziłam trzema, zamiast dwoma łyżeczkami cukru. Zauważył.

– Nie denerwuj się tak.

– Wcale się nie denerwuję! – Udawałam spokojną, ale mi nie wychodziło.

– Denerwujesz się, ale naprawdę niepotrzebnie. Ja tylko chciałem... ja... Beatko, zamknij oczy.

– Po co?

– Zamknij, nic złego się nie stanie, obiecuję ci – kusił miękkim głosem.

Poddałam się. Zamknęłam oczy i czekałam, co się teraz wydarzy. Przez chwilę siedziałam, mocno zaciskając powieki, aż pod nimi zauważyłam maleńkie gwiazdeczki, które jak zwykle niepokoiły mnie swym migotaniem. Potem usłyszałam, jak Paweł szeleści papierem, a po chwili, modulując głos, zaczął mówić. Nie! Szybko zorientowałam się, że on nie mówi, tylko coś czyta. Brzmiało to jak list.

LIST I

Zwierzyniec, 13 luty 1947 r.

Stachu!

Ano i my jakoś przetrwali ten straszny czas. I ja i Mój i dzieciątka, chociaż nieraz śmierć prawie patrzyła w oczy, ale dobry Bóg otoczył opieką i żyjemy. Nie wiem jak Ci Stachu opowiedzieć, co my przeżyli. Może Ci ten Krawiec, co u nas z rodziną przez wojnę pomieszkiwał, opowiedział dużo? Ja to tera mało mam czasu na pisanie, bo oprócz Władzia, Stasi i Marysi (tej co to na św. Michała, zaraz po wybuchu wojny się rodziła) znów brzemienna jestem. I pewnie na św. Szczepana dzieciak już na świecie się pokaże. Aż mi wstyd pisać o tym moim stanie, ale skoro chcesz wiedzieć co u nas, i o tym Ci donoszę...

Słuchałam, cały czas zaciskając powieki. Już po pierwszych kilku zdaniach zdałam sobie sprawę, że... niemożliwe... ale domyślałam się, kto jest autorem tego listu. Te dziwne zwroty... O mój Boże! Nie! Gwałtownie podnoszę powieki, widzę przed sobą Pawła, który trzyma w dłoni bardzo pożółkłą kartkę papieru. Wyciągam po nią dłoń. Chcę mu ją zabrać. Jest jednak szybszy i chowa ją za siebie.

– Skąd go masz? – Zupełnie nie panuję nad sobą. – Skąd, do cholery, masz list mojej babci?

– Uspokój się! Inaczej nigdy się nie dowiesz.

– Nie masz prawa.

– Do czego?

– Do czytania tego listu!

– Proszę! Proszę! – Z łagodnego przechodzi na drwiący ton głosu.

– Jeszcze przed dwoma minutami nie miałaś pojęcia, że istnieje coś takiego, jak list twojej babci, a teraz mówisz mi, do czego mam prawo, a do czego nie. Jesteś po prostu śmieszna!

– Nie, jestem wkurzona!

– Uspokój się, zamknij oczy i słuchaj dalej. Bardzo ciekawie twoja babcia pisała w tych listach.

– Listach? – wpadam mu w słowo. – Masz ich więcej?
– Tak, ale zamknij wreszcie oczy, bo zaraz się rozmyślę i nic ci więcej nie przeczytam.

Kapituluję. Potulnie zamykam oczy i słucham, jak obcy człowiek czyta list mojej ukochanej babci... do mężczyzny, który na pewno nie mógł być moim dziadkiem! On był księdzem...

LIST I – ciąg dalszy

...modliłam się całą wojnę, abyśmy i my i Ty nie pomarli. A tego Krawca to błogosławię, bo on na moją prośbę Cię po Warszawie obiecał szukać. I jak obiecał tak i odnalazł. Krawiec u mnie miał dług wdzięczności, bo ja jego żonę i dzieciaka od śmierci uratowałam.

Ci Krawcowie, uciekinierzy z Warszawy byli. Jak wszyscy stamtąd uciekali to i oni też zabrali co konieczne i uciekli. W naszej okolicy gospodarki duże i u każdego dla jakiejś rodziny z miasta kąt się znalazł. Ledwie żywi do nas dotarli. On na plecach niósł, co zdołali z mieszkania zabrać, a ona rękoma podtrzymywała olbrzymi brzuch. Jak ją zobaczyłam, to od razu Mojemu kazałam miejsce w komorze szykować i sienniki słomą wypychać. Bo przecie Bóg by nas chyba pokarał, gdybyśmy brzemiennej pod dach nie przyjęli.

On Krawiec i z nazwiska i z zawodu. Do pomocy w polu, tak jak inni uciekinierzy się nie rwał. Za to przejrzał wszystkie szmaty jakie ja w domu miałam i zabrał się zaraz za szycie ubranek dla dzieciaków moich. A i nam co nieco poprzerabiał. I tak my w zgodzie do końca wojny razem żyli. Ale z tym rodzeniem to chyba sam jej Anioł Stróż obok mnie stał. Bo to było tak:

Już północ minęła, gdy ktoś w okiennice pięścią grzmocił. Ja z Moim poderwaliśmy się ze snu i dalej pytać kto i co chce. Bo przecie wojna i wszelkiego złego pełno po wsiach chodziło. A tu Krawiec błagał, aby gospodyni wstała i do komory przyszła, bo jego żona rodzić zaczęła. W strachu ja wielkim byłam, chociaż sama już trzy razy dzieci na świat wydałam, jednak jak drugiej kobiecie pomóc nie bardzo wiedziałam. Ale

chustę na koszulę założyłam i do komory z Krawcem poszłam a Mojego do wsi po akuszerkę wysłałam, bo kto wie co przy pierwszym razie stać się może.

Akuszerki Mój nie znalazł. Ponoć gdzieś na dziesiątej wsi już od rana poród odbierała. Boże mój, co ja robić miałam? Krawcowa na sienniku z bólu się wila. W samej z szarego płótna koszuli leżała i co ją skurcz łapał, to ona zębami gryzła szmatę na sienniku, aby nie wyć na głos. Wcześniej już ją ostrzegałam, że jakby co, to aby cicho, bo i dzieci przecie nasze przez ścianę śpią. Parobek młody też. I siostra moja panienska jeszcze. Tak i kobiecinka pamiętała o cichości. Ale co z tego? Wody jej już ze dwie godziny jak wypłynęły. Czas mijał a główki widać nie było. Co mogłam to przygotowałam. Szmaty płócienne i lniane. Troczek do pepowiny. I spirytus mocny. A ona tylko gryzła ten siennik a rzucała się po nim z bólu. Wreszcie chłopcy oba, Krawiec i Mój nerwów tych nie wytrzymali i radzić się zaczęli. Krawiec błagać zaczął, abym ja, dobra przecie gospodyni, ulżyła jej tam coś, bo żona pomrze wreszcie. Że ona pomrzeć może, to i ja sama wiedziałam, ale jak jej ulżyć to nie bardzo. I prawie sama w płacz bym uderzyła, gdy ten Mój krzyknął na mnie, że baba to i jak krowa, jednako rodzi. A przecie ja od krów cielenia ciągle odbierałam. To i teraz powinnam rękę do środka włożyć i wybadać, czemu dzieciuch nie wyłazi! O taki to Mój mądry jest! Co prawda to prawda, ale ja nieraz cielaczka w środku przekręcałam aby krowy nie zmarnować.

Tak i wtedy, bardzo uważając, dłoń jej do środka włożyłam. A skurcz wtedy miała to aż mnie ścisnęło. Ale pamiętając jak mnie akuszerka od beksów wyzywała, sama nic jej nie dokuczałam. Pomacałam tam trochę i zdrętwiałam, bo główki na przedzie nie było! Znaczy się, dziecko dupą na świat szło. A przecie to pierwsze, to strach aż myśleć! Niejedna u nas na to pomarła i nawet dzieciucha nikt nie zobaczył. Ja w tym strachu, że i ona w mojej komorze pomrze, zaczęłam jak cielaka ciągnąć a masować rozwarcie aby jak najwięcej miejsca było. Krawcowa wtedy krzyczeć zaczęła, taki ból jej robiłam. Ale wyjścia nie było, ręka bolała jak wszyscy czarci, a ja cały czas masowałam środek i kawałeczek po kawałeczku ciało do przodu się posuwało. Z tego strachu to i Krawiec przy żonie siedział i pod pachami ją trzymał

a ona parła, a parła! Sama nigdy tak mocno tego nie robiłam, za co akuszerka na mnie wyzywała. A ta śmierć pewnie czuła, bo z całych sił parła.

Biało już było na dworze gdy udało się! Sine to niebożątko było aż strach, ale dychało. Zaraz pępowinę ostrym nożem odciąłem, troczkiem podwiązałam i spirytusem opatrzyłam i masować go zaczęłam. Koloru nabrał, bo to chłopak jest. I tak na niego dmuchałam i chuchałam, w gęsim puchu tydzień trzymałam aby nie przemarzył, taki mały i zabidzony się urodził, aż wreszcie sił nabrał i wierzgać kulfonkami zaczął. To my wtedy już wiedzieli, że żyć będzie. Na kolana wtedy padłam przed Świętym Obrazem z Częstochowy i dziękować zaczęłam, bo czułam, że tylko narzędziem w ręku Boga byłam i tym dwojgu życie uratowałam. Przecie bez tego ciągnięcia i masowania udusiłby się chłopaczek a i ona z zakażenia by pomarła. A tak to ja z Moim do chrztu za niedługo go zanieśliśmy i Stanisław na imię otrzymał. Krawiec wdzięczność do grobowej deski obiecał i jak ja go prosiłam, aby takiego to a takiego księdza po powrocie do Warszawy szukał, tak i on Ciebie Stachu znalazł. I zaraz nam wiadomość przez kogoś posłał. Znów przed Obraz na kolana padłam i litanie odmawiać zaczęłam, taka radość w moim sercu była. Bo i my słyszeli, że Tyś z łapanki obok Getta nie uciekł.

A Świekrowi moi i ojciec mój to we wojnę pomarli, ale Ci o tym Stachu napiszę potem, teraz mi się papier skończył, tak się rozписаłam. Zostań z Bogiem Stachu, Basia.

*

Skończył czytać. Słyszałam, jak znów szeleścił papierem, ale nie chciałam od razu otwierać oczu. Chciałam jeszcze przez chwilę trwać w tym osłupieniu. Czułam się tak, jakby babcia Basia nagle wstała z grobu i zaczęła opowiadać mi historie, których nigdy wcześniej nie słyszałam, a przecież powinnam je znać, skoro były częścią jej życia.

– Następny przeczytam ci jutro. – Głos Pawła wyrwał mnie z odrętwienia. Chciał jeszcze coś dodać, ale mu przerwałam:

– Jutro ja ci coś przeczytam.

*

Do domu jechałam jak nieprzytomna. Na liczniku miałam ponad setkę. Nie panowałam nad swoimi emocjami. Dobrze, że Kuba i chłopcy jeszcze nie wrócili, miałam więc trochę czasu dla siebie. Nie wprowadziłam samochodu do garażu, tylko jak burza wpadłam do domu i od razu pobiegłam do pokoju brata.

Przecież u niego rzuciłam tę tajemniczą paczuszkę! Nie rozpakowałam jej wtedy, zapomniałam, gdy zobaczyłam płaczących synów. Nie sprawdziłam jej zawartości, ale teraz byłam niemalże pewna, że wiem, co w niej jest. Listy. Jego listy.

Tylko czy Kuba jej nie wyrzucił?

Nie. Leżała tam, gdzie ją cisnęłam. Na podłodze za tapczanem. Pierwszy raz w życiu cieszyłam się, że mam brata brudasę. Gdyby lubił sprzątać, już dawno wyrzuciłby paczuszkę do pieca. Zapewne. Kuba wszystko zbędne wrzucał do pieca.

*

Z zamkniętymi oczami Paweł wyglądał inaczej. Łagodniej i bardziej pociągająco. Miałam ochotę pogłaskać go po twarzy, ale pohamowałam swoje nagłe odruchy. Dla odmiany usiadłam na beczce z kiszoną kapustą. Taboret tym razem był dla Pawła. Wyjęłam z koperty stary list i zaczęłam czytać. Po chwili oboje zaczęliśmy poznawać inny świat. Świat Basi i Stacha. I poznawaliśmy go przez szereg dni, a nasze życie się zmieniło. Nikt o tym jeszcze nie wie, tylko ja i on. Postanowiliśmy o tym nikomu nie mówić. Ba! Sami mamy wątpliwości, czy mieliśmy prawo czytać cudze listy. Ale je czytaliśmy. Tam, w tych pożółkłych kartkach, kryła się jakaś wielka tajemnica. Chcieliśmy ją poznać. Jednak nie tak od razu. Raczej powoli. Bardzo powoli.

CZĘŚĆ II

Listy z dziesiątej wsi

LIST II

Warszawa, 23 styczeń 1947 r.

Droga Basiu Cicha

Nareszcie Cię odnalazłem. Tak się cieszę, że Ty i Twój małżonek i Wasze dziatki przeżyliście wojnę. Ja też ją przetrwałem. Niestety!

Gdy trafiłem do Oświęcimia, przy życiu trzymałaś mnie tylko Ty. Każdego dnia, w myślach, układałem do Ciebie listy. Opowiadałem Ci w nich, że bez względu na wszystko chcę żyć. Dla tego trwania z głodu zjadałem własny kał. I przetrwałem. Tylko teraz, dwa lata po odzyskaniu wolności, nie wiem, po co? Chociaż nareszcie mogę pisać do Ciebie normalne listy, mogę je wysyłać i oczekiwać odpowiedzi na nie. Ale to nie to samo. Tamte, pisane w myślach listy, ratowały mój umysł. Zamiast czekać na wędrówkę do gazu, ja pytałem się Ciebie, jak Twoje ostatnie dzieciątko się miewa. Kiedy ostatni raz byłem u Was, byłaś brzemienną. Miałaś rodzić na św. Michała. A przed nim wybuchła wojna...

Ta wolność nie jest wolnością. Ona jest jak choroba. Jak suchoty. Powoli, dzień po dniu, wyczerpuje nas... Zabija... Wysusza myśli i sumienia...

Ale dość smutków. Zastanawiam się często, jak się miewacie. Chciałbym nadrobić stracone lata. Chciałbym uzupełnić wszystkie luki, jakie w naszym życiu poczyniła wojna.

LIST III

Zwierzyniec, 21 marzec 1947 r.

Stachu!

Jan w mieście był i brulion gruby mi kupił. Dzięki niemu mogę

notować co ciekawsze wspomnienia z czasu wojny.

Świekrowi moi pomarli w 1941 roku, w marcu. I to nie przez wojnę a przez dziwny jakiś traf. Najpierw Świekra kartofle obierała i nagle za serce się złapała i na podłogę upadła, aż kartofle po podłodze się walały. Ja tam przy niej byłam bo Maryskę cyckiem karmiłam, cuciałam Świekrę ale do życia nie wróciła. Tak i za trzy dni my ją musieli w trumnie 20 km na wozie w krypie wieźć do jej starej parafii we Księżstwie, gdzie tam w grobie syna leżeć chciała. I powieźliśmy ją. A dziatki nasze i trzoda cała pod opieką dobrych sąsiadów się ostała.

Marzec wtedy bardzo zimny był. To i my wszyscy na tym dalekim cmentarzu pomarзли bardzo. A najbardziej Świekier stary. Zmarzył, aż dreszczy nad grobem Świekry dostał. I on z nami wozem do chałupy wracać nie chciał, ino ostał się u kuzyna swego na noc. A my z Moim do domu przed zmrokiem jeszcze zdążyli. Potem wszystko oporządzili i dzieciuchy potulili i spać poszli. A rano, skoro świt, z tamtej starej okolicy chłopaka przysłali, aby nam powiedział, że wracać mamy i Świekrowi staremu pogrzeb robić. On w nocy od tych dreszczy pomarł. A może serce mu pękło za Świekrą? Kto wie? Sam Bóg może. Świekier swoją starą bardzo kochał aż mnie zazdrość nieraz brała, że ja takiego miłowania nie znam. Mój chłop nie jest zły. Nie! Dobry, czasami aż mdli. Tylko my z tym miłowaniem coś nie tak.

I tak my Świekrów w jednym tygodniu pochowali i sami się z dziatkami w wielkiej chałupie ostali. A potem, w 1945, w zimę, mojego ojca Ruskie zastrzelili. I też traf głupi jakiś był. Ojciec z bratem moim do miasta na wozie pojechali. Zimno takie wyszło, że ojciec gruby, po niemieckim żołnierzu, płaszcz założył. I tak z bratem na targ pojechali, aby zboże sprzedać. A Ruskie wtedy do miasta weszli i jak ten płaszcz wśród chłopów zobaczyli, to nawet nie pytając od razu do ojca wypalili. I na tym targu, w tym niemieckim płaszczu mój ojciec się wykrwawił. Ruskie zaraz sprawdzały co to za swolocz, a gdy im chłopcy i brat wytłumaczyły, że to Polak był, tylko się za wszawe łby wzięły i kląć zaczęły, że te Polaki durnoty takie. Ale ojcu ich gadanie życia nie wróciło.

Zaraz potem jeszcze jedno nieszczęście nas spotkało. Te Ruskie, co do ojca strzelały, bratu na wóz trupa wrzuciły i same też wsiadły, aby go

do domu odwiedzić. Brat bał się i nic nie mówił. I tak do matki z trupem i Ruskimi pojechał. A te wszawie ścierwa, ojca trupa do stodoły kazały zanieść i tam do pogrzebu zostawić, a same do izby weszły i samogonu pić chciały. Ruskie w chałupie piły a ojciec leżał tam w stodole a my mu pogrzeb szykowaliśmy. Dół dla ojca brat z Moim na cmentarzu kopali. Rano do matki poszłam i trupa do trumny chciałam pomóc wkładać. I my z matką do tej stodoły poszłyśmy. A tam przez noc koty do ojca się dobrały i oczy mu zezarły! Jak ja ojca z pustymi dołami zamiast oczu zobaczyłam, tak zaraz moje dzieciątko ze mnie wypłynęło, bo ja brzemienną wtedy byłam i na św. Stanisława rodzić miałam. Oj ból to był a był. Matka moja ledwie do chałupy mnie doniosła, bo ja sił iść nie miałam a we krwi cała byłam. I tak żal straszny przez tych Ruskich mam. Ojca zabiły i trupa przez niego koty obzarły i synka straciliśmy, bo to widać było, że chłopak. A Mój to siedział i płakał, tak bardzo się o chłopaka modlił. Ale co tam. Ja chora u matki leżałam, a Mój to dzieciątko takie maluchne przecie, w płótno czyste zawinął i ojcu do trumny włożył, bo co robić było? Ksiądz by chować nie chciał, za małe na to było. A i trumienkę robić koszt wielki. A tak, z ojcem moim do święconej ziemi go złożyli. I taki to smutek na koniec wojny my mieli. Teraz, jak o tym piszę, to i łzy mi na brulion lecą a lecą. Tak mi tego małego żal a i ojca z zezartymi oczami po nocach śnię. Żal a smutek taki. A teraz Mój znów o chłopaka pacierze mówi. I może Bóg się zlituje i go da?

A co Stachu Tam u Ciebie? Kiedy nas odwiedzisz? A parafię Ci jaką w tej Warszawie dadzą, co?

Basia Cicha

LIST IV

Zwierzyniec, 26 kwiecień 1947 r.

Stachu!

Front minął nas bokiem. Tylko słyszeliśmy huk i wybuchy podczas bitwy nad Bzurą, bo to przecież niedaleko. I strach wtedy taki na nas

padł, że my jak struci przy bydle i dzieciach chodzili, bo to człowiek nie wiedział, czy jutro jeszcze będzie żył. A jak potem Warszawa płonęła, to wieczorami my wielką, czerwoną lunę na niebie widzieli. I wszyscyśmy płakali. Krawce to najbardziej, bo ich cały dobytek tam został. I płakał Krawiec swojego warsztatu, a Krawcowa mieszkania na drugim piętrze w kamienicy na Nowym Świecie. I łazienki jakiejś też płakała. A może Łazienek? Ale ja już tego nie pamiętam. Mój to pod nosem klął, że głupie te Krawce, bo Bogu dziękować powinni za życie ocalone, a w tej Warszawie to pewnie by już trupami na ulicy leżeli.

Ale i do nas, do Zwierzyńca też żołnierze się trafiali. I wtedy to dopiero strach był. Jak Niemce postój u nas robiły, to jeszcze nie najgorzej było, bo jakieś poczciwe te chłopcy się trafiały. Tylko kury rżnęły i jeść wołały, ale czyste chociaż były. A czasami to jeszcze do dzieciuchów się uśmiechnęły. Raz jeden Niemiec spojrzał na moje czarne włosy i zapytał: Jude? A Mój wtedy Władzia, Stasię i Maryskę zwołał. I jak ten Niemiec zobaczył, jakie to małe jeszcze a jakie ładne, że wszystkie włosy mają złote i oczy niebieskie jak chabry. I tak popatrzył i popatrzył a potem chustkę ze sznurka, co tam się suszyła, zdjął i na głowę mi położył, jako żebym ją zawsze nosiła. A na dzieci to tylko: Gut, Gut – gadał. I ja z tego strachu, aby kto inny mnie za Żydówkę nie wziął, do końca wojny w chustce na zgolonej głowie chodziłam.

A pod koniec wojny to Niemcy by Mojego rozstrzelali, bo głodne przyszły a w oborze nic już żywego nie było. Bo my zdążyli maciorę zabić a całe jej mięso zasolić i w beczkach w ogrodzie zakopać. Żołnierze jeść wołali, a Mój pokazywał pustą oborę i kurnik w którym tylko stary kogut się ostał. To tego koguta od razu jeden za grdykę złapał i udusił. A reszta Mojego pod piwnicę pognęła i hande ho! – wołali. Pewnie by go zastrzelili, ale jak ja z dzieciuchami na kolana przed nimi padłam, jak płakać a prosić zaczęłam, a małe rozpaczliwie krzyczały to i w nich widać serca zmiękły i tylko któryś kolbą Mojego przez grzbiet walnął, aż na ziemię upadł. A potem tego koguta pod nogi mu rzuciły i gotować rosół pokazywali. I ja że ten rosół im gotowałam i nawet sama kluski zagniotłam, aby tylko krzywdy nam nie zrobili. A oni wtedy na bród do rzeki poszli myć się, bo te Niemce to czyste były. A jak Ruskie parę razy do nas się trafili, to brudni byli, że aż strach. A wszawe! Całe izby mi

zawszawili. Ja tylko im ukrop gotowałam a oni te wszawe lachy z siebie w izbie zrzucali, a wszy wszędzie łaziły. I to nie te małe, co to my nieraz we włosach mieli. Tylko jakieś wielkie robactwo, że ja potem parę niedziel wygonić tego nie mogłam i wszyscyśmy się drapali. Aż wreszcie wszystko z chałupy my na dwór wynieśli i całe izby wodą z szarym mydłem i ługiem szorowałam z siostrą i parobkiem. I każdy sprzęt też musieliśmy tak myć i sienniki spalić, bo to robactwo aż się tam w tej słomie ganiało. Tak, że ja z dwojga złego to bardziej Niemców, chociaż okupanty, wolałam niż Ruskich, bo to więcej szkody niż pożytku z nich było. A mojego ojca to do końca życia im nie daruję! Nie dość, że ubili, to trupa się w izbie bali i do stodoły wynieść kazali. A ja od tamtego czasu na koty patrzeć nie mogę i Mój z parobkiem do izby żadnego Mruczka nie wpuszczają, bo jak który wejdzie to ja go tłukę przez koci łeb czym popadnie. Za te wyżarte oczy. Tylko kot taki jest, że mu jedno, co zje. Pies trupa swojego pana nie ruszy a kot wszystko zeżre. Nawet oczy! Tak mi na samo wspomnienie łzy kapać zaczęły, zatem list kończyć muszę, choć Ci parę spraw opisać jeszcze bym chciała. Może jutro kartek pare Ci nabazgrze.

Z Bogiem, Stachu, z Bogiem.

LIST V

Zwierzyniec, 3 maj 1947 r.

Stachu!

A pamiętasz Ty moją małą siostrę Werkę ? Ona zawsze za nami nad Bzurę ganiała a potem kulfony ją bolały i Ty ją do wsi nosiłeś. Werka przez wojnę u nas była, bo u rodziców ziemi za mało a gąb w izbie za dużo i aby okupanty któregoś z nich do Rzeszy na roboty nie wysłali, to my Werkę do siebie zabraliśmy, bo u nas hektarów dużo a dużych rąk do roboty mało, kiedy po śmierci Świekrów, to tylko ja i Mój a potem młody parobek tylko do roboty w polu byliśmy zdadni. Okupanty Werki się nie czepiali. Widać widzieli, że dzieci u nas małe a ona z nimi gęsi za brodem pasła.

I ta Werka to głupot narobiła. Ja to w strachu byłam. Bo ona pokochała naszego kuzyna, który z dziesiątej wsi obok nas do kościoła co niedzielę chodził. I jak chodził, to zawsze do nas odpocząć wstępował. I tak jakoś oba się z Werką na siebie zapatrzyli, że żenić się Józek umyślił. O mój Boże! Co my z Moim się nagłowiliśmy! Józek to kuzyn bliski mój i Werki. A miłość w rodzinie przecie to grzech. Ja to nawet ją na spytki wzięłam i pytałam się czy wianek ma jeszcze? A ona cała we łzach przysięgała, że jej Józek bez ślubu obiecał nie ruszać. A i jemu to pewnie potem powiedziała, bo sam do mnie przyszedł i przysięgał, że on Werkę miłuje i za żonę chce.

Więc co począć? Ciebie Stachu nie było. My nawet nie wiedzieliśmy czy Ty jeszcze żyjesz. I o radę nie było kogo spytać. Więc Mój do księdza proboszcza mnie wysłał. I ja tam wszystko wielebnemu opowiedziałam. A on tylko w głowę się podrapał. A potem zgodę dał! Bo powiedział, że wojna przecie jest, ludzie jak muchy mrą, to i młodym nie trza przeszkód w miłowaniu robić. No i przecie Józek to nie rodzony brat, tylko kuzyn – tak sam proboszcz powiedział i kazirodztwa on wielkiego w tym nie widzi. I tak moja Werka ślub w kościele w Starszym Folwarku miała a w naszej izbie małe weselicho. A teraz oboje z Józkiem w Łodzi żyją. Ona synka bawi a on za handelek się wziął, bo jak mawia, to lepszy zasrany handel niż złota robota. I może on ma rację? Ale kocha tą moją Werkę, że aż mi żal.

Za to moja druga siostra, Aniela, przez tą wojnę starą panną będzie. Przed wojną umiłowała takiego Władka zza rzeki. I ślub myśleli brać ale go okupanty na roboty do Rzeszy wywieźli! I Aniela całą wojnę oczy wyplakiwała i czekała. A teraz przecie dwa lata wolność już mamy a Władek jeszcze nie wrócił. Nasza matka Anieli każe za jakiego innego iść, a ta nie chce. Na Władka tylko czeka. A prawie trzydzieści wiosen już ma. Wszyscy we wsi jej mówią, że Władek pewnie tam w Rzeszy pomarł albo jaką Niemkę poznał a do niej już nie wróci. Ale ta moja siostra to taka harda, że innego nie chce i czeka, bo ponoć Władkowi czekać przyrzekała. O widzisz Stachu, jakie te moje siostry miłośnice! Tylko ja bez miłowania żyję!

Basia.

LIST VI

Zwierzyniec, 12 maj 1949 r.

Stachu, przyjacielu Ty mój najdroższy!

Śmierć przykleiła się do nas jak mucha do miodu. Synek nasz Filipek niedawno zmarł. O mój Jezu! Jak my płakali z Moim i dzieciuchy starsze też. Filipek taki udatny był. Rumiany, zdrowy, nóżki okrągłutkie. Tak się śmiał do nas, tak gulgotał. Mój chłop to taki radosny był. A jak go bujał pod powalę aż ja go za to ganiłam, że małemu coś się stanie. I stało się. Stachu, stało się... Nagle gorączki dostał. Jeść nie chciał. Cały czas płakał. My z Moim do felczera z nim jeździli, ale ten tylko wzruszył ramionami i tyle. A Filipek coraz ciszej płakał aż wreszcie nad ranem ja go do karmienia chciałam z kołyski wyjąć a on już sztywny był.

Stachu! Ja już nie mogę! Ile tej śmierci jeszcze obok mnie będzie? Ile? Ja znów brzemienną jestem. I po co to? Po co mnie tak Bóg karze? Werka ma tylko dwóch synków. Oba zdrowe i ona zdrowa. A ja? Zęby mi powypadały. Włosy rzadkie takie są. Felczer mówi, że to od tych dzieci ciągłych. Że wapno z ciała mi zabierają czy co. A co ja mam na to poradzić? Jedne baby płaczą, że dzieci nie mają a ich chłopcy z tego powodu wyzywają a u nas co rok prorok...

Jak my Filipka pochowali, to ja tylko popłakałam, łzy fartuchem obtarłam i dalej za robotę w izbie się brałam a kolejne małe już w żebra mnie od środka kopało. Czas porodu mam już całkiem niedługo. A może ja teraz sama pomrę? Przecież inne kobiety często przy porodzie umierają, bo jeszcze do tych szpitali to nie bardzo nam iść chłopcy dają. Co prawda, te wiejskie akuszerki to teraz Władza gania. Zabraniać im zaczyna do porodów chodzić. Że niby przez nie te śmierci ciągłe, że łapy brudne mają i od tego zakażenia się kobietom robią. Ale ja w to nie wierzę. Ja tyle razy rodziłam i za każdym razem moje dzieci tak szybko wyślizgują się ze mnie, że akuszerki to tylko głowami kręcą. Bo ja nadal taka suchotnica jak kiedyś jestem. Pamiętasz Stachu jeszcze? Ja tak czasami o tej śmierci myślę, tylko mi tych dzieci szkoda. Macochę by im

zaraz Mój sprowadził i dopiero by krzywdę miały. Tak ja Ci się Stachu nażała. Wybacz Ty mi to, ale tak mi jakoś zaraz lżej. Pomódl się Ty za mnie i za te małe, co to ma niedługo na świecie być. Niech choć ono żyć chce.

Czasu na wszystko tak mi brak, że do książki z rzadka zajrzę i przez to ja liter zapominam. Wstyd mi ogromny, ale tyle co modlitewnik w kościele i listy od Ciebie czytam. To i liter zapominam. Mój Boże, nawet to. Nawet to mnie spotkało. Po co mi była nauka w szkole rolniczej, nauczycielek nakazy, żeby w wolny czas czytać, skoro u mnie wolnego nie ma wcale. Ty to pewnie śmiech masz jak moje bazgroły czytujesz, ale tak mi moje życie jakoś nie idzie.

LIST VII

Zwierzyniec, 27 marzec 1951 r.

Stachu!

Śmiech pisać, ale my teraz kułaki. Wrogi ludu inaczej. Tak Stachu, dzieciaki się zdrowo chowają a tu nowa bieda. Władza z nas kułaków zrobiła. Bo my dużo ziemi mamy i do kolektywu dać nie chcemy, to i nas karać zaczęli. Kontygenta nam duże piszą i karami straszą jak tyle, co trzeba państwu nie oddamy. I za co to? Za co? Przecie my sami ledwie żyjemy. Dzieci sześćcioro już, to i jeść trza dużo szykować. A buty? A płaszcze na zimę? A zeszyty, ołówki, książki do szkoły? A tu najpierw kontygent trza oddać a potem, co zostanie ledwie dla siebie starczy. A tego to ino trochę się ostaje. Dlatego Mój stawiać się zaczyna. Krzyczy mi w izbie, że nie odda ani zboża ani świń, przecie to nasza harówka a nie Władzy. A ziemię sami tak niedawno chłopom w łapy wciskali, panom majątki zabierali, parcelowali a tera my kułaki? W Gromadzie Mojemu urzędniki tłumaczą, że jak będzie tak głośno pyskował to jak nic do więzienia pójdzie. I ja go proszę o ciszę. Co z nami będzie jak go zamkną? Stachu, co to będzie?

Z rozpaczą się podpisuję, Basia.

LIST VIII

Zwierzyniec, 16 września 1951 r.

Stachu!

Mnie to się zdaje, że Ty, w tej Warszawie, męczysz się straszliwie. W każdym liście pytasz się a pytasz, jak u nas zima mija, czy liście już kolory mienią i czy szczupaki tarło miały...

Może Ty Stachu na wieś do parafii jakiejś iść musisz? To by Ci dobrze zrobiło.

A u nas wścieklizna panuje. Straszna to choroba. Aż strach dzieciaki do lasu puszcząć, bo pełno tego wściekłego zwierzaka po krzakach siedzi. Mnie samą, nie dalej niż trzy tygodnie temu, chora sarna spotkała. Strachu ja miałam że hej! Sama do naszego młodniaka, na podgrzybki się wybrałam. Dzieciaki starsze w szkole były, a te małe z Moim, co to gnój wtedy z obór wywalał, zostały, to i ja mogłam do lasu iść. Pamiętasz Ty Stachu, jak my całe dni w lasach ganiali? Matki nasze nieraz nas pomstowały, a my nic, tylko kosze, co je wujo Władek plótl, z wikliny nad Bzurą rosłej, w ręce brali i na kurki, czerwone czy maślaki biegali. A potem, wieczorem, gdy my wrócili, to wszyscy się dziwowali, ile to takie smarki grzybów nazbierali. Tak i ja do tera, na grzyby lubię iść.

Gdy ja tak, na kolanach, z igieł podgrzybki wybierałam, a i czasem jakiegoś maślaczka też, to jak licho jakieś złe, wściekła sarna zza leszczyny wyszła. Najpierw ja jej nie widziałam, tak byłam zajęta rwaniem grzybów. Ale gdy kopytkami po liściach szurła, to ja obróciłam się i zamarłam. Sarna szła prosto na mnie! A przecie zdrowy zwierzak do ludzi nie idzie! Toć i ja zaraz wiedziałam, że ona chora być musi.

Czy uciekać, czy kija jakiego szukać? Myśli mi po głowie chodziły. Patrzałam na nią a ona na mnie. Z pyska jej piana szła. Oczy błędne, takie prawie białe miała i ruchy jakieś takie ospałe. Widać bardzo słaba była. Ale do mnie szła. Mnie się zdaje, że te wściekłe zwierzaki do nas ludzi, po śmierć idą, bo straszna to choroba. Męczy je, pić nie mogą

a do rzeki jakoś tak je ciągnie. I w stronę wsi wychodzą. Rzeka przecie dalej od lasu, niż od wsi. No i śmierć tam dostają. Ja jej nie zabiłam. Nie miałam czym. Z kolan się podniosłam i powoli w tył szłam. W strachu cała, że mnie sarna ugryzie i też wściekła się zrobię. Ale dzięki Bogu nie ugryzła i dalej za mną nie poszła. Od tej pory w lesie jeszcze nie byłam.

Za to że dwa tygodnie temu, Maryśka ze Stasią poszły na łąki do krów. Ja im kazałam krowy poić, to i poszły. Ciasto na chleb wtedy miesiłam, gdy krzyk straszny, przez otwarte okno od rzeki szedł. Nawet rąk nie myłam, tylko wyrwałam je z tego ciasta i drąc się o pomoc do Mojego, leciałam w kierunku rzeki. Mój co pod ręką miał pałkę do tłuczenia drobiu w garść złapał i za mną do rzeki gnał.

Gdy my tam, do rzeki, oboje dobiegli, to córki krowy za sznurki ciągnęły, aby do brodu nie szły.

A tam, na brodzie, wielki, wściekły borsuk stał. Piana mu, gorzej niż tej sarnie wtedy, z mordy szła. Borsuk charczał tylko. Bo wody się bał a przecie do niej wlażł! Przez to Maryśka ze Staśką się wylękły. Mój, nawet nie myślał chyba wiele, borsuka od tyłu dopadł i pałką przez łeb, z całej siły tłukł. Zwierzak padł od razu, tylko jeszcze ryjkiem rzucał. To go Mój jeszcze raz pałką zdzielił. I borsuk zdechł wtedy. My go we dwoje z wody wyciągali, a krowom pić do wieczora tam nie dali, bo to nie wiadomo, ile tego choróbska w wodzie było z tej jego śliny wyciekłej. Do wieczora woda dalej poszła. A borsuka Mój nad rzeką sprawił, mięso całe i wnętrzności zaraz spalił, aby inne drapieżniki czy psy blakające się go nie zeżarły i choroby dalej nie niosły. Tylko futro jego, wielkie i puszyste, do stajni zabrał i tam wyprawia na dywanik przed łóżko.

Mój to potem do Gromady poszedł, aby jaki odstrzał leśnikom kazali zrobić, bo my to się boimy pod tym lasem tera mieszkać. W Gromadzie obiecali, że zrobią co będą mogli.

Tak więc, Stachu, ty w tej Warszawie bezpieczniej masz, ale skoro tęsknisz pól i lasów, o posługę na wsi przełożonych proś!

Basia

LIST IX

Zwierzyniec, 28 maj 1952 r.

Stachu!

Nieszczęścia, jedno za drugim, nas dopadają. Aż żyć się nie chce, bo i po co? Chyba, że tylko dla tych dzieciaków, o i tyle.

Najpierw nam się dwie krowy utopiły. O mój Jezu! Co to za płacz w domu był, Ty sobie tego nie wyobrazisz nawet. My do miasta z Moim pojechali, a przy krowach Maryśka, Władek i Staśka zostali. My im kazali krowy do chłodu w południe uwiązać. Dzieci się nas nie posłuchały. Zamiast pod brzozy lasek, gdzie trawa świeża i soczysta po deszczach rosła, krowy przeprowadzić, oni je na samym brzegu rzeki pod drzewami powiązali. Prawda, i my z Moim tak też nieraz robili, ale gdy susza była! A nie, gdy woda prawie z brzegów wystąpiła.

Powiązali krowy pod wierzbami, na długich łańcuchach, na samym brzegu rzeki. I jak sobie do domu poszli, to Czarna i Melka, pewnie lepszej trawy do żarcia szukały, i po stromym brzegu, w stronę wody się szarpały. No i stało się! Brzeg podmokły bardzo, bo woda wysoka po ulewach wielkich, oberwał się pod ich ciężarem i obie krowy do rzeki wpadły.

Jak my z Moim do domu wrócili, to Maryśki, Władka i Staśki nigdzie nie było. Młodsze dzieciaki w izbie siedziały i szczaw na zupę przebierały, a tamtych nie było. My ich poszli szukać nad rzekę. I znaleźli... siedziały na moście, na rzece i płaczem się zanosiły.

Nawet bić my ich nie mieli sumienia, jak zobaczyli my, co z Czarnej i Melki zostało. Ino łańcuchy przywiązane do wierzb było widać. I te uwiązania w wodzie się kończyły, gdzie obie krowy pół z niej wystawały. Utopiły się! O Jezu! Utopiły się! Jęzory im z pysków wystawały, oczy jakieś takie wielkie widać było. Brzuchy nadęte jak balony, od tej wody miały. A my z Moim stali na tym wale i nie wiedzieli, co tera robić? Tyle tego mięsa tam w rzece leżało, ale jak je wyciągnąć, skoro woda wysoka, a i przy brzegach muł po kolana albo i więcej?

Mój do wsi po chłopów poszedł. A ja usiadła na tym brzegu rzeki i płakałam i płakałam. Bo to bieda tera u nas taka wielka, a tu dwie mleczne krowy naraz w rzece skończyły. Jak my żyć mamy, jak ino dwie się krowy tylko w oborze ostały i to obie cielne?

A my przecie teraz Kułaki wielkie i kontygenty nam Gromada wysokie nakłada. To skąd mleko będzie? Bieda, Stachu, bieda wielka u nas. Bo my Kułaki... tak nas tera nazwano.

I to następne nieszczęście nasze. Ziemi my do kolektywizacji oddać nie chcieli, no bo jak? Przecie co niedawno resztę kredytów, wziętych przez Świekrów przed wojną, my spłacili, a tera ziemię mamy oddać? Przecie ona nasza i dzieci naszych i wnuków naszych przyszłych też.

Dlatego my teraz wrogowie ludu, wrogowie proletariatu jakiegoś. Urzędnicy w Gromadzie, na podstawie ilości ziemi, zaliczyli nas nie do biedniaków, nie do średniaków a właśnie do kułaków. Za to nas teraz piętnują. I to jeszcze jak!

Czytasz gazety Stachu, pewnie nie tylko te wasze święte, ale i zwykłe, codzienne. Widzisz tam takie rysunki, co to chłop po pańsku ubrany, w kamizelę, marynarę i złoty łańcuszek z zegarkiem na końcu, trzyma. Brzuch wielki, napęczniały z kamizeli mu wystaje, a pod spodem podpis: Kułak – wróg ludu...

Tak, my kułaki. Chowamy zboże pod słomą w spichlerzu, aby wszystkiego na kontygenta nam nie zabrali. Mięso ze świń w beki do ziemi zakopujemy, tak jak przed Niemcami kiedyś kryjemy. A to wszystko po to, aby mieć, co dzieciom dać jeść i samemu z głodu nie zdechnąć! A i tak każdego dnia patrzymy, kiedy nam wszystko zabiorą, bo kułaka najlepiej rozkułaczyć, zabrać mu ziemię, zabrać mu zwierzęta i wygnać do fabryk na robotę. O, to wtedy on dobry będzie, bo nic nie będzie miał. Ale Mój się Władzy stawia. Aż boję się, że do kozy go zamkną, bo już i we wsi takie pogłoski chodzą, że Cichy za bardzo się wychyla. Ja go proszę, aby przycichł trochę, ale ja baba, to czy on się mnie słucha?

Zamiast podpisu łzy Ci moje na kartce posyłam i o modlitwę za nami bardzo proszę.

LIST X

Zwierzyniec, 5 listopad 1954 r.

Stachu!

Mój w więzieniu siedzi! Jak zbój jakiś lub złodziej. Za co? Za krzyż! Za dwa kawały dębowego drewna siedzi, które myśmy z naszego lasu podarowali na krzyż misyjny.

Musiał nas kto wydać, bo przecie wszystko w tajemnicy miało się odbyć. Tak to ksiądz proboszcz zaplanował, gdy po cichu chłopów zbierał, aby nowy, na miejsce tego starego co go wiosenna wichura na Wielkanoc przewróciła, krzyż postawić.

My z Moim drzewo z naszego lasu postanowili na niego ofiarować, w intencji, aby nas i nasze dzieci Najwyższy opieką swą otoczył. Kilku zaufanych i pobożnych chłopów Mojemu pomagało przy pracach, aby dąb na krzyż przerobić. Wszystko dobrze szło, aż do wieczora sprzed dni paru, gdy wtedy krzyż mieliśmy na dziedzińcu kościoła na starym miejscu umieścić.

Gotowy krzyż stał tam i tylko go Mój i inne chłopcy pod okiem księdza proboszcza do podstawy mocowali, gdy wtem milicja podjechała. Było ich czterech, tych milicjantów. Podeszli pod kościół i od razu do Mojego powiedzieli, aby młot odłożył i z nimi się szykował jechać.

Proboszcz tłumaczyć coś tam próbował, błagać, prosić. A oni nic. Tylko papiery w łapach przekładali, gdzie niby pisało, że Cichy ze Zwierzyńca przeciwko Władzy Ludowej się stawia i bez pozwolenia dęby z lasu wycina. Tylko tyle wiem.

Ja w domu byłam, z dziećmi, gdy Władek ze Starszego Folwarku dał znać, że Mojego zabrali... Ani ja nie wiedziałam za co, ani po co, ani kiedy wróci. Nic, po prostu nic! I tak ja tera sama z siódemką dzieci w chacie siedzę. Wszystko na mojej głowie, i obrządek, i sieczki dla koni rżnięcie, i gnoju wywalanie. A przecie i koło dzieci coś robić muszę. Dobrze, że te najstarsze już trochę grosza do domu przynoszą, jak u kogo co w gospodarce pomogą.

Ale co z tego, jak Mój, gdym na widzeniu była, kalesonów nowych chciał, i co dobrego do zjedzenia a i parę groszy na wszelki wypadek, też by patrzył. Skąd ja mu mam to wszystko dać, jak bieda u nas? Nie wiem, po prostu nie wiem, jak tu żyć, gdy ten wiatr ciągle w oczy nam dmucha a dmucha.

Krzyż już przy kościele stoi. Inne go chłopcy skończyły stawiać. A tylko Mój siedzi za jego postawienie. Ktoś musiał na niego donieść,

tylko kto?

W kościele patrzę na ludzi i myślę, które to takie złe, że ojca od gromady dzieci wydało. I nie wiem, Stachu, nie wiem, kto to być może. Ksiądz proboszcz ma pewne podejrzenia, ale nawet mi boi się o tym mówić, bo i jego ktoś ponoć straszy.

Jakby tego mało było to i jeszcze jednego nieszczęścia oczekuję... Modlę się, aby go nie było, ale do mnie to wszystko co złe się przyczepia...

Módl się za nami Stachu, proszę.

LIST XI

Zwierzyniec, styczeń 1955 r.

Stachu!

Mój już wyrok ma. Dwa lata odsiadki z podziałem na cztery zimy. Sąd, ze względu, że u nas gromada dzieci i ziemi dużo, zdecydował, że karę ma odbywać od połowy października do połowy kwietnia, tak, aby najważniejsze roboty w polu obrobił, kontyngenty państwu oddał a na zimę do kozy wrócił. Dobrze to i złe zarazem. Prawda, roboty w polu przez wiosnę i lato najwięcej chyba, ale jesienne i zimowe dni i wieczory takie straszne są. A i choroby ciągle się dzieciakom przyplątują. I jak ja sama mam sobie wtedy radzić? Przecie na wieś po pomoc nie pójdę, bo by ludziska wydziwiali, że chłopca na zastępstwo szukam. Starawa ja już, i nie mi takie głupoty w głowie, ale gadać by mogli. Szczególnie tera, gdy jednak następna bieda mi się przyplątała.

Stachu! Już czterdzieści i trzy wiosny mam, a znów brzemienną jestem. O mój Boże, ile ja łez wyplakała i ile wymodliła różańców, aby tego na świecie nie było. Nic nie pomogły błaganie i modlitwy. Małe w brzuchu jest, rosnać zaczyna i wierzganie jego czuję. Chyba na św. Stanisława rodzić będę. Nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! I za co Stachu, za co?

Przecie ja nigdy tego wspólnego spania z Moim nie lubiłam, ja tylko z musu... bo przecie ślubowałam, to i mus. Ale przecie inne nie

rodzą tyle, co ja. Te już dziewiąte będzie, tych, com potraciła, nawet nie liczę. Stachu, ja Ci prawdę powiem, jak na świętej spowiedzi, mnie już niejedna baba radziła, aby ciążę zaraz spuścić i tyle. Alem albo taka głupia albo taka strachliwa, bo nie chciałam tego robić. Żalę Ci się Stachu, bo mnie smutno strasznie.

Sama sobie gadam, że przecie pierwszym dzieckom życia nie odbierałam, więc jak tu te ostatnie drutem jakim potraktować? Strach też jest wielki jak krwawienia dostanę i zemrę. Wtedy ani te ani tamte matki mieć nie będą. A jak by tak Bóg pokarał mnie i te, co żyją, zabrał, to bym tego chyba nie przeżyła. Taka jestem głupia Stachu... i tylko płakać potrafię.

Mojemu w liście napisałam, że nie wiem po co nam ten bachor. W odpowiedzi nauręgał mi, że wyrodna suka a nie matka, skoro tak piszę. Ale o kalesony znów się upomina, a nie pyta jak wykarmimy kolejne małe. Pisze, że jak Bóg dał dzieci to i da na dzieci. Ale ja już sama nie wiem. Dlatego piszę, skoro wstyd innym się żalić, ale Ty Stachu, to przecie jak ja sama a nie nikt obcy. Jeden wiatr nam włosy targał nad Bzurą, jedne grzyby my w lasach rwali, i dlatego Ci o tym piszę. Ty pomodlisz się za mną, a ja dalej pociągnę ten kierat i będzie jak ma być.

Z Bogiem, Stachu. Z Bogiem... choć czasem brak mi wiary, że On jest.

*

– Wiesz, czytałem te listy wiele razy. I zawsze zastanawiałem się, skąd ta kobieta brała siły, aby żyć.

– Ja jej wcale nie poznaję! Czuję się tak, jakbyś czytał o zupełnie obcej osobie, a nie o mojej ukochanej babci.

– Niemożliwe! – dziwi się Paweł.

– Właśnie tak! Moja babcia nie była taka... taka... chętna do zwierzeń. Nigdy nie rozmawiała ze mną o dojrzewaniu – mówię z wielkim żalem, jakby brakowało mi tych rozmów. – Tylko raz zdziwiła się, że nie piorę podpasek.

– Coooo?

– No właśnie – śmieję się. – Jak się okazało, kiedyś kobiety na wsi

nie używały waty, pod pasek też jeszcze nie było. Więc musiały sobie jakoś inaczej radzić.

– Jak sobie radziły?

– Miały płócienne szmatki, które za każdym razem prały.

– O cholera! Ale obrzydlistwo! Ty się, Beata, ciesz, że teraz taki wybór macie.

– Cieszę się, cieszę. Ale mi szkoda, że prawdziwej babci nie znałam. Zawsze mówiła, że dziewczyna powinna się szanować i cnotę dla męża trzymać. Że miłość jest wymysłem telewizji i diabła.

– Miała rację, Beatko, naprawdę miała rację.

LIST XII

Zwierzyniec, 8 listopad 1955 r.

Stachu!

Bóg by mnie pokarał za to urąganie, com ja Ci w zimę pisała, że nie chcę tego małego na świecie. Urodziłam go zaraz na św. Stanisława. Bzy takie kwitły, że m je przez okno czuła, gdym rodziła. Mój był przy mnie wtedy. Właśnie go z kozy na robotę w polu wypuścili. Akuszerkę wozem przywiózł. A ona tylko przy oknie się rozsiadła i bzy woniała, a ja sama Tadeuszka rodziłam. Bo mnie Bóg i pokarał i dar dał jaki, tak te dzieci tylko wyslizgują się ze mnie, nie jak u innych bab co się męczą godzinami, tak akuszerka gada, bo przecie po wszystkich wsiach chodzi, to i wie jak inne rodzą. Tadeuszek też taki udatny jak wszystkie nasze dzieciska był. Kuloski, jak obwarzany okrągłe miał. I taki był dni parę po narodzeniu, a potem już tylko chudł, rzygał co zjadł i tyle.

Jam go cyckiem karmiła, tak jak wszystkie, a on ino rzygał, bladł i chudł. Mój to po kątach laził, aby na niego nie zerkać, bo mu żal synka był. Starsze dzieci go pod powałę bujały a Tadeuszek ino pisał jak kociak mały i chudł.

My już o mogiłce myśleli, bo to, że długo nie pożyje, widać było. Jam łzy tarła i modliła się przy każdej robocie. Mój już przysiągł mnie nie tykać, aby tylko ten mały żył. Sam też niemłody to by i bez wspólnego

spania się obył, a synka żywego chciał mieć. Zawsze synów upragnął, a dwa mu już umarły i ten byłby trzeci. Ino co się Władek dobrze chowa.

Chłop to już duży, za dziewczuchami zerka i na dziesiątą wieś, na potańcówki, latać chce, ale my jemu i córkom tego bronimy a one i tak cichcem z chałupy uciekają i na dziesiątej wsi czegoś szukają. Jak do roboty, do pola, to sił nie mają. A na potańcówkę to kulosy ich nie bolą. Ja wolę nie myśleć, co one tam robią. Przecie każdy ich skrzywdzić może. One wszystkie takie udatne, do Mojego wszystkie podobne. Warkocze złote, długie do samej dupy mają. Ino ten Tadeuszek czarniawy taki, jako i ja. To i mi go żal straszny był.

I ja Ci Stachu tak o wszystkim opowiadam i o niczym, a o karze Boskiej miało być.

Mój po wykopkach, orkach i wysianej ozimie, do kozy poszedł, dalej odsiadywać ten krzyż bezprawnie zrobiony. Znowu sama z dzieciskami w chacie zostałam. Tadeuszek coraz słabszy był. Biały jak śmierć się zrobił. Ledwie dychał.

Już wiedziałam, że mnie Bóg karze za tamte żale. Płakałam, bo przecie ja go miłuję, tego ptaszka małego, syneczka mojego. Alem po rozum do głowy przyszła. Obrządziłam wszystko w oborze, gar kluchów z serem ugotowałam i jeść wszystkim dałam, a potem Tadeuszka w płachtę grubom, com od matki dostała w wianie moim, opatuliłam, bo to deszcz mżył i poszłam z nim daleko. Dalej niż na dziesiątą wieś, dalej. Do doktora na Zakrzew, aby go ratował.

Niosłam go w tej płachcie ze dwanaście, albo trzynaście kilometrów. Wszak do doktora daleko. Szłam w błocie po kostki, bo na skrót a nie drogą, bom się bała, że on nie dożyje doktora. Deszcz padał coraz grubszy niż był. Szłam i łzy jak groch płynęły, bo Tadeuszek ledwie co miały w płachcie otulony. Ale dożył do doktora.

Ten go z płachty wysupłał. Sama padłam na stół, takem ledwie żywa była. Doktor Tadeuszka oglądał, badał. Do gęby zaglądał, brzuch uciskał, w pieluchę zajrzał, powąchał. Potem wrzasnął na mnie, czym ja dziecko karmię? To mu prawdę powiadam, że cykiem. A on na mnie z gębom, zem ja już pewnie za stara i zdojona i mleko złe mam, toć i dzieciak rzyga. I że Tadeuszkowi sztucznego trzeba, to może żyć będzie.

Już nie wiedziałam, co mówić, tylko siedziałam nieruchomo,

a doktor żonę wołał, coś tam jej szeptał a potem ta z butelką przyszła i małego karmić zaczęła. Odpoczywałam wtedy a doktor patrzył czy Tadeuszek rzyga po karmieniu. Ale nie rzygał, ino beknął całkiem głośno. Doktor gębę z radości rozdziawił i Tadeuszka po policzku pogłaskał a potem do mnie mówił:

– Babo głupia, trza go sztucznym mlekiem karmić a twojego to i świnia by już nie żarła, boś wynędzniała przez te porody liczne. Zębów nie masz, włosy słabe, wapna ciało nie ma. A mleko złe, boś sama chora.

Stachu, on miał rację. Puskę mleka, za to, com mu w garść wcisnęła, dał i gadał jak je robić. Z powrotem poszłam do Zwierzyńca. Noc już była i młodsze dzieci za mną płakały. Bały się, że mnie co złego po drodze z Tadeuszkiem spotkało. Ale gdy braciszka żywego zobaczyły, to radość pod samą powalę była i zaraz Stacha wodę grzała, aby mleko w proszku Tadeuszkowi robić. Potem Maryśka karmić go butelką zaczęła, a ja padłam na łóżko jak martwa, bom siły już nie miała. Buty mi ubłocone z nóg zezuły. Dobre te córki moje, Stachu, dobre!

Mały jadł mleko z puszki i już nie rzygał, a ja się zaraz zasuszyłam. I tylko bieda straszna z tym mlecznym proszkiem, bo do miasta, do apteki po to trza chodzić i kosztuje drogo, ale mały żyje, rośnie i kulosami macha. A ja Bogu dziennie dziękuję, że mi go nie zabrał.

Radośniejsza tera jestem, choć Mój w kozie na święta będzie, ale przecie nas tyle w izbach, że ponuro być nie może, ino wesolo. A choć ostatnio Zośce łakomczuchowi przylać musiałam, bo do puszki ze sztucznym mlekiem się dobrała i wszystko wyżarła, tak słodkie wszystko lubi, to i tak żalu do mnie nie ma. Po izbie biega i śpiewa, iskierka taka radosna, a i ona Tadeuszka kocha bardzo, i potem żal sama do siebie miała, jak mały głodny był i płakał, gdy Władek do miasta na rowerze pojechał, do apteki, po ten mleczny proszek.

Tak Stachu, może tera się wreszcie to moje złe życie odmieni? Może tera, gdy rodzić już nie muszę, to lepiej będzie, co Stachu myślisz? Napisz Ty co o sobie, bo ostatnio tylko swoimi smutkami żyłam, a tera bym o świecie co chciała wiedzieć.

Basia

*

- Ten Tadeuszek? Czy... czy...
- Tak, babcia pisała o moim tacie. Wiesz, Paweł, on miał skazę białkową, ale wtedy nikt o tym nie wiedział. I gdyby nie ten doktor, tata pewnie by umarł bez sztucznego mleka. On nigdy nie mógł pić krowiego mleka ani śmietany jeść. Od razu dostawał biegunki albo wymiotował.
- Ooo... a przecież teraz mówią, że kiedyś żadnych alergii nie było.
- A od czego kiedyś dzieci tak marły? Ze zdrowia?
- Pewnie masz rację, Beato.

*

LIST XIII

Warszawa, 16 maja 1957 r.

Droga Basiu!

Pytasz się mnie, czy kiedy jaką parafię dostanę i proboszczem będę. Otóż teraz ci mogę napisać, że będę! I to nie zgadłabyś nawet gdzie, bo nawet ja jestem zdumiony. Właśnie całkiem niedawno, może z tydzień temu, w parafii, w której mieszkam, była wizytacja biskupia. Właśnie wtedy, przy wieczerzy, sam biskup ogłosił wszem i wobec, że ja, skromny ksiądz Stach mam objąć parafię... w Starszym Folwarku! Wyobrażasz to sobie Basiu? Będę proboszczem w Waszej parafii! Będę mógł Ciebie i twoją rodzinę widywać. I nareszcie zobaczę tego Twojego najmłodszego synka. Tak ładnie o nim piszesz, a przecie tak źle go oczekiwałaś...

A wiesz, ja już byłem oglądać kościół Wasz i plebanię, ale czasu aby do was wstąpić nie miałem i dlatego teraz Ci o tym piszę. Tylko mam bardzo wiele rozterek. Niby cieszę się z tego probostwa, ale gdy o nim usłyszałem podczas tej wieczerzy, to lęk jakiś mnie ogarnął czy co? Chodziłem potem taki rozbity i miejsca sobie znaleźć nie mogłem. Nawet myślałem do Kurii Biskupiej pisać, aby cofnęła to postanowienie, ale się rozmyślił... I postanowiłem jechać do Starszego Folwarku na oględziny parafii. Basiu! Ja nie wiem co o tym myśleć, ale coś mi się tam porobiło. Przecież ja już kiedyś ten wasz kościół widziałem! A teraz jak

tam pojechałem to miejsca tego poznać nie mogłem!

Naprzód zobaczyłem kościół i plebanię jak stoją na zupełnym odludziu! Żadnych domów w pobliżu! Żadnych drzew! Tylko sama pustynia wokół! A przecie to niemożliwe, bo gdy byłem u Was w odwiedziny to drzewa wysokie rosły przy kościele! A i w nieznaczonej odległości domy wsi parafialnej widać było! Nie potrafię sobie tego Basiu wytłumaczyć, co mi się porobiło. Czuję się tak jakbym zło tam miał spotkać. Ale jak zło może być tam, gdzie ty Basiu żyjesz? Przecie to niemożliwe! Chyba się starzeję i to dlatego takie zwiady mam.

Dziś otrzymałem pismo z Kurii Biskupiej, w której wypisano mi zamianowanie na probostwo w Starszym Folwarku. Na początku lipca obejmę to urzędowanie. Cieszę się i nie cieszę! Pakuję się z ociąganiem, jakbym tam nie do przyjaciół szedł a do wrogów. To chyba lęk przed nowym tak mnie naszedł. To przejść musi.

Twój niedobry Stach

LIST XIV

Warszawa, ul. Rakowiecka... 20 luty 1960 r.

Najdroższa Basiu!

Czy nam do głowy przyszło, że żyjąc w tej samej parafii ja listy do Ciebie pisać będę? Nie! Nie przyszło! A jednak piszę abyś się nie martwiła, że mnie w parafii nie ma. Żem wsiąkł jak kamfora. A te listy, które do Ciebie pisać stąd chcę, nie wiem kiedy otrzymasz... Ale pisać będę, bom w Oświęcimiu ani kartki ani pióra nie miał a pisałem je w myślach i to mi życie uratowało. A teraz czasy lepsze i Władza Socjalistyczna papier i kawałek ołówka mi tu, w więzieniu, mieć pozwala... więc piszę. Jeszcze nie wiem jakim sposobem Ci je prześlę ale wierzę iż sam Najwyższy mi w tym dopomoże. I dobrzy ludzie oczywiście... Tylko jak je otrzymasz, to po przeczytaniu niszczyć zaraz abyś siebie i swej rodziny nie naraziła z mojego kaprysu.

Pojmano mnie przez tego Zefiryńca Zarządcę. Tak Basiu, tego samego co po sąsiedzku z waszym Zwierzyńcem mieszka. On ten,

niedoszły prawnik, który przed drugą wojną światową obrońcą sądowym był, choć bez dyplomu prawnika?, a po niej musiał zniżyć się do gospodarzenia w dziedzicznej części Starszego Folwarku, postanowił mnie zniszczyć! I chyba jest na dobrej drodze, bom ja teraz w więzieniu jest przez jego knowania przecie.

A przecie mój poprzednik proboszcz, gdym parafię obejmował, to ostrzegał mnie przed tym człowiekiem i opowiadał ile goryczy przez niego miał. Alem ja nie wierzył ani Ciebie Basiu o niego nie pytał, bo toć Wasz sąsiad to i nie wypadalo. A teraz żałuję tego, że wierzył jak dziecko, że przez dobroć okazywaną wilkowi, wilk może odmienić się w łagodnego, dobrego wilka-baranka, jak to się już kiedyś św. Franciszkowi zdarzyło sprawić. Ale jam tego szczęścia nie doznał. I teraz piszę Ci całą prawdę, abyś w okrutne oszczerstwa, jakimi mnie kalać będą, nie wierzyła. Choć nie. Dziś już Ci tego nie napiszę, bo strażnik nas na spacer zmusza iść, choć ja nie chcę. Wierzę, że będziesz pamiętać o mnie w złej godzinie.

Twój niedobry Stach.

LIST XV

Warszawa, ul. Rakowiecka... 28 luty 1960 r.

Basiu!

Tyś mi sama dopomogła. Krawiec ma dojścia jakieś, bo szyje mundury dla milicji i na Twoją prośbę, tu mnie na Rakowieckiej odnalazł i swoimi sposobami moje listy obiecał Ci dostarczać. On się naraża i Ty też. Ale ja bez tego pisania żyć tu nie dam rady, więc wybacz mi, ale ja z Krawca pomocy skorzystam, bo on nadal Ci wdzięczny za życie swojego jedyne go syna jest. I obiecał, że kiedy będzie mógł, to kartki ode mnie zabierze, tylko pewnie nie zbyt często. Pewnie kilka na raz zabierze. Trochę martwię się, gdzie je ukryję po napisaniu, ale coś wymyślę.

Basiu może nie wiesz, ale oni, Ci Krawce, więcej dzieci mieć nie mogą. Lekarz Krawcowej powiedział, że to cud iż ona tamten poród, któryś Ty Basiu odebrała, przeżyła i że drugi cud już się nie zdarzy

i brzemienną już nie będzie. I to dlatego ta ich wdzięczność trwa.

Jam Ci miał napisać co ten Zefiryń mi dokuczał, więc piszę, ale jak go widywać będziesz to nigdy mu ujmy nie rób aby się nie kapnął iż Ty coś o nim wiesz, bo i Was ukrzywdzić może.

Znasz go dobrze. Jego wysoką postać, zezowate i świdrowate oczy i niechlujne ubranie (jak na wielkiego Pana Prawnika) widzujesz często, prawda? A on, zaraz jakem do parafii przybył w odwiedziny zaszedł, a ja, człek głupi i naiwny, tegoż gospodarza-dziedzica dziś a obrońcę sądowego z wczoraj, powitałem i herbatą ugościłem. A on od razu jadem we mnie rzucił:

– Organista w parafii – to nie byle kto... Musiał być dobrym organistą... no i ksiądz, syn takiego organisty – to też... – Jam tylko czekał, że i o Tobie zaczniesz wspominki. Ale nie, chyba dzięki Bogu, jego wywiad aż tak daleko nie sięgał. Ale ty się go strzeż, bo on prawdziwy krwio pijca! A potem, gdy już mi dał znać, że tyle o mnie wie, zaczął o sobie opowiadać. A dokładnie to donosił mi jaka to Sodoma i Gomora w jego rodzinie panuje. Jam się Ciebie pytać nie chciał, bo to rzecz wstydliva, ale Ty Basiu pewnie wiesz trochę o tej jego żonie. No, że ona to jego służącą przed wojną była a potem, gdy mu dzieci porodziła to on dopiero za żonę ją pojął... A on, z taką niecną przeszłością, na innych członków swojej rodziny łajnem rzucał. Na ciotki swe i siostrę jedyną.

Zastanawiałem się, gdym go słuchał, co to za ptak, co własne kala gniazdo? Alem nic mu nie rzekł. Bo i co? Kiedy już mi tych niecności naopowiadał, to wtedy do sedna sprawy przeszedł.

– Ławka w prezbiterium należy do niego i tylko do niego! I nikt z jego grzesznej rodziny nie może z niej korzystać! Tylko on! – Nawet nie wiem czy ten ON to i jego żona i jego dzieci? Nic o nich nie wspomniał, tylko prosił, abym to ogłosił w niedzielę na ambonie i abym napiętnował tę jego grzeszną rodzinę. Alem ja nie wiedział kogo mam piętnować; czy starą, ślepą ciotkę, która w czasach pierwszej wojny światowej z niemieckim oficerem bękartą splodziła? A potem to dziecko zmarło a ona na łasce nie łasce Zefiryńa została. O! takie to ja miał wątpliwości. Dlatego też i mu tej posługi odmówił. Grzecznie bo grzecznie, alem odmówił. A on, niezadowolony, z grymasem na twarzy pożegnał mnie. A potem co jakiś czas upokarzał. Być może znałaś ten

jego poniżający nas księży zwyczaj, że jak przyjeżdżał Zefiryn po księdza, aby z posługą religijną do tej starej ciotki się udać, to miał wóz o jednym tylko siedzeniu. Tak chciał Zefiryn zaznaczyć wobec wszystkich, że on – to nie chłop, że ksiądz i on na jednym siedzeniu – to znak równości między nimi... A psia mać z taką równością! Przecie ksiądz to człowiek ale Pana Boga Utajonego w Komunii Świętej wiezie!

Kończyć muszę. Zaraz spacer będzie. Za dni kilka pisać do Ciebie znów będę. Teraz ja Ciebie, najdroższa Basiu, o modlitwy szczerę proszę. I o niezapomnienie w uwięzieniu moim. Stach.

LIST XVI

Warszawa, ul. Rakowiecka... 23 marca 1960 r.

Droga Basiu!

Przestałem liczyć dni od kiedy mnie uwięziono. To już kilka tygodni. A mi się wydaje, jakby to wieczność cała upłynęła od tamtego dnia. Bo to kiedy było? Już sobie policzyłem. Pojmano mnie 12.02.1960 r., w piątek. A teraz koniec marca mamy. Wielkanoc wkrótce. Aż żal mi serce ściska. Wciąż nie mogę zrozumieć dlaczego mnie uwięziono? Czy Zefiryn naprawdę ma taką władzę, takie układy i sposoby? Gdzie jest ten mój Bóg? Czemu mnie teraz opuścił? Czy Ty Basiu wiesz, jak mi tu źle? Jam Ci o niedogodnościach z myciem pisał a o innych tych wstydliwych żem przemilczał. Ale dziś Ci napiszę, abys wiedziała, że sprawy na wolności oczywiste i tylko lekko śmieszne i wstydlive, to tu, w więzieniu mogą okazać się dla kapłana trudne albo wręcz okrutne. Tyś mi się całe lata nie wstydzila o swych kobiecych sprawach pisać, to ja Ci teraz Basiu trochę ponarzeka. Dowiesz się zaraz jak to jest „mieszkać” na Rakowieckiej.

Cela moja znajduje się na piętrze. Jest jasna. Słońce wpada przez zakratowane okno. Pod jedną ścianą stoi stolik przy którym to teraz do Ciebie piszę. Pod innymi ścianami łóżka, czyli więzienne prycze, przykryte kocami. Jedna z nich jest moja. A w rogu celi, w pobliżu drzwi, znajduje się misa ustępowa, bez żadnej osłony. I wyobraź to sobie Basiu,

że wszyscy więźniowie załatwiają swe potrzeby na oczach innych! I zauważyłem, żaden z nich oprócz mnie się tym nie krępuje. A ja przeżywam katusze straszne. Nie potrafię tak osobistych spraw załatwiać na oczach wszystkich. I dlatego przez pierwsze tu dni te osobiste sprawy załatwiałem tylko wtedy gdy reszta moich towarzyszy już spała. Wtedy gdy ciemności nocy mnie osłaniały, jam mógł się załatwić. I tak udawało to się przez kilka pierwszych dni, ale niemożliwe było abym tak całe miesiące wytrzymał. Co prawda żem jadł i pił mało aby te potrzeby były rzadsze, ale przecie ciało człowiecze ma swoje własne prawo i ujarzmić nie zawsze się da! Musiałem jakiegoś ratunku prosić i do wychowawcy więziennego z prośbą żem się udał aby mi gdzie indziej pozwolono z tego przybytku korzystać. Tłumaczyłem mu, żem kapłan, i to już nie młody i wstyd mi wielki przed innymi więźniami. A on tylko zgromił mnie wzrokiem i zgody nie wyraził.

Wiosna przyszła mi z pomocą. Otóż zaczęto więźniów wyprowadzać na spacer. Jam żem nie wychodził, tylko ten kilkunastominutowy czas wykorzystywałem na załatwianie swych potrzeb. I było to dość dobre rozwiązanie bo i bardziej zdrowe i bardziej ludzkie. Jednak trwało krótko, bo strażnicy dopatrzyli się, że ja ze spaceru nie korzystam i chcieli sprawdzić co wtedy robię. Jeden z nich wszedł i zobaczył. Ciekawe czy widok ten mu miły był? Nie sądzę Basiu. Ale od tej pory zmuszali mnie do wychodzenia na przechadzkę a ja znów musiałem czekać nocy.

I męczyłem się dni parę aż mnie Duch Święty chyba natchnął i żem wpadł na pomysł, jak osłonić się w tym kąciku od spojrzeń współwięźniów. Otóż Basiu powiązałem swój koc od spania w dwa rogi i jakoś go zaczepiłem u góry, tak żem uczynił nad tym ważnym miejscem wiązankę obyczajności. I chociaż za każdym razem muszę koc wieszać i zdejmować, to zasłona ta i ciągły szum wody spustowej zapewniają mi odrobinę intymności dla koniecznych lecz niezbyt pięknych dzieł ludzkich... I od tamtej pory mogę więcej jeść i pić i nie muszę rezygnować ze spacerów na dworze. Ale ile mnie to wszystko żalu i wstydu kosztuje, to tylko ja sam a Bóg w niebie wie.

A pisałem Ci Basiu, że mi zimno pod jednym kocem jest, prawda? I dni mijały a nadal dreszcze z zimna mnie dopadały, więc zapisałem się

do lekarza na wizytę. I gdy mój czas nadszedł, wszedłem do jego gabinetu a ten na mój widok, przecie w sukni kapłańskiej, wesóło krzyknął:

– Co powiesz chłopie? – A potem dorzucił. – Cóż to? Świadek Jehowy?

Obecny tam młody pielęgniarz skrzywił się z niesmakiem na te słowa, a lekarz dalej swoje kpiny ciągnął, a ja mu na to, że ja ksiądz katolicki. A on mi na to, że na mitologii to on się nie zna i dla niego czy Świadek Jehowy czy katolicki ksiądz to jedno! Bolały mnie te słowa i wyrzuciłem mu, że Bóg nie jest przedmiotem mitologii, lecz nauk teologii i teodycei! Ale on, aby dać mi odczuć swą przewagę rzekł:

– Dziwna rzecz! Tyle lat jestem lekarzem, lecz nigdy nie zdarzyło mi się widzieć myśli ludzkiej. A księdzu?

– Doktorze, prosta to rzecz uznać, że człowiek nie myśli, a trudna, że jego myśli, słowa i czyny pochodzą od Najwyższego – rzekłem z naganą w głosie.

– Podobasz mi się chłopie, boś odważny w swych słowach. To czego ode mnie chcesz? – Zapytał wypełniając jakieś karty.

– Przede wszystkim proszę się do mnie inaczej zwracać, bo jak nie, to ja dziękuję za pana doktora pomoc! – odparłem coraz bardziej zagniewany, bo lżył moją suknię bez mrugnienia okiem. A on dalej do mnie:

– Chłopie, chłopie, czego potrzebujesz?

Na te słowa podniosłem się z krzesła i rzucając na wyjściu Szczęść Boże, wyszedłem z gabinetu, bo człowiek ten zapewne poznał nauki medyczne ale o etyce lekarskiej to nie miał zielonego pojęcia.

I przydziału koca nie otrzymałem. I nadal marznę. Tak bardzo marznę!

Modłę się wciąż a i tak marznę. Ze smutkiem Cię żegnam. Stach.

LIST XVII

Warszawa, ul. Rakowiecka... 19 kwietnia 1960 r.

Basiu!

Już po Wielkanocy. U Was pewnie uroczyście było, jak zawsze. W Wielkim Tygodniu zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, jak jajka gotowane na twardo do wywaru z łusek cebuli kładłaś. A potem dzieciaki Wasze skrobały je we wzory różne i do koszyka ze święconym włożyły. Prawie czułem zapach drożdżowego ciasta, które zawsze na Święta pieczesz. To według przepisu Twojej matki, prawda? Zawsze takie piekła, rumiane, pachnące startą skórką cytryny i mocnymi drożdżami. I Ciebie też nauczyła. A ja tu, w więzieniu, o święconym i drożdżowym placku to nawet marzyć nie mogłem. Ledwie co mszę rezurekcyjną dla siebie i współwięźniów odprawiłem. Dziwisz się? Przecie kapłanem, tak jak matką, jest się zawsze i wszędzie! Pamiętaj o tym Basiu.

Bardziej to przedstawieniem teatralnym niż mszą można by nazwać, tą naszą Rezurekcję. Ale ja wierzę, że dla Boga miłsza była, niż te, którym wtórowały odgłosy karbidowych wystrzałów, echem rozbrzmiewające po całej Warszawie.

W naszej celi, skoro świt, na stoliku przygotowaliśmy ołtarz. Świece zrobiliśmy sami już wcześniej, z tłuszczów, które w paczkach od bliskich dostaliśmy. Za ornat służył mi mój koc. Gdy cała Polska szła w dorocznej procesji, my po cichu śpiewaliśmy: „Wesoły nam dziś dzień nastał!”. I wtedy wszedł strażnik, popatrzył na nas i wyszedł. Po prostu wyszedł. Nie wiem, czy nasza powaga tak na niego podziałała, czy też nie mógł ukryć śmiechu na widok mojego „ornatu”, ale wyszedł i zostawił nas w spokoju. A myśmy dalej śpiewali: „ustąpcie od nas smutki i trosk fale, gdy Pan Zbawiciel triumfuje w chwale...”. A potem, z pamięci, przytoczyłem moim wielkanocnym braciom, wyjątki z Pisma Świętego, zazwyczaj w Wielkanoc czytane. I taką to Rezurekcję żeśmy mieli. A tam, w Starszym Folwarku, obok Ciebie, zapewne i sam Zefiryn w procesji szedł i triumfował... Ale wierz mi, ten jego tryumf to nie tamten... nie...!

Jakoś tu żyję, ale ze względu na mój duchowny stan nie jest mi łatwo. Niby jestem takim samym człowiekiem jak inni więźniowie, ale jest mi o wiele trudniej. Dla mnie załatwianie nawet zwykłych fizjologicznych spraw w takich warunkach jest mordęgą taką, że już to samo wystarczy za wyrok jaki.

Poprosiłem współwięźniów mojej celi, by zechcieli szybciej kąpać się w łaźni a gdy się wykapią i zaczną się ubierać, wtedy ja pójdę do

kąpieli, rażno umyję się i ubiorę, i w przewidzianym dla nas czasie razem ze strażnikiem wrócimy do celi. Inaczej, powiedziałem im, nie mógłbym korzystać z łaźni. Współwięźniowie życzliwie przyjęli moją prośbę. Dlatego tak jak ustalono, odbyły się tu nasze 2–3 kąpiele. Ale jednego dnia wydarzyła się przełomowa przygoda. Moi współtowarzysze kąpali się, a ja siedziałem na ławeczce w sionce łaźni, czekając na ich wyjście z kąpieli. Nagle otworzyły się drzwi z korytarza i stanął przede mną srogi i gniewny strażnik. Zapytał się mnie szorstko i karcąco:

– Co to jest??? Dlaczego się nie kąpiecie?!

Ja jako zwykły śmiertelnik tej ziemi, choć w sukni kapłańskiej jeszcze nie zdjętej, odpowiedziałem cicho i pokornie:

– Czekam, aż oni wyjdą z łaźni, wtedy ja pójdę kąpać się.

– Cóż to, ksiądz jest innym człowiekiem??? Proszę się zaraz rozbierać i kąpać się!!!

A ja spokojnie powtarzam swoje, że poczekam gdy oni wyjdą i wtedy umyję się. A strażnik zaczął krzyczeć na mnie, że mam zaraz rozbierać się i kąpać! A we mnie gniew taki się wezbrał, iż poczułem się jak apokaliptyczny Anioł Gniewu i oświadczyłem temuż strażnikowi, że ja w ogóle nie będę się kąpał! I nikt mnie do tego nie zmusi! Bo ja – ksiądz nie muszę się kąpać! I po tych słowach, gdy zdumiony strażnik wlepił we mnie swe przekrwione oczy, zacząłem szybko zapinać częściowo już rozpiętą suknię i wzuwać zżute obuwie. A on, prędzej by się śmierci spodziewał niż takiej postawy więźnia. Oniemiał. Zbaraniał. Po chwili głosem łagodnym i słodkim jak miód, zaczął mnie pokornie, uniżenie prosić i błagać:

– Dlaczego ksiądz się nie będzie kąpał? Niech się ksiądz kąpie! Niech ksiądz się kąpie! Ja księdza proszę! ... Ja księdza proszę! ... Niech to ksiądz zrobi dla mnie i ... kąpie się!

Z kolei ja oniemiałem i zbaraniałem, widząc tą odmianę srogiego strażnika. I nie wiedziałem zupełnie Basiu jak mam postąpić. Z jednej strony duma kazała mi trwać w mym uporze i zrezygnować z kąpieli, a z drugiej przecie powinienem dawać dobry przykład i wybaczać. Powinienem porzucić mój upór. Przez chwilę rozmyślałem co mam uczynić, wreszcie powtórzyłem strażnikowi, że ja z nimi razem nie będę mógł się kąpać! A on zaczął mnie znów prosić, abym jednak mył się gdy

oni wyjdą. Abym to zrobił dla niego, bo on musi dopilnować aby wszyscy się myli. I znów mnie prosił:

– Niech ksiądz to zrobi! I niech ksiądz się kąpie!...

Taka postawa strażnika i zmiana warunków kąpieli przesądziły sprawę. Postanowiłem wykąpać się, tak jak dotąd to bywało. Uczyniłem to prędko, żwawo ubrałem się i razem z współwięźniami wróciliśmy do celi a tam oznajmiłem wszystkim, że od tej chwili nie będę się kąpał! I już!

Następnym razem, gdy miała być cotygodniowa kąpiel, strażnik wszedł do celi i rozkazał:

– Przygotować się do kąpieli!

Moi współtowarzysze wzięli nową, czystą bieliznę i ręczniki na rękę i gotowi byli z nim iść do łaźni. Ja zaś nie uczyniłem żadnych przygotowań do kąpieli. Strażnik otworzył drzwi do celi i wszyscy oprócz mnie poszli się myć a ja nadal siedziałem na mojej pryczy. Po jakimś czasie strażnik przyprowadził ich już wykąpanych i zwrócił się do mnie:

– Teraz ksiądz pójdzie do łaźni.

A ja mu na to, że z nikim kąpać się nie będę! A on mi po przyjacielsku tłumaczy, że ja, ksiądz, będę kąpał się sam. Byłem zaskoczony i jeszcze przez chwilę walczyłem z wrodzonym uporem, czy nie zrobić im na złość i nie kąpać się, ale jednak sługa Boży powinien okazać trochę pokory, więc zabrałem czystą bieliznę, ręcznik i wyszedłem z celi za strażnikiem, a on konspiracyjnym szeptem zapytał:

– Czy ksiądz sam trafi do łaźni?

– Trafie – odpowiedziałem zdumiony.

– A ksiądz będzie umiał puścić sobie wodę?

– Będę umiał – odpowiedziałem jak echo.

– Tylko ja księdza proszę, niech ksiądz tam za długo nie siedzi!

– Dobrze – przyrzekłem mu.

– To jak ksiądz wyjdzie z łaźni – kończył strażnik – proszę tu stanąć pod drzwiami, a ja przyjdę i wpuszczę księdza do celi. I poszedł dalej korytarzem a ja szybko pobiegłem do łaźni, sam kąpałem się i sam wróciłem pod drzwi celi. I tak już cały czas jest w dzień kąpieli. Ta niewygoda jakoś dała się ułożyć, ale są i inne Basiu, o wiele gorsze, o których ksiądz wstydzi się pisać.

Pewnie czekasz Basiu na dalszą historię o nienawiści Zefiryna i o prawdziwym powodzie mojego uwięzienia? Napiszę Ci o tym Basiu w następnym liście. Jak Bóg da go oczywiście napisać. Jak Bóg da... Tylko nie płacz przez me więzienie ... Żegnam Cię. Stach.

LIST XVIII

Warszawa, ul. Rakowiecka... 30 kwietnia 1960 r.

Najdroższa Basiu!

Dziś żem w nocy przemarzył strasznie śpiąc pod jednym tylko kocem. Pisząc te słowa trzęsę się cały i pewnie będę musiał iść do więziennego lekarza aby wydał zgodę na przydział dla mnie drugiego koca. Bo tu to się tak załatwia. Mógłbym co prawda jakoś prosić Krawca o pomoc, ale on i tak się naraża, szmuglując w sobie tylko wiadomy sposób moje listy do ciebie Basiu, więc nie chcę mu więcej robić kłopotu. On Basiu, ten Krawiec, wie jak to naprawdę jest między nami i żadnej tam Sodomy i Gomory w tym nie widzi, dlatego tak dopomaga. Ja mu to wszystko kiedyś opowiadał i on wie, że nijakiej uchyby Twój przez to nie ma.

Ale dość o tym. Czas nagli, sprawa moja w sądzie się zbliża a Ty nadal nie wiesz o co jam oskarżony. Ale najpierw to jeszcze o Zefirynie Ci napiszę. Nie jest on w Radzie Parafialnej a domagał i pewnie domaga się, chodzić na jej zebrania. I zaraz, na początku, gdym zwołał tą Radę on przyszedł do mnie i zapytał się czy może być jej uczestnikiem. Ja zdziwienie okazałem ałem się zgodził. I to był mój błąd Basiu! Bo on, jak ta żmija wślizgnął się do salki katechetycznej, gdzie Rada się zebrała i najpierw tylko słuchał a potem bunt przeciwko mnie zaczął wzniecać.

A poszło o remont chóru. Sama dobrze pamiętasz, że drewniane słupy podtrzymujące chór, gdzie zabytkowe organy się znajdują, zaczęły się niebezpiecznie chwiać i upadkiem wszystkiego groziły. Przeto ja niezwłocznie przedstawiłem Radzie plan remontu tych filarów i konieczność przeprowadzenia wśród parafian składek na ten cel. Wymyśliłem to tak, że zmurszałe filary należy usunąć i wstawić nowe,

dębowe bo te stare to z jakiegoś gorszego drewna zrobione były. Na czas ich usuwania, aby chóru nie uszkodzić należałoby żelazne dźwigary postawić i jakich majstrów wynająć aby to wszystko zrobili. A na to grosza trzeba sporo. I gdym to powiedział, wtedy bez mojej zgody Zefiryń przemowę do Rady rozpoczął.

– Majstrów nie trzeba brać! Parafianie sami by to zrobili. I słupy nie dębowe trza dawać a zamienić je na betonowe lub z cegieł postawione filary! I dźwigary wtedy nie potrzebne będą! W czas murowania drewniane będzie się po kolei usuwać! – o, to tak on przemówił, a we mnie gniew wstąpił, bo to ja odpowiadam przed światem całym za ten budynek a nie on i wtedy żem krzyknął:

– Betonowe słupy w drewnianym kościele? Kto to słyszał? Nie dość, że czasy takie złe dla Kościoła, to jeszcze psuć co piękne i zabytkowe? Przecie ten kościół ze trzysta lat już ma i w całości drewniany jest a pan Zarządca chce go betonem paprać i szpecić?

Na te słowa szum wśród zebranych się zrobił, a jam go wyczuł i dodałem, że jeśli Rada nie wyrazi zgody na zbiórkę, to ja sam we własnym zakresie rozpocznę remont według własnego uznania! O, i na tym przemowę zakończyłem a Rada Parafialna zdała się na mnie i na moją odpowiedzialność, abym to sam decydował co dla świątyni będzie lepsze. A zbiórkę po wsiach przeprowadzić się zgodzili i majstrów nająć też. Tak, pan Zarządca wyszedł z Rady wściekły, że jego nikt nie poparł. Czuł się wściekły, bo jako były pracownik sądowy posłuch lubił mieć, a tu w Starym Folwarku nikt go słuchać nie chciał i nie musiał aby ta jego zastraszona rodzina i ta ślepa ciotka, którą w izbie często zamykał i na spacer dzieciom nie dawał prowadzać.

A potem, gdy remont już trwał, to on wiele razy przychodził i podglądał jak majstrowie pracują, tak że i oni skarżyć mi się na niego zaczęli, bo im ciągle dokuczał i przycinki robił. A za jakiś czas zaczął mi mówić co mam na kazaniach z ambony wiernym przekazywać. Wyobrażasz to sobie Basiu? Człowiek bez żadnego wykształcenia, taki co to całe lata służącą do łóżka przymuszał i jakby się ustrój nie zmienił, to jak nic on by się z nią nie ożenił. A tak ona i te nieślubne dzieci życie mu uratowały, bo on przecie jakąś tam szlachecką krew w sobie ma i wrogiem ludu by go tu ogłosili. I wszystko co ma zabrali. Sama Basiu

widzisz jaki ten świat jest ohydny. Wy, chłopcy z dziada i pradziada a kułaków z Was zrobili i dotąd dokuczają, a on, wywłok jeden, cudzołóżca i krzywdziciel, łaskawie za żonę pojął kobiecinę biedną i bardzo niskiego stanu i tak się sam stał malutki, biedniutki, niezauważalny. Tylko nadal ukrytym krwiopijcą jest i nienawidzi nas – księży, jak nikogo w świecie.

Dużo by pisać co on tam mi wymyślał, ale jedno zdarzenie Ci opiszę, bo czasu mam jeszcze, zanim opłacony przez Krawca człowiek listy zabierze. Otóż było to chyba w lutym 1959 r., tuż po zakończeniu Kolędy. Gdym się spieszył na sumę, to przed kościołem Zefiryn zatrzymał mnie i dopytywać zaczął, czy dziś sprawozdanie z Kolędy uczynię? Nic mu nie odparłem tylko szybciej iść musiałem. A on, niezrażony wcale, kartkę w dłoń mi wcisnął i prosił abym to przeczytał i napiętnowałem tych, którzy podczas kolędy drzwi księdzu przed nosem zamknęli. I chociaż dobry rok od tego czasu minął to wciąż pamiętam zdania na karteczce zapisane, a brzmiały one tak:

„Zamknięcie drzwi na dwa spusty przed kapłanem w dniu jego dorocznej wizytacji, to jest rzucanie kłód pod kapłańskie stopy! To charakteryzuje ten wrogi stosunek społeczeństwa i negatywizm i indyferentyzm religijny w stosunku do kapłana! Ta niechęć, ta wrogość zrodzona jest z niewiary w czar Krzyża Pańskiego!”.

Najlepiej Basiu wiesz, że ja nigdy takich słów w Domu Bożym nie użył. Bo to i moje samooskarżenie by było i stek kłamstw obrzydliwych. Teraz ja Ci Basiu prawdę ujawnię. Otóż w całej parafii tylko jedne drzwi były przed kapłanem zamknięte! Jedne, jedyne. I to były drzwi do izby ślepej ciotki Zefiry, który to nad nią opiekę sprawował! Och, jaka to była ta jego opieka to Ty sama dobrze wiesz. Nieraz słyszałem od ludzi, że pani Cicha, to starej Dziedziczce strawę przez dzieci posyła. Jam wiedział ile ty dobra dla ludzi Basiu robisz, ale ja nie mógł Cię w żaden sposób w parafii wywyższać, bo zaraz by Cię na języki wzięli a i Twój, choć Wy już tyle lat razem, pewnie by Ci dokuczał z mojego powodu... Ale ten Zefiryn nie dość, że nieraz głodził i więził swą ciotkę, to jeszcze w dniu Kolędy drzwi jej zamknął i udawał przede mną, że to ona sama. A jak ona mogła to uczynić, jak ona ledwie do drzwi po omacku trafiała. No jak? A Zefiryn najpierw poprowadził mnie do tych

jej drzwi zamkniętych a potem wyszedł z domu i innym wejściem, sobie tylko znanym, wszedł do jej izby i od środka te drzwi otworzył i mnie tam wprowadził. I to były tylko jedne, jedyne zamknięte drzwi w całej parafii. Ja do teraz nie mogę pojąć w jaką grę ten diabeł chciał ze mną grać? Ale wygrał, bo zawiązał przeciwko mnie spisek w parafii a potem doniósł na mnie do Władz. I w taki sposób ja w więzieniu jestem.

*

– Naprawdę taki był? – Nie mogę uwierzyć, że dziadek Pawła... że on był takim potworem, jak o nim pisał Stach.

– Tak. Chyba tak. – Paweł zamyśla się na chwilę. – Wiesz, w naszej rodzinie krążyła opowieść, że dziadek Zefiryn umierającemu dziedzicowi wcisnął pióro w dłoń i wymusił na nim podpis pod sfałszowanym testamentem.

– Co! – nie kryję oburzenia. – To by znaczyło... że...

– ...że mój kawałek Starszego Folwarku dziadek pozyskał w nieczny sposób. Po prostu wykorzystał śmierć dziedzica, który mu ufał, i dzięki temu mam to, co mam!

Patrzę na niego. Mówi z takim spokojem. Jak gdyby wszyscy ludzie zdobywali swoje majątki, czatując na konanie innych, zamożniejszych od siebie. Zastanawiam się, jaki on naprawdę jest? Czy bardzo podobny do Zefiryne? A może do swojego ojca? Tylko czy on ma ojca?

– Mogę cię o coś zapytać? – Paweł właśnie uzupełnia pojemniki z majonezem i musztardą.

– Jasne. Pytaj, o co chcesz. – Nawet nie spojrzał w moją stronę, tylko dyskretnie oblizał majonez spływający mu po palcach.

– Czy ty masz ojca? No... – Nagle zdałam sobie sprawę z absurdalności pytania, jakie mu zadałam, ale już je zadałam. Niestety.

– Każdy ma. Nie wiesz o tym? – Odstawił majonez do lodówki i usiadł obok mnie. – Czy twoi synowie mają ojca?

– Przepraszam – wyszeptałam. – Tak, masz rację, jestem taka głupia.

– Nie tak. Po prostu jesteś ciekawa, więc ci powiem. Jestem nieślubnym, nieuznanym przez nikogo bękartem. Dlatego nazywam się

Zarządca, tak jak Zefiryń. Rozumiesz?

Kiwnęłam głową. Rozumiałam aż za dobrze. Konrad z Patrykiem chociaż przez kilka lat mieli ojca. Nosił ich na barana, przytulał, uczył jeździć na rowerze. Znają znaczenie słowa „tata”. Paweł nie. Może dlatego żyje tak, jak żyje? Jakby wbrew sobie. Jakby przeciwko samemu sobie. Ma tylko tę rudere, a w niej wyro, komputer i tyle. No i ten fast food jest jego całym światem. Trochę za mało, aby normalnie żyć. Tak mi się wydaje.

LIST XIX

Warszawa, ul. Rakowiecka... 2 maja 1960 r.

Basiu!

Czyś Ty wiedziała, że Kierownik Waszej 7-klasowej szkoły w Starszym Folwarku jest też bliskim przyjacielem Zefiryńa Zarządcy? Pewnie nie, bo i ja sam tą prawdę żem poznał dopiero tuż przed uwięzieniem swoim. Obaj, Zefiryń i Kierownik spiskowali przeciwko mnie, bo ci dwaj od wielu lat są wrogami księży. Z tym, że Kierownik ze swoją ignorancją i ateizmem obnosi się, a Zefiryń udaje przykładnego parafianina i dobrego katolika. Więc zapewne to Zefiryń podburzył Kierownika i do przygotowania na mnie zasadzki przekonał.

Znasz z widzenia Kierownika Basiu. Przecież Wasze dzieciaki od lat chodzą do tej szkoły, ale może zbyt wiele o nim nie wiesz, więc skoro tak przyczynił się do mojej krzywdy, to ja Ci teraz Basiu o nim opowiem to, co wiem. Ma około 47 lat, jest rozwiedziony i ze swoją żoną nie utrzymuje żadnych kontaktów. Natomiast bardzo kocha swego syna jedynaka, który w Łodzi studiuje medycynę i z którym wielkie wiąże nadzieje. Kierownik, tak mi to przekazał poprzednik mój, do kościoła od lat wielu nie chodzi. Zapewne od czasu, gdy się ustrój zmienił i aby zachować stanowisko, nawet na tak zapomnianym końcu świata, jakim jest Starszy Folwark, należy być niewierzącym w nic oprócz prawd socjalizmu, których przestrzeganie zapewne pomoże osiągnąć szczęście doczesne... Do księdza proboszcza, nauczyciela religii w szkole, czyli do

mnie, w zasadzie odnosił się uprzejmie i poprawnie, ale w jego obecności czuł nieswojo, jakby ten złem był podszyty. Dlatego starałem się schodzić mu z drogi a swoją pracę wykonywać bez zarzutu, tak aby nikt do mnie przyczepić się nie mógł. A jednak przyczepili się. I to obaj: Zefiryn i Kierownik. A iskrą zapalną stał się jeden z tematów na lekcji religii, ale w klasie 5, w której to Waszego żadnego dziecka nie ma, stąd i możesz nic o tem nie wiedzieć.

Przerabiałem wtedy cykl tematów o niebie, piekle, życiu wiecznym i wędrówce duszy po śmierci. Źle mi się pracowało z grzecznymi do niedawna dziećmi, bo zaczęły dokazywać na religii i wcale się mnie nie słuchały. Zdenerwowałem się nieco i zapytałem pierwszego z brzegu Ancymonka, dlaczego tak się zachowuje? A on mi na to, że ja bajki im opowiadam, bo żadnego nieba, piekła i życia po śmierci nie ma! Zbaraniałem ja Basiu na te słowa. Jeśli dzieciak tak mówi, to po co ja w kapłańskiej sukni chodzę? Po co Ewangelię głoszę? Więc głęboko odetchnąłem i dalej pytać chłopaka skąd on nagle takich mądrości dostał? A on mi na to, że nauczyciele im mówią, że to wszystko to wymysł klechów, taka bajka, aby ludzie do kościoła chodzili, bali się piekła i marzyli o niebie. A tak naprawdę to jedna, wielka bzdura. Taka sama jak o złotej kaczce albo lampie Aladyna. O! Tylem się od ucznia dowiedział. I to był powód, że dzieci nie czuły bojaźni żadnej. I mnie „klechą” nazywały.

Wróciłem na plebanię rozgoryczony. Nawet obiadu nie zjadłem tylko zatopiłem się w rozmyślaniach. Zacząłem stawiać sobie pytania-odpowiedzi.

– Czy jest Bóg? – Jest, bo jestem ja. Bo jest Basia. Bo jest świat, który nieraz depcze nas, gnoi, dokucza niemilosiernie, ale jest przecież taki piękny. To Bóg go stworzył. Ja w to wierzę. Jeśli przestanę wierzyć, to wtedy zdejmę swą kapłańską suknię i stanę się jednym z nich – socjalateistów.

– Czy jest niebo? – jest, bo tam są dusze moich rodziców, rodzeństwa, tych, którzy umierali obok mnie w Oświęcimiu.

– A gdzie są duszyczki maleńkich dzieci Basi (tak ja się wtedy zastanawiał aby dobrą odpowiedź znaleźć)? Gdzie? Oczywiście, że w niebie! One takie małe były i grzechu żadnego nie zaznały, oprócz

pierworodnego. Jak mam nie wierzyć w niebo, jak one tam są? Muszę wierzyć.

– Czy jest piekło? – Niezawodnie musi być, bo inaczej by tak złych ludzi nie było jak tych, co nas wszystkich zgładzić chcieli. Bo takich Zefiryków by nie było. Piekło jest, bo to jedyne miejsce, gdzie oni sami się wybierają, skoro do bajek wkładają Boga.

I gdy to wszystko żem przemyślał, zastanowił się i pomodlił o spokój i ukojenie, to ono na mnie spłynęło. Poczulem nagle w swoim sercu otuchę. I znów miałem siłę aby iść do tych dzieci i prawdę im głosić. Bo jeśli ja, kapłan, ulegnę i dam się złamać, to kto te małe przecie krzewinki wzmocni i źródło życia im pokaże. Kto, jeśli nie ja ich proboszcz?

Na następnych lekcjach religii zadałem im pracę pisemną, aby zastanowili się w niej jakie są dowody na istnienie lub nie istnienie Boga, Trójcy Przenajświętszej, nieba i piekła. Kiedy sprawdziłem już gotowe prace, to żadne dziecko nie przedstawiło ani jednego argumentu przeciwko temu co miało być równe złotej kaczce czy lampie Aladyna. We wszystkich zeszytach dzieci na swój własny, naiwny, niczym mój, sposób udowadniały, że wierzą... Odetchnąłem z ulgą, tym bardziej, iż na boku rozmawiałem i z uczniami i z innymi nauczycielami i dowiedziałem się Basiu prawdy. Otóż te chore teorie wciska w młode głowy sam Kierownik! I wtedy już nie miałem żalu do dzieci za ich niesforne zachowanie. Jak miały postępować, skoro sam Kierownik, osoba, której powierzono nad nimi opiekę, robiła im wodę z mózgu? Jak? I dlatego, gdy Kierownik zaproponował mi w ramach „odciążenia”, że zatrudni od nowego semestru katechetkę abym miał więcej czasu na proboszczowanie, stanowczo mu odmówiłem! Bo czułem, że w ten sposób chce rozciągać swoją siatkę zła na te niewinne przecie jeszcze dzieci.

*– Kuria mi nakazała pracę w tej parafii i religii będę uczył ja!
– odpowiedziałem na propozycję Kierownikowi i dalej wypełniałem swoją misję. Tylko baczniej obserwowałem Kierownika, bo obawiałem się z jego strony jakichś restrykcji czy czegoś podobnego. Miałem rację. Wkrótce się o tym niestety przekonałem.*

Głowa mnie boli ciągle i ciągle. Jutro dalej napiszę. Jak żyć będę.

Na wszelki wypadek błogosławię cię i żegnam. Twój niedobry Stach.

LIST XX

Warszawa, ul. Rakowiecka... 5 maja 1960 r.

Basiu! Basieńko!

Czy Ty wiesz, kto jest winnym wszystkiemu złu na świecie? To klechy są winne. Wszyscy księża, zakonnicy, mnisi i inni duchowni całego świata są winni temu złu! I ludzie zamiast śpiewać i prosić „od powietrza, głodu, ognia i wojny – wybaw nas, Panie!; „od nagłej i niespodziewanej śmierci, zachowaj nas Panie!” powinni modlić się tak: „od wszystkich klechów zachowaj nas, Panie”! I gdyby Najwyższy usłuchał tych gorliwych i szczerych prośb wszystkich wczoraj katolików a dziś socjalateistów, to wtedy świat i cała ludzkość mogłaby odetchnąć, bo zło z tej ziemi zniknęłoby na zawsze. Niestety, jak na razie te pobożne modły niedowiarków (jak niedowiarek może się modlić?) nie spełnią się, choćby z tego powodu, że ja, duchowny, siedzę w więzieniu, czekam na sprawę i tu też pełnię swoje obowiązki kapłana. Ale o tym napiszę Ci Basiu innym razem.

Mój nieco ironiczny wstęp miał swój cel, wprowadzić Cię Basiu w nastrój w jakim ja i inni duchowni żyjemy od kilku lat. W Polsce, do niedawna tak bardzo rozmodlonym kraju, teraz jesteśmy złem koniecznym, a z którym, za dyskretnym przyzwoleniem Władz, każdy kto chce, może walczyć. I tak ze mną, oprócz Zefiryndy Zarządcy, walczy też Kierownik, poplecznik tego pierwszego. A jest chyba w tej walce skuteczniejszy, bo w połowie sierpnia 1959 r. poinformował mnie osobiście, przychodząc do mnie na plebanię, że Inspektorat pod który podlega Wasza szkoła, nie wyraził zgody na nauczanie religii od nowego roku szkolnego. Kiedy bardzo zdziwiony, zapytałem go z jakiego powodu, to on radośnie wykrzyknął, wskazując palcem na mnie:

– Przez księdza! Bo ksiądz źle uczy dzieci, bo im bajki do głowy wciska!

– Ja? – odparłem coraz bardziej zdumiony.

– Tak, ksiądz – odpowiedział, mrużąc kocie oczy – bo teraz trzeba dzieci i młodzież uczyć tego co realne i namacalne. I na pewno w inny sposób niż to ksiądz robi! – Tak to zakończył odwiedzin u mnie Kierownik. Nawet nie wypił herbaty, którą mu zrobiłem. Wyszedł a ja zostałem z natłokiem myśli, co teraz należy czynić? Gdzie po ratunek iść? Komu donieść, że Władze powiatowe nie wydały zgody na nauczanie religii w wiejskiej szkółce. Wreszcie oprzytomniałem i pojechałem z tą informacją do Kurii Biskupiej, a tam udałem się do referenta wydziału nauki katolickiej, księdza prałata L. Wyluszczyłem mu Basiu całą sprawę. A on pokiwał głową i kazał mi nie ustępować, nie godzić się... na inne rozwiązania, tylko zbierać podpisy od rodziców dzieci, którzy będą żądali religii w szkole. Potem te podpisy przywieźć do Kurii, która już w drodze oficjalnej, przekaże je władzom rządowym. Czytaj Basiu dokładnie co ja piszę, czytaj! Tak mi dokładnie kazali w Kurii, bronić religii w szkole za wszelką cenę. Chyba bronilem za wszelką cenę, skoro teraz jestem tu, w więzieniu, prawda Basiu?

Wróciłem do Starszego Folwarku i po drodze od przystanku już informowałem przygodnie spotkanych parafian, co nam czynić trzeba aby religia wróciła do szkoły. A parafianie na to, że to nie podpisy trza zbierać ale bunt zorganizować, Kierownikowi kości porachować, to i zaraz religia do szkoły wróci. Tak, buntu chcieli. Ale ja, pomny tego, że bezpośrednim efektem takich buntów od razu są liczne aresztowania oraz interwencje milicji, to ludzi od tego bardzo złego pomysłu odciągałem. Zresztą, to sama najlepiej wiesz i Twój też.

Podpisy się znalazły, choć tak do końca to one prawdziwe nie były, bo wielu rodziców to analfabeci lub wtórni analfabeci i ja sam za nich się podpisywałem. Ano co zrobić Basiu. Tak to na wsi jeszcze jest. Ty sama wstydzisz się, że gramatyki zapomniałaś i litery czasami mylisz, a przecie cztery klasy skończyłaś i jeszcze rok w szkole przysposabiającej do rolnictwa też byłaś, o ile dobrze pamiętam. A większość tutejszych ludzi to nawet tych czterech klas nie skończyło! To i pisać zapomnieli. Ale co tam! Teczka z podpisami rodziców została osobiście, przeze mnie, do Kurii dostarczona i już tylko czekałem efektu rozmów Kuria–Władze. Ale efektu nie było i nie było. Więc sam podjąłem decyzję – bez zgody Władz nauczałem religii w szkole. Różnie to było, raz przed lekcjami, raz

po lekcjach, ale w szkole! Kierownik jakby oko na to przymykał i nic nie mówił. Bo ja mu wcześniej tłumaczyłem, że zanim Władze coś postanowią to już i Boże Narodzenie będzie! A tu przecie dzieci do Pierwszej Komunii Świętej nie mogą tyle czekać, bo kto im pomoże się przygotować jeśli nie ja? A i inne klasy też nie powinny mieć przerwy w nauce religii, bo potem to ich ciężko będzie nakłonić do niej. Kierownik kiwał głową. Zefiryn jakby zapadł się pod ziemię a ja zadowolony z tego, że jestem przykładowym pasterzem i dokładnie wypełniam zalecenia Kurii, aby utrzymać religię w szkole, jakoś nie zwróciłem uwagi na to, że teraz każda samowola jest ostro karana. Tak i mnie za tą bezprawną naukę religii w szkole ukarano uwięzieniem. Ale zanim mnie pojmano, to najpierw próbowano zastraszyć, grożono mi i wzywano na przesłuchania. Ja Ci Basiu o tym wszystkim nie mówiłem wtedy, bo jam Cię zawsze za wszelką też cenę, chciał chronić. I lepsza była Twoja niewiedza, niż to co by Cię mogło spotkać za okazywanie mi przyjaźni. Teraz też, kiedy pisze do Ciebie, to za każdym razem modlę się, aby Krawiec jakiegoś błędu nie popełnił... Ale muszę pisać, bo czuję, że inaczej to już nigdy się nie spotkamy... szatan jednako wszystkich kusi... i w więzieniu pokus dużo się widzi... aż strach na nie patrzeć... Z nadzieją, że się jeszcze zobaczymy... Stach.

LIST XXI

Warszawa, nadal ul. Rakowiecka... 25 maja 1960 r.

Basiu!

Po tamtej wielkanocnej próbie, poczułem nieodpartą potrzebę odprawiania w celi mszy świętej. Z tą myślą chodziłem dni kilka. Wreszcie postanowiłem: jestem kapłanem i muszę robić to, co do mnie należy. Rozpocząłem więc przygotowania. Krawiec przemycił śpiewnik łaciński, w którym znajdowały się wszystkie modlitwy, tak jak w mszale. Co prawda, śpiewnik dostrzegł strażnik, ale przejrzał go i doszedł do wniosku, że to drugi brewiarz i nie robił żadnych problemów.

Podobną drogą załatwiłem hostię. Ale z winem mszalnym był już

problem, bo napojów alkoholowych nie wolno nam tu mieć! I nie mogłem narażać moich współtowarzyszy na dochodzenie, gdyby ktoś niepożądany je zobaczył. Dlatego poprosiłem tylko Krawca aby w paczce żywnościowej dostarczył mi rodzynki. To jeden więzień podsunął mi ten pomysł. Gdy rodzynki już były, to on sam podjął się produkcji wina. Najpierw rodzynki moczył dni kilka w wodzie. Potem, gdy już spęczniały, wycisnął je mocno i otrzymany z nich moszcz winny przelał do małej buteleczki po soku malinowym. Płyn był tak cenny dla mnie, niczym eliksir młodości... Po kilku dniach, gdy się ustał i wyjaśniał, znów go zlano do drugiej buteleczki. Wyszło tego gdzieś z 200 gramów. Nie wiem, ile procent alkoholu zawierał, ale wierzyliśmy, że ma tyle ile potrzeba, aby go było w winie mszalnym. I już można było kończyć przygotowania do Mszy świętej. Mój kubeczek, który porządnie wymyłem, zastąpić musiał złoty kielich. Pokrywka od słoika po ogórkach, błyszcząca żółta polewą, zastąpiła talerzyk zwany pateną. A za strój kapłana, znów przybrałem koc mój. O! I tyle wystarczyło Basiu droga, abym mógł co niedzielę odprawiać Mszę świętą...

Co prawda, ponosimy też z tego powodu pewne wyrzeczenia. Otóż, aby odprawić mszę świętą, musimy wstać o godzinę wcześniej niż rozpoczynają się więzienne czynności. A ja, dodatkowo, muszę wcześniej przygotowywać sobie tłumaczenie z łaciny na polski Słowa Bożego właściwego na dany dzień. Ale to już drobiazg! Skoro jak na razie, nikt nam nie przeszkadza, bo staramy się aby cała msza odbywała się bardzo cicho. A na koniec mówię do współwięźniów: „Ite, missa est!”. Widzisz Basiu, ja już tak przywykłem do tego mojego kapłańskiego stanu, że bez modlitwy czuję się jak bez wody. To tak podobnie, jak ty mi kiedyś pisałaś, że dzieci poczęte bez miłości, są dla ciebie największą miłością, bo jedyną jaką znasz...

Czasami, podczas spacerów, spowiadam. Tak Basiu, jest to możliwe. Chodzę sobie bardzo powoli, a tu nagle podchodzi do mnie jakiś więzień, i niby też spacerując, wyznaje mi swoje grzechy. A ja, choć bez białej komży i bez stuley, jednak mam moc rozgrzeszania, daną mi od Najwyższego. Więc, jeśli tylko ten czy ów, wyrazi gorącą skruchę i żal za grzechy, to ja daję mu rozgrzeszenie. Czy Oni domyślają się prawdziwej treści tych spacerów? Czasami wydaje mi się, że tak, ale nikt, jak na

razie jeszcze uwagi mi z tego powodu nie uczynił. Basiu! Niejeden strażnik ma więcej wiary i Boga w sercu, niż ten zakłamywany Zefiryn, przez którego teraz jestem w niewoli i sprawy w sądzie wypatruję jak zbawienia, bo może wtedy prawda uwolni mnie od cierpienia. Tak! Cierpię w duszy bardzo. I ciągle się o życie me boję. Tylko Twoje wspomnienie przy życiu mnie trzyma... Pamiętaj o mnie Basiu. Stach.

LIST XXII

Warszawa, nadal ul. Rakowiecka... 31 maja 1960 r.

Basiu!

Nie pisałem Ci, jak mnie do akt zapisywali na Rakowieckiej. Może Ci kiedy Twój opowiadał, jak to nowego więźnia witają w więzieniu. Może to już wiesz. Ale ja dziś napiszę Ci, jak „powitali” mnie – kapłana.

Strażnik zaprowadził mnie do obskurnej nory, gdzie urzędnik więzienny siedział za brudnym biurkiem i przygotowane miał akta jakieś. Spojrzał na moją sutannę i drwiąco zapytał:

– Nazwisko?

Zabolało. Rzucił jedno słowo, a przecie mógł dodać: nazwisko księdza? Prawda Basiu, że bardziej po ludzku by było? Ale nie! Ja tu, w więzieniu, najgorszym jestem przestępcą, bo w sukni księżej. Pokornie więc odpowiedziałem:

– Kupiec.

– Aaa! – Urzędnik podniósł brwi. – No proszę! Nie dość, że w kiecce, to jeszcze kupiec! Ale czego można po was się spodziewać...?

– Imię?

– Stanisław.

– Ojca imię?

– Władysław.

– Matki?

– Antonina.

– Gdzie zrodzony? No! Miejsce urodzenia?

– Patoki pod Łowiczem.

– *Data urodzenia?*

– *13 lipca 1913 roku.*

I już prawie czułem się wolny, już myślałem, że zaraz mnie strażnik odprowadzi do celi, gdy urzędnik zadał niespodziewane pytanie:

– *Stan cywilny?*

Basiu! Po prostu najpierw zbaraniałem, a potem taka mnie straszna złość wzięła, że zacząłem wykrzykiwać:

– *Żonaty! Żonaty! Słyszysz pan? Zapisz, że żonaty!*

Wtedy to urzędnik zbaraniał. Odłożył to, czym pisał. Podniósł oczy na mnie i mrugając dopytywał się z niedowierzaniem:

– *Jak to żonaty? Przecież pan to ksiądz katolicki. To jak żonaty? Wam przecież nie wolno!*

– *Jakem pan, to mi wolno! A jakim ksiądz to nie! – wrzasnąłem.*

– *To sobie pan sam wybieraj, czym ja żonaty czy nie! – I zamilkłem jak grób, Basiu. I tylko do zdjęcia mnie strażnik popchnął, a potem odciski palców wzięli. I do celi mnie odprowadzono. A urzędnik opadł z głuchym stęknieniem na krzesło. Pewnie myślał, co on ma w te akta zapisać. Bo skoro więzień raz twierdzi, że żonaty a raz, że nie, to co on urzędnik, po czterech pewnie klasach, ma zapisać? Ha?*

Tak Basiu. Jam jest przestępca największy, bom kapłan. I takie chamy mną teraz poniewierają. Ale ja nadstawiać im drugiego policzka nie będę. O nie!

Zastanawiałem się kilka dni, czy Ty wiesz, co to jest retrospekcja? Pewnie nie. A nawet, jeśli kiedykolwiek wpadło Ci w ucho to słowo, to zapewne szybciej o nim zapomniałaś niż je usłyszałaś. Ale mi, Basiu to słowo wciąż wraca. Nie! Złe piszę! To ja wracam! Do tego co się wydarzyło, i w czasie wojny i w Waszej parafii. I to jest właśnie retrospekcja...

A dziś, w ramach tego wspomnienia, opiszę Ci Basiu, jak mnie aresztowano. Bo jak już przeleję to wydarzenie na papier, jak podzielę się nim z Tobą, to straci ono znaczenie. Przestanę je tak przeżywać, nadawać mu zbyt wielką rangę.

Zapewne parafianie dużo na ten temat mówili i mówią, ale Ty Basiu przecie nie masz czasu, aby godzinami wystawać obok mleczarni czy pod kościołem i słuchać plotek. Znam Cię dobrze. Ty Basiu, może jak

jakiś chłop do Twojego przyszedł, to znad dzieży z ciastem lub balii z praniem, coś tam usłyszałaś... czegoś się domyśliłaś... a o resztę nie zapytałaś... Bo taka jesteś, wstydliva i bojaźliwa wobec obcych ludzi.

A mnie aresztowano zaraz po rannej Mszy świętej. Dopiero co ją skończyłem odprawiać i zamykałem drzwi kościoła za paroma staruszkami, które razem ze mną się wtedy modliły, gdy pod plebanię podjechała „Warszawa” i wysiadło z niej dwóch mężczyzn w zimowych, skórzanych płaszczach. Podeszli do mnie obaj i ujęli mnie pod ręce. Nawet nie bardzo się bałem. Raczej myślałem, czym dobrze kościół zamknął i czy nikt tam się nie wędrze. A oni, ci dwaj, zaproponowali grzecznie dość, żebyśmy wstąpili na plebanię, to wtedy coś mi tam wyjaśnią... Nic nie musieli mówić! Przecie żem wiedział, że to, co uczyniłem Kierownikowi na oczach dzieci, nie ujdzie mi na sucho. Przecie żem podniósł rękę na Ich urzędnika.

*Panowie, gdyśmy już weszli do mieszkania mojego, przedstawili się krótko, że są **porucznikami władz bezpieczeństwa**... i okazali mi swoje dokumenty a potem... a potem odczytali mi nakaz aresztowania. Powoli, bardzo powoli, docierało do mnie, że jestem, w imieniu władz PRL, aresztowany! Nie bardzo żem rozumiał, za co mnie władze PRL aresztowały, ale grzeczni panowie pozwolili mi tylko zjeść szybkie śniadanie, jakiś łyk mleka i gryz chleba z masłem, a potem, gdym to łykał i pakował teczkę z brewiarzem i trochę pieniędzy, to już wypchnęli mnie na zewnątrz. Nawet drzwi od plebanii żem nie zamknął, tylko krzyczałem do gospodyni, która ze wsi szła, aby wszystkim się zajęła, bo ja zapewne szybko wrócę... I skłamałem Basiu, skłamałem. Maj już jest, a ja nadal do domu nie wróciłem.*

Wieźli mnie drogą Sochaczew–Warszawa. Widziałem, przez zaparowane szyby, jak migają wsie szare a potem zaczyna się miasto. Raz po drodze, panowie z bezpieki zatrzymali samochód. To było chyba w Ożarowie. Podeszedł wtedy ktoś do nich, spojrział w moją stronę i tylko kiwnął głową. Ale dlaczego? Nie mam pojęcia!

A potem była już Warszawa. Widziałem odbudowane z takim mozołem miasto. I nie myślałem, o krzywdzie jaka mi się dzieje, tylko wspominałem jak podczas łapanki Niemcy pojмали mnie, bom w sutannie szedł po ulicy. Bezmyślność to była moja, bezmyślność! Tak jak teraz...

gdym zadarł z Kierownikiem, a naprzód z Zefiryнем Zarządcą. I znów głowa mnie boli. Żegnaj się z tego powodu. Bądź zdrowa Basiu. Stach.

LIST XXIII

Warszawa, nadal ul. Rakowiecka... 1 czerwca 1960 r.

Najdroższa Basiu!

Dni mi się tu jakoś tak zlewają, jak pomyje w wiadrze. Najpierw gospodyni wlewa do cebrzyka kluszczankę, po gotowaniu kluch pozostała. Potem dolewa tam wodę odcedzoną z gotowanych ziemniaków, albo resztki serwatki z odciśniętego twarogu zostały. A potem, po obiedzie, wrzuca tam, co domownicy nie zjedli. I nawet mieszać tego nie trzeba, bo same się te pomyje robią. I tak, wieczorem, wymieszane z otrębami jakimi, karmą dla świń są. A moje dni tu, tak bezsensowne mi się wydają, bo nikt z nich pożytku nie ma. Nawet świnię, chyba że Tamte Świnię...

Aby nie oszaleć, przypominam sobie różne sprawy. Układam je w głowie, jakby na półkach jakich. A jak poukładane już są, to i lżej na chwilę tej mojej biednej głowie. I takem sobie tu dziś porządki na owych „półkach” robił, że mi się przypomniało, że Ci Basiu o moim przesłuchaniu nic nie napisał. A, że Krawiec pewnie wkrótce „kanały” uruchomi, to i mój list do Ciebie Basiu pewnie dotrze.

Przesłuchiwał mnie jeden z tych, co to na plebanię do Starszego Folwarku, po mnie przyjechał. Nie pamiętam już tych wszystkich bezsensownych pytań, co to służyć miały tylko jednemu – wmówieniu mi winy jakiejś. Pamiętam tylko, że dzień cały męczył mnie, tyle co z przerwą na obiad.

Ciągle wracał do jednego tematu: a czy czuję się winny samowolnej nauki religii? I wciąż mu odpowiadałem to samo, że po to ksiądz, aby religii uczyć. A czy za zgodą, czy samowolnie, to dla mnie rzecz jedna! Tak mu mówiłem. I równie czuję się winny śmierci Lenina i Stalina, jak tego, że religii uczył!

To potem zaczął mnie zasypywać oskarżeniami, że ja niby dzieci do

nauki religii przymuszałem na różne sposoby. I jak Kierownik stanął w ich obronie, to go po pysku wystrzelałem. Jego, państwowego urzędnika? Porucznik nie krył oburzenia. A ja tylko się w duchu śmiałem, z tych ich naiwnych oskarżeń. Zrobili przecie polowanie na czarownice, i mogliby sobie darować wymyślanie moich win. Przecie mogą mnie i bez tego osądzić! Ale nie! Najpierw dręczyć mnie musieli.

– Ksiądz w parafii siał zamęt i niszczył spokój, jaki tam panował! – krzyczał Porucznik. – Zadzierał z tymi, którzy Władzy Socjalistycznej dobrze służą (to chyba o Zefiryra i Kierownika szło). Zachciało się remontów świątyni, co? A szkołę trzeba przecie nową budować. A księdzu starej, zbutwiałej budy, jaką ten wasz kościół jest, szkoda? – Tak mi winy coraz to inne dokładał.

– Aż w gazetach o księdza niecności pisali.

– Tak? – zdziwiłem się szczerze – jakoś nie czytałem, a w jakiej to, jeśli można spytać?

– Ksiądz to głupi jest czy takiego udaje? – usłyszałem zamiast odpowiedzi.

I tak przesłuchanie przez dzień cały trwało, aż mnie głowa rozboleła, a leku żadnego mi dać nie chcieli. Jak już ból rozsadał mi czaszkę, to żem zasnął. A wtedy Porucznik kazał mnie do celi odprowadzić, ale zapowiedział na dzień następny przesłuchanie.

Następnego dnia, żem nic nie odpowiadał. Milczałem. Nawet wtedy, gdy Porucznik pytał się mnie, czy okażę skruchę i będę spokojnie i cicho siedział? A skoro nie usłyszał odpowiedzi, to tylko zapowiedział, że on to się postara, abym nie tylko sądzony był przez Ich Temidę, ale i Władzę kościelną też!

LIST XXIV

Warszawa, jeszcze ul. Rakowiecka... 3 czerwca 1960 r.

Basiu!

Nie wiem, czy kiedykolwiek przeczytasz ten list. Dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny. Bo Ci go po prostu nie wyślę. Bo właśnie

czekam, aż mnie zwolnią z więzienia. Już jest po rozprawie. I aby skrócić sobie czas oczekiwania na opuszczenie więziennych murów, postanowiłem, starym zwyczajem, opisać Ci to, co ostatnio się wydarzyło.

Może dam Ci ten skrawek papieru, jak się wkrótce spotkamy, a może go nie dam. Sam jeszcze nie wiem, ale piszę, bo tylko to ratuje mnie przed szaleństwem!

Rozprawa „największego wroga socjalizmu” księdza Stanisława Kupca we własnej osobie, odbyła się 1 i 2 czerwca, czyli wczoraj i przedwczoraj, w sądzie dla województwa warszawskiego w IV wydziale karnym.

Od lutego gotowałem się do tej rozprawy. W myślach układałem długie wywody, które miały stanowić moją obronę. Sam sobie zadawałem pytania, jakie tutejsza Temida mogła mi zadać. I co z tego? I nic! Po prostu nic!

Na salę rozpraw wprowadził mnie milicjant, jak zbrodniarza jakiego. Podprowadził do ławy oskarżonych i sam usiadł obok mnie. Tuż obok siedział adwokat opłacony przez brata mojego. A dalej na sali widziałem znajome twarze Parafian ze Starszego Folwarku. Brat mój też tam był, i córka jego. A ja wyglądałem Twojej Basiu, twarzy... Ale jej nie zobaczyłem. Tak, wiem, dobrze żeś zrobiła, trzymając się z daleka od tego wszystkiego. Sam żem Ci to przecie w listach radził, a i pewnie Krawiec nie raz, przekazując moje listy, ostrzegał Cię. Ale gdy ten długo wyczekiwany dzień prawdy nastąpił, zapomniałem o tym wszystkim i żem Basi szukał po ławach...

Ciebie tam nie było, ale za to ujrzałem, wykrzywione, w grymasie jakimś nieludzkim prawie, twarze Kierownika i Zefiryna Zarządcy. To był ich dzień tryumfu! Znienawidzony klecha na ławie oskarżonych, a oni, jako świadkowie zła wyrządzonego socjalistycznemu państwu. Czy byli bardzo szczęśliwi, widząc tam zdruzgotanego człowieka w czarnej sukni? Zapewne tak.

Na końcu sali, spłoszony taki, siedział ksiądz Dziekan, któremu bezpośrednio podlegałem, choć on zawsze wolał wysyłać mnie, z moimi problemami, od razu do Kurii. Zawsze tłumaczył, że im wyżej, tym szybciej sprawę załatwią... A tu teraz przyszło mu do sądu, za świadka

się stawić. Niemile mu było to świadkowanie, oj niemile, nie!

Twarze obecnych na sali rozpraw, odzwierciedlały szeroką gamę emocji. Parafianie byli smutni i przygnębieni. Kierownik z Zefiryнем Zarządcą tylko zmieniali maski. Raz uśmiechali się szyderczo, po chwili rzucali delikatne, ale przepętnione jadem, spojrzenia na prokuratora.

Ksiądz Dziekan wyrazem swojej twarzy i skulonymi ramionami przeproszał Wysoki Sąd za to, że żyje. Tylko mój brat i bratanica, spoglądali na mnie z uśmiechem, który podnosił mnie trochę na duchu. Bo ja, Basiu, bałem się. Tak! Bałem się ludzkiego wyroku. Już raz ludzie wydali na mnie wyrok. I wtedy moja wina też nie była aż tak wielka. Winny byłem tego, że byłem człowiekiem, Polakiem, księdzem w sutannie i... czy ja wiem? Może tego, że urodziłem się w niewłaściwym czasie.

Wtedy kara była straszna – obóz zagłady. Ale z Bożą pomocą, przetrwałem i żyję. Tylko po co? Skoro znów ludzie mają wydać na mnie wyrok? I to też właściwie za nic. I tego że nie mogłem pojąć.

Wiesz Basiu, gdy na tej sali siedział i spoglądał na twarze Kierownika i Zefiryne, to wydawało mi się, że tam nie siedzą mi znani ludzie, ale gestapowcy jacy. Ba! Nawet gestapowcy czasami mieli przyjemniejsze twarze niż ci dwaj! Basiu! Dla mnie świat zatrzymał się wtedy, gdy mnie wieziono do Oświęcimia. A to, co potem się działo, to tylko kontynuacja... tamtej podróży... po koniec!

Prokurator srogi, ubrany w togę, z kokardką czerwoną pod szyją wiązaną, usiadł po prawej stronie stołu sędziowskiego. Stół ten był długi. Za nim stały wysokie krzesła, na których po chwili posiadali: sędzia główny, sędziowie asystenci, ławnicy. Po lewej stronie stołu, miejsce zajęła, przy swoim stoliku, sekretarka sądowa. Przed nią, na tym stoliku, stała maszyna do pisania, marki Łucznik, chyba. I ryza papieru.

Gdy wszyscy już zajęli swe miejsca, sędzia główny rozpoczął rozprawę, informując zebranych, że oskarżony ksiądz Stanisław Kupiec dopuścił się w swej parafii w Starszym Folwarku następujących przestępstw: pobił Kierownika szkoły, prawdopodobnie za ateizm poszkodowanego, którego oskarżony nie toleruje!, nauczał bezprawnie religii w szkole w Starszym Folwarku, dopuszczał się gwałtu na sumieniach dzieci, opowiadając im treści dla nich niezrozumiałe, straszne i niezgodne z teorią ewolucji (po tych słowach, śmiech na sali

dało się słyszeć). Oskarżony tym sposobem złamał przepisy konstytucji i prawa wolności sumienia, oraz osobistą nietykalność cielesną Kierownika szkoły... Co do tego ostatniego, to owszem, mozem i poczuł się nieco winny, bom mu przecie w mordę dał, aż krew mu z nosa chlusnęła!

Po tych oskarżeniach, przez chwilę, na sali zapanowała cisza. Przerwał ją znów sędzia.

– Czy oskarżony przyznaje się do zarzucanych mu przestępstw?

Przez chwilę milczałem. Głos uwiązł mi w gardle. Nie mogłem go z siebie wydobyć. Przeżegnałem się więc, aby Duch Święty dał mi siły. I wtedy powoli powiedziałem:

– Przyznaję się tylko do naruszenia nietykalności cielesnej Kierownika szkoły w Starszym Folwarku... Do reszty zarzutów nie przyznaję się!

Adwokat, opłacony przez brata mojego, nawet nie drgnął. Siedział niewzruszony jak skała. On, na tą salę rozpraw, przyszedł tylko po jedno – pieniądze. Nic i nikt go nie obchodził, dlatego przez całą rozprawę był jak skała, nieruchomy.

Jeden z sędziów asystentów odczytał listy świadków oskarżenia i obrony. A potem sędzia główny wezwał mnie na przesłuchanie. Ale nie miał szansy wiele powiedzieć, bo sędzia sam coś tam mówił, jakby za mnie a ja tylko mogłem odpowiadać: tak lub nie. O! I tyle z moich, w myślach przygotowanych, tłumaczeń, wyjaśnień było. Sędzia sam się zmęczył, więc ogłosił przerwę a ja na swoje miejsce usiadłem.

Potem, gdy sędziowie wrócili już, nieco poruszeni, bo zapewne już wstępny wyrok ustalili, wezwano świadków oskarżenia.

Pierwszy zeznawał Kierownik. Zaczął od tego, że od lat jest „wiernym” socjalistą i ateistą. Najwidoczniej przypodobać się komuś chciał, ale komu? Nie mam pojęcia.

Potem opowiedział, jak to żem ja dzieciom bajki jakieś opowiadał, że ludzie to od Adama i Ewy pochodzą a nie od małp człekokształtnych, co zbrodnią potworną się wydaje, bo podważa wszelkie teorie Darwina i innych wielkich uczonych. Mało tego, to dzieci ksiądz straszył piekłem i zmuszał je do chodzenia do kościoła obietnicą Nieba... Sędziowie zaczęli chrząkać nieco, więc zawstydzony zmienił tok zeznań.

Zaczął oskarżać mnie o pobicie straszne. Sąd wtedy zadał mi pytanie, gdzie, jak i kiedy oskarżony dopuścił się tego czynu i czy są jacyś świadkowie?

Kierownik zamilkł. Potem zaczął bąkać, że to w sumie nie było pobicie, tylko cios jeden w twarz, podczas rozmowy gwałtownej zadany. I świadków żadnych nie ma, bo może i woźna coś widziała, ale ona gorliwa dewotka i zeznawać pewno nie zechce...

Następnie Zefiryn Zarządca wystąpił na scenę i zeznawać zaczął, niczym wyuczony aktor. Krygował się przed zebranymi na sali, chrząkał, poprawiał krawat, mówił o tym i o tamtym, jak to, zamiast pieniądze na nową szkołę zbierać to ksiądz zbierał na słupów wymianę. Sędzia zdumiał się nieco, i zapytał, co to za słupy były? Wtedy orator nasz, długi wywód na temat architektury kościoła w Starszym Folwarku przedstawił i swoje zdanie na temat zasadności remontu wyraził. A do oskarżeń moich wcale nie nawiązał.

Na koniec, gdy sędzia stracił już cierpliwość, bo być może znawcą architektury sakralnej nie był i przerywać Zefirynowi zaczął, ten na sposób przedłużenia swej „gry” wpadł i zaczął śpiewać pieśń z pochodów pierwszomajowych, jako żywy dowód swego oddania władzy ludowej.

Następny świadek, mężczyzna co w zimie w piecach kaflowych w szkole palił, zeznawał, że ksiądz kiepski, bo nazbyt krótko odprawiam msze święte, oszczędzam na wonnościach do kadzielnicy sypanych, bo mu rzekomo syn jego to opowiadał (Ten Pietrek co do mszy ранnej służy). A i wino nazbyt rozcieńczam wodą, to sam sprawdził, bo mu Pietrek trochę tego do domu przyniósł...

Sędzia zadał palaczowi pytanie, na jakiej podstawie twierdzi jego syn, że zbyt mało wonności do kadzielnicy oskarżony sypał? Ten mu odparł, iż dym z niej wydobywał się zbyt nikły i słaby zapach miał...

Po tej odpowiedzi sędzia znów przerwę zarządził, widocznie potrzebował czasu na wyśmianie się w samotności jakiejś. To mu się chyba nieczęsto zdarzali tacy świadkowie, co zamiast konkretów, wiejskie ploty opowiadali.

Gdy znów rozprawa po przerwie się zaczęła, Zefiryn postanowił zbliżyć się do stołu sędziowskiego. Pewnie chciał lepszy widok na

wszystkich mieć, tak że parł do przodu, nie bacząc na groźną minę sędziego głównego. Wszyscy spoglądali na niego ze zdumieniem, co on wyrabia? Bo taki rozpromieniony się wydawał, dumny z siebie czy co?

A gdy już Zefiryn rozsiadł się w pierwszym rzędzie, to wtedy woźny sądowy szybkim chodem podszedł do Zefiryndy, złapał go za ramiona i z sali rozpraw wyciągnął. Zefiryn szarpał się nieco i krzyczał, że on to ma prawo na sali pozostać, ale sędziowie udawali, że nic nie widzą i nic nie słyszą, tak że za woźnym i Zarządcą drzwi się zatrzasnęły...

A potem zeznawały dzieci. Nie napiszę Ci Basiu, które, bo albo sama dobrze to wiesz, albo wiedzieć nie powinnaś, abyś krzywo na nie nie patrzyła...

Wylęknione one były i nie bardzo wiedziały co na sędziego pytania odpowiadać miały, ale prawdę mówiły. Że ja proboszcz, jak to proboszcz, do kościoła chodzić każe, bo to obowiązek chrześcijański jest... i że na religię chodzić chodzą, bo to przecie rodzice każą, bo jak na religię nie chodzić? Prosta, dziecięca logika i tyle. Niczego nowego do rozprawy nie wniosły.

Na pytanie, czy wiedziały, że ksiądz proboszcz ma zakaz odgórny uczyć je religii w szkole, odpowiedziały że coś tam tata i mama o tym pogadywali ale kazali w szkole, skoro ksiądz proboszcz chciał... to trzeba było i lepiej, bo w zimę to w kościele zimno tak siedzieć i religii się uczyć. To już wolały w szkole, jak ona była.

A potem prokurator spytał jednego chłopca, czy widział jak Kierownik i ksiądz ze sobą się kłócą? A ten mały, bystry taki, bo to tych ... syn, powiedział, że on to do szkoły chodzi uczyć się a nie starszych podglądać! O, i tyle się prokurator dowiedział.

I tak ta rozprawa dwa dni się ciągnęła. Mojego brata za świadka nie wzięli, jeszcze paru Parafian przesłuchali ale wszyscy to samo mówili, że proboszcz to proboszcz i wolno mu to robić, co księży obowiązek mu każe, a o pobiciu Kierownika to oni nie słyszeli... a znaków żadnych na twarzy Kierownika też nie widzieli...

Na koniec tej mordęgi, prokurator zażądał wyroku surowego, jako przykładu dla „innych”, że sumień ludzkich nie należy niewolić i do religii nie należy zmuszać.

A potem, adwokat przez mojego brata opłacony, jakąś tam mowę

przedstawił, ale nikt, przy stole sędziowskim go nie słuchał. Bo i po co? Przecie Oni od razu wyrok znali, zanim jeszcze rozprawa się rozpoczęła.

Zarządzili znów przerwę. A po niej Temida ogłosiła wyrok skazujący. Za winy przeciwko wolności ludzkiego sumienia, skazano mnie na dwa lata więzienia z zawieszeniem na trzy i pół roku, oraz obciążono mnie kosztami całego procesu oraz grzywną za pobicie Kierownika, a do czasu uprawomocnienia się wyroku, Temida postanowiła zwolnić mnie z więzienia, nie podając jednak, kiedy to nastąpi. Po przedstawieniu wyroku, cała Temida wyszła, a mnie milicjant też po chwili z sali rozpraw wyprowadził i więzienną budą pojechałem znów do więzienia... gdzie piszę te słowa. Być może ostatnie z tego miejsca. Z nadzieją powrotu do Ciebie i Twoich bliskich. Stach.

LIST XXV

Wałbrzych, 15 lipca 1960 r.

Droga Basiu!

Dziwisz się, czytając, gdzie ja list do Ciebie piszę? Tak! Jestem teraz w Wałbrzychu, u mojego brata. To on, zaraz po moim wyjściu z więzienia, prawie że zmusił mnie, abym obiecał mu przyjechać do niego na urlop. I tak też zrobiłem. Zbieram teraz siły do dalszej walki, bo to, że mnie Sąd łagodnie potraktował, to wcale mojej wolności nie oznacza. Wkrótce czeka mnie gorsza rozprawa, bo będę musiał stanąć przed swoimi Przełożonymi. I już czuję Basiu, że Oni ukarają mnie srodzej niżli tamci. O wiele srodzej...

Nie miałem odwagi pożegnać się z Tobą przed moim wyjazdem. Tak. Przyznaję. Widziałem Cię w ostatnią niedzielę na sumie. Alem nie miał Ci odwagi dać znać, że chcę chwili rozmowy. Bo ja zrobiłem coś złego. Coś, co może zemścić się na Tobie. I wtedy musiałbym Ci to wyznać, alem się bał. A teraz, gdy jestem tak daleko i nie wiem, jak dalej potoczy się mój los, to Ci wyznam, co przed moim wyjazdem do brata się stało.

Kilka dni temu, postanowiłem cały dzień poświęcić na rozliczenia

różne, opłaty parafialne i moje własne dochody. Pracę tę, niewdzięczną przecie, rozpocząłem od porządkowania pieniędzy. Wszystkie więc pieniądze, jakie tylko miałem na plebanii, zebrałem i położyłem w drewnianej, góralskiej skrzynce, na biurku w kancelarii. I z niechęcią wielką na nie patrzyłem, bo ja przecież nie kocham mamony. Ale jednak, jako proboszcz, muszę czasami rozliczeń dokonać. I siedząc tak i patrząc się na te monety i banknoty z obrzydzeniem jakimś, przyszła mi dziwna myśl, iż najpierw powinienem wyjść na podwórko i nakarmić wszystkie zwierzaki. Zazwyczaj to gospodyni tym się zajmuje, ale tego dnia musiała do syna do szpitala pojechać. I ja sam na „gospodarstwie” zostałem. Myśl ta tak mnie kula i świdrowała, że wreszcie z ulgą wstałem od biurka i wyszedłem na podwórko zwierzaki oporządzić. A pieniądze zostały w tejże szkatułce.

Zeszło mi sporo czasu, zanim, niewprawny przecie, ponakarmiłem te prosiaki i kury, i kaczki. A i krowę trzeba było w inne miejsce przewiązać. Potem z przyjemnością dałem jeść psu Brutusowi, który łasił się do mnie i skamlał, abym go po sierści tarosił. I na koniec kocica Łatka wyszła z kąta jakiegoś ze swoimi trzema kociakami, które na świat przyszły, gdy ja w więzieniu byłem. I tak mnie maluchy rozczuliły swoimi figlami, że zapomniałem o obowiązkach swoich. I dopiero po dwóch godzinach pewnie, do kancelarii wróciłem. A tam, okno przecie przeze mnie uchylone, teraz na oścież było otwarte i kawał firanki oberwany. Zdrętwiałem, bo na biurku szkatuły nie było! Tylko ślady ubłoconych butów od biurka do okna, drogę złodzieja znaczyły!

Wybiegłem na drogę obok plebanii i pierwszego Parafianina, który z pola właśnie z grabiami wracał, zapytałem czy kogo obcego tu w pobliżu nie widział? A on, po chwili namysłu, rzekł, że po okolicy tabor Cyganów się kręci i powiedział mi jeszcze gdzie swój obóz dziś rozbili. Podziękowałem mu za informację, ale ani słowem o kradzieży nie powiedział. Może miałem jeszcze nadzieję, że szkatułę odzyskam. Choćby nawet bez pieniędzy, ale z listami Twoimi Basiu! Bo to zło, o którym ja na początku wspominałem, to to, że listy od Ciebie, jako skarb najdroższy, razem z pieniędzmi w szkatule trzymałem. I teraz wybac mi Basiu, ale Twe wyznania, żale i troski, w złodziejskich łapach się poniewierają. I tego się bałem Ci wyznać, Basiu! Bo to nie Cyganie mnie

okradli, ale sam mój wróg zapewne, Zefiryn Zarządca. Tak mi to stara Cyganka wywróżyła! A ja w to wierzę, bo przecie Ty z ich krwi Basiu jesteś... i przeciwko Tobie nic by nie zrobili... bo Ciebie ich znaki tajemne strzegą. Tak mi to Cyganicha powiedziała.

Po rozmowie z Parafianinem, na rower żem wskoczył i do obozu Cyganów pojechał, postraszyć ich milicją naszą. Znasz ich tabory Basiu? Pewnie nie, bo Cię rodzice bacznie strzegli przed wszelkim kontaktem z nimi. Ja wiem dlaczego, bo mi to moja matka kiedyś wyznała, gdym do seminarium iść nie chciał. Bom jej powiedział, że Cię Basiu miłuję i na księdza iść nie chcę! A ona wtedy w piersi się uderzyła, na kolana, przed obrazem Świętej Panienki padła i wykrzyczała mi prawdę, żeś Ty cygańska córka i nigdy mi nie pozwoli na miłowanie...

A wtedy, gdym do tego obozu się dostał i wykrzykiwać zaczął, że milicji dam znać, że kary ich nie miną, bo przecie Władza to ich teraz na siłę uczyć cywilizowanego życia chce! I zabrania im tych taborów, tych obozowisk i koczowniczego trybu życia. Dzieci do szkół każe im posyłać i za robotę się uczciwą brać i ja za to Władzę chwale... Ale wracając do wydarzeń tamtego dnia, wszyscy Cyganie obściskali mnie. Przestraszyłem się, bo obóz zaraz pod lasem był i pewnikiem nie mieli by kłopotu z ukryciem ciała mego, gdyby mnie ubili. Ale nie! Z kręgu wyszła do mnie stara Cyganka. Bez słowa wzięła w swoje ręce dłoń moją. Brudnymi palcami dotykała moich linii. Najdłużej badała linię życia. Wreszcie puściła rękę moją, a ja żem zroszone potem czoło otarł. A ona kazała mi siadać obok ogniska, a resztę Cyganów od nas odpędziła. Potem mówić zaczęła, że okradł mnie człowiek, który w sercu ma nienawiść i zło. Jego imię – to wiatr... Jego nazwisko – to władza... Jego serce – jest martwe i dlatego tak złe. A potem... Potem rzekła, że bym nie obawiał się o tajemnicę, którą kryła szkatuła... Bo tajemnica ta, wróci życie komuś, kto będzie bliski kobiecie ich krwi... A ja... Dla mnie... linia życia pokazała życie jeszcze długie, ale na banicji, na wygnaniu! Basiu! Cyganicha powiedziała, że nie mi pisana była miłość, nie mi zaszczyty... mi tylko pisane jest wygnanie... Dlatego teraz piszę Ci o tym wszystkim, bo sam już nie wiem, co bajką jest a co prawdą. Alem ja zadrżał, gdy Cyganicha powiedziała o kobiecie z ich krwi. Bom ja przecie zawsze wiedział, że Ty masz ich krew! A i ten Niemiec, coś sama

mi pisała, bardzo blisko był prawdy. On rzekł: Jude? I to ten Twój Cię uratował, boś ty nie Jude... ale blisko... Tyś przecie Romka... Alem ja spokojny, bo Twój przecie też o tym wie, a jednak ślubował Ci i tyle lat z Tobą żyje, więc musi on Cię miłować... Pamiętaj o tym Basiu, a mi wybacz, alem Ci musiał to wyznać. Jeśli mi nie wybaczysz, jeśli obrazisz się, to zrozumieję. Wszak zawszem był taki niedobry Stach!

LIST XXVI

Walim, 29 września 1960 r.

Basiu!

Pisze do Ciebie ksiądz-banita. Tak! To, co powiedziałem na ambonie, gdy parafian żegnałem, to kłamstwo było. Kuria w dowód nagrody nie przydzieliła mi lepszej funkcji, wikarego w dużej, warszawskiej parafii. Kłamałem. Cały czas kłamałem. Nawet wtedy, gdy do Was przyszedłem się pożegnać. Ty Basiu, z takim żalem na mnie patrzyłaś, że ja odchodzę od Was. A obok Ciebie stał Twój mąż i kpiąco spoglądał na mnie. A w izbie Waszej hałasowała gromada Waszych dzieci. Wszystkie złotowłose, zdrowe, piękne. I ja kłamać musiałem, bo mnie wstyd przed Twoim było, prawdę Ci powiedzieć. I dlatego o tej Warszawie tak dużo mówiłem, gdy Ty mi drożdżowe ciasto pod nos podsuwałaś i herbatę miodem słodziłaś.

Basiu! Ja nie w żadnej Warszawie jestem, tylko w małej wiosce w okolicach Wałbrzycha. Mały, malusieńki domek, taką ruderę, brat tam pomógł mi kupić. I ja teraz tam na zesłaniu żyć będę. Bo srodze mnie Przełożeni moi ukarali za nieposłuszeństwo moje, za nauczanie religii bez decyzji na piśmie, za to, że jak łotr jakiś w więzieniu kilka miesięcy spędził.

Pamiętasz? W lipcu pisałem Ci, że siły zbieram przed rozmową z Przełożonymi moimi w Kurii. I jak z urlopu u brata w Wałbrzychu spędzonego, do Starszego Folwarku wróciłem, to na biurku moim pismo z Kurii leżało. Zakonnik franciszkanin, który przez cały czas mojego uwięzienia i podczas tego urlopu zastępstwo w Waszej parafii pełnił,

powiedział mi, że to listem poleconym przesłano. A potem przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu i pocieszył, że ostateczny wyrok wydaje sam Bóg, a te ludzkie... wyroki, to tylko po to abyśmy Tam... dostąpili lepszych zaszczytów. Oj, pocziwy ten franciszkanin, pocziwy, ale nawet on pewnie nie pomyślał, co mnie podczas tej rozmowy spotka.

Gdy stawilem się w Przenajświętszej Kurii, jak ją żartobliwie księża nazywają, to zamiast uprzejmego powitania, od razu słowa złe i gorzkie usłyszałem.

– I co teraz ksiądz zamierza ze sobą zrobić?– zapytał mnie ksiądz prałat L. – Bo na parafię żadną to już do końca życia ksiądz nie pójdzie! O nie! Ksiądz nam tylko wstyd przyniósł! Zatargi pomiędzy nami a Władzą czynił. I po co to było? Po co? Trzeba było dzieciaki do salki katechetycznej albo na plebanię wołać i tam religii uczyć, skoro Kierownik przeciwny nam jest i Władzę o księdza nieprawościach informował.

– Jakich nieprawościach? – zapytałem zdziwiony.

– Już my tam wiemy swoje, o jakich. I do nas wiadomości doszły, że ksiądz w parafii tamtej ma swoją przyjaciółkę... A to się proboszczowi nie godzi, nie godzi...

Basiu! Gdym te słowa usłyszał, tom przestał już się bronić. Głowę zwiesilem tylko i na wyrok czekałem. Bo skoro i o Tobie wiedzieli już, to nic mi innego nie zostało, tylko z parafii odejść. Bo jak tłumaczyć światu, że czy człowiek w sutannie czy bez, to ma przecie prawo do uczuć ludzkich, do przyjaźni? Ale ksiądz prałat pewnie o innym rodzaju „przyjaźni” myślał. Ja już tego nie chciałem prostować, bo i po co? Wstyd Kurii przed Władzą zrobiłem. Walczyłem, bo walczyć kazali. A nie przestałem gdy przestać trzeba było. I te listy... Te listy... czyżby to Zefiryn sam o Tobie do Kurii doniósł? Ale to chyba niemożliwe, bo przecie on zmarł nagle, kilka dni po włamaniu do kancelarii mojej. O czym sama mi powiedziałaś, gdym z urlopu od brata wrócił. Czyżby przed śmiercią zdążył jeszcze ostatni jad wypuścić? Możliwe, że Kierownikowi listy przekazał. Ale tam przecie żadnego niewłaściwego słowa nie było! Sama Basiu wiesz, o czym żeś do mnie pisała. Dlatego jeszcze zadałem księdzu prałatowi niewinne pytanie.

– A czy o dziecku jakim moim do Kurii nie doniesiono? Co?

– Ksiądz to naprawdę wstydu nie ma! Z własną gospodynią podobno żyje i jeszcze śmie takie pytania zadawać! – Ksiądz prałat L. nie krył własnego wzburzenia. A mi serce z radości do góry skoczyło, bo nikt o Tobie nic nie wiedział, tylko takie tam ploty na moją gospodynię wymyślali. A ona, owszem, jeszcze urodziwa, jak na swoje czterdzieści lat, i wdowa na dodatek. I stąd ktoś takie oszczerstwo wymyślił. A może w samej Kurii na to wpadli, z braku innych zarzutów przeciwko mnie? Kto wie?

– To co? Namyślił się ksiądz, co robić dalej chce? – Widocznie zadaniem prałata L. było doprowadzenie do jakichś uzgodnień ze mną i poinformowanie o nich samych Przełożonych.

– Nie! – krzyknąłem oburzony, bo czułem już wielki przymus na sobie. – A może za winy moje, niczym Judasz, powinienem na pierwszym lepszym drzewie powiesić się?

– Co za słowa? Co za słowa? Niech się ksiądz uspokoi! – Prałat nie przewidział tak ostrej reakcji z mojej strony. – O grzechu tak ciężkim to księdzu nie wypada nawet myśleć! A co dopiero czynić! My tu mamy dla księdza dobrą propozycję!

– Słucham księdza prałata – odparłem zrezygowany.

– Może na wikariat ksiądz pójdzie? – Słowa księdza prałata aż miodem uprzejmości kapąły. Prawie i miałem ochotę palcem tą słodycz zgarniać i niczym Ty Basiu, herbatę nią słodzić... – Postaramy się dla księdza o dobry wikariat jakiś. Może w Wiskitkach? Tam parafia niezbyt duża i bardzo spokojna. To i zajęcia ksiądz mało będzie miał. I czas na odpoczynek się znajdzie! – Prałat kusił mnie, niczym wąż Adama i Ewę w raju.

– Nie! Nie! Nie! – zaczęłem wykrzykiwać – Parafię mi zabieracie! I znów na odludzie jakieś zesłać chcecie! Ja się nie zgadzam! Nie wiem za co mnie degradować chcecie? Przecie tu, w Kurii, jeszcze rok temu kazaliście mi za wszelką cenę utrzymać religię w szkole! A teraz za wykonanie rozkazu mnie karzecie?

– Ależ proszę księdza, my nikogo nie karzemy. Po prostu ksiądz opacznie zrozumiał nasze intencje i stąd to całe zamieszanie. – Prałat starał się być bardzo opanowany, ale nerwowo ścisnął poręcz krzesła, o które się opierał.

– *Ja na żaden wikariat nie pójdę! I to jest moje ostatnie słowo!*
– *Odpowiedziałem stanowczo i podniosłem się do wyjścia.*

– *To niech ksiądz wraca do parafii i czeka na wezwanie! – Głos księdza prałata znów brzmiał ostro i nieprzyjemnie. – My sami zdecydujemy co będzie dla księdza najlepsze...*

I tak zakończyło się moje spotkanie z księdzem prałatem L., który zapewne od razu, po moim wyjściu z Kurii, udał się Wyżej aby zdać sprawozdanie z tej rozmowy.

Po jakichś trzech tygodniach znów stanąłem przed obliczem księdza prałata L., który teraz za zadanie miał przekazać mi wyrok, który wydano Wyżej, niżli ja czy prałat wzrokiem sięgamy.

– *Ze względu na księdza przeżycia wojenne, pobyt w Oświęcimiu i zapewne bardzo nadszarpnięte przez to nerwy – tak zaczął treść wyroku przekazywać mi prałat – i do tego niedawny pobyt w więzieniu, który ostatecznie podkopał księdza słabe zdrowie, zdecydowaliśmy, aby ksiądz przeszedł na taką „wcześniejszą emeryturę”. Co ksiądz na to?*

– *Nie zauważyłem jakoś mojego słabego zdrowia, ale Wy zapewne lepiej je znacie – zadrwiłem – a Oświęcim przeżyłem tylko dzięki łasce Najwyższego. Widocznie zdecydował, że tu, na ziemi, bardziej przydam mu się niż Tam. Ale jak słyszę, to Bóg rządzi w Niebie, a na ziemi są inne Władze... Jedna mnie uwalnia a druga karze...*

– *To ksiądz sam swą krnąbrnością się o to prosi...*

– *Gdzie mam mieszkać? – przerwałem prałatowi dalsze ubliżania.*

– *I to jest problem! – uśmiechał się wbrew swym słowom mój dręczyciel. – Oczekujemy od księdza jakichś sugestii. Może ma ksiądz jakąś rodzinę? Albo zechce zamieszkać przy zakonie jakimś? My dostosujemy się do księdza decyzji... my rozumiemy, że słabe zdrowie, to nie księdza вина... – I tymi słowami zdradził ksiądz prałat prawdziwy powód mojego odrzucenia. Uznali mnie za chorego psychicznie! Tak to zabrzmiało Basiu!*

Przełknąłem gorzką ślinę i powiedziałem księdzu prałatowi, że jak porozumiem się ze „swoją rodziną” to dam znać Kurii, gdzie ja – ksiądz-emeryt, dopełnię mych dni, ale postaram się, aby to miejsce było całkiem niezależne od Władzy Duchownej, bo ja na tej „emeryturze” nadal będę służył Bogu i ludziom, ale już wedle swego

własnego uznania!

Ksiądz prałat pokiwał tylko głową i owszem, przytaknął, że bardzo dobrze by było, gdybym do końca swych dni, oby jak najdłużej, o służbie kapłańskiej nie zapominał. A na Władzę Duchowną zawsze, w trudnych momentach, liczyć mogę i o niej pamiętać...

Roześmiałem się Basiu na te słowa na głos. Jak wariat prawdziwy, a nie tylko przez Kurię urojony. I wyszedłem już bez pożegnania. A pierwsze kroki skierowałem na pocztę aby telegram do brata wysłać. I on szybko wymyślił, abym do niego przyjechał, a na miejscu, za moje skromne oszczędności, może o jakieś mieszkanie się wystaramy. I w taki oto sposób jestem księdzem-emerytem, to oficjalnie, a tak naprawdę jestem księdzem-banitą za nieposłuszeństwo ukaranym! Tylko Ty Basiu o mnie źle nie myśl. Modlę się o Twoje zdrowie i długie życie Stach.

LIST XXVII

Walim, 15 grudnia 1960 r.

Basiu!

Wybacz Ty mi, że dopiero teraz do Ciebie piszę, ale potrzebowałem czasu aby myśli swoje poukładać. Tak, wiem, na wesele Waszej córki Stasi nie przyjechałem. Szkoda mi trochę było, ale nie czułem się na siłach aby tak daleką podróż odbyć. Ale co tam, Basiu! Dopiero trzecią córkę za mąż wydaliście, a jeszcze pięć w domu macie, to i na który ślub jeszcze przyjadę. I jeszcze twoich drożdżowych cudeniek się najem.

Pytasz się co u mnie? Uczę się żyć od nowa. Dziwna to nauka. Zupełnie inna, niż gdy wojna się skończyła. Wtedy nie myślałem, czy to co robię, w co wierzę, ma sens. Po prostu słuchałem decyzji Przełożonych i byłem tam, gdzie mnie posłali...

A teraz sam szukam Boga. Najpierw dla siebie, a potem, aby innym go dawać. Dziwisz się temu co piszę? Może to i dziwne, ale po tym co przeszedłem, nadszedł czas na zadumę. Tu gdzie mieszkam teraz, w Walimiu, żyje się inaczej. Jakby wbrew logice, ale bliżej Boga. Tak to czuję. Nie potrafię Ci Basiu jeszcze o tym opowiedzieć, ale tak jest.

Domek, który za oszczędności całego życia kupiłem, jest bardzo mały i zniszczony. Brat i jego znajomi pomogli mi go trochę przygotować na zimę, bo tu tak blisko gór, zimy inne niż te u nas na Mazowszu. Ale od wiosny muszę pomyśleć o jakimś poważnym remoncie, aby dalsze lata w godniejszych warunkach przeżyć.

Dostaję „skromną” emeryturę. Całkiem z głodu to nie dadzą mi umrzeć. To Im trzeba przyznać, ale zbyt mało tego jest na zwykłe potrzeby. Dlatego też zapoznałem się z miejscowym proboszczem, który bardzo się ucieszył, że do pomocy w parafii za niewielkie pieniądze jestem chętny. Ba, nawet po okolicznych parafiach dał znać, że jak potrzeba księdza na nagłe zastępstwo czy do rekolekcyjnej spowiedzi, to tu w Walimiu jest ksiądz-emeryt z samej Warszawy...

I tak w Adwencie czas prawie cały wypełniony mam spowiedzią po parafiach. Czas mi szybciej mija, czuję się potrzebny, a i parę groszy zawsze za to wpadnie. Tylko widzisz, jest jeden problem. Otóż po tych moich zatargach z Kurią, ja teraz nie potrafię kazań mówić, bo kłamstwem jakimś mi się wydają. Nawet radziłem się w tej sprawie proboszcza tutejszego. A on, bardzo serdeczny człowiek, pocieszył mnie, że widocznie potrzebuję czasu i sam Najwyższy da mi znak, gdy już będę gotowy aby znów w pełni być kapłanem.

Basiu! Zbliża się Boże Narodzenie. Życzę Ci wszystkiego co najlepsze. Radości z dzieci Waszych i wnucząt małych. Basiu, Ty nie miej żalu do Stasi, że ona tak szybko po ślubie dziecko urodzi. Ja wiem, że nas inaczej wychowywano. A Ciebie, to sytuacja ta szczególnie boli. Ale przecie Stasia męża ma. Ten Jurek to pracowity chłopak. Nieraz mi, gdym u Was na parafii był, to w gospodarstwie pomagał. Ja wierzę, że im się życie ułoży. Ale Ty Basiu wybacz jej to zapomnienie... Ona teraz bardzo potrzebuje matki, bo sama matką będzie. A wstyd przed ludźmi? Basiu! Zanim wnuczątko Wasze chodzić się nauczy, to ludzie już o innych sprawach plotkować będą. Tak już świat jest ułożony. I w ten świąteczny czas, Ty Stasię przytul do serca i ucałuj ode mnie. Bo ja pamiętam, że nam nie wolno było miłować... Dlatego takie zrozumienie dla Twojej Stasi jakież mam, choć żem ksiądz. Może i dlatego też, że moją imienniczką jest? Z powtórnymi życzeniami Twój niedobry Stach.

LIST XXVIII

Walim, 30 stycznia 1961 r.

Basiu!

Jest już koniec stycznia a ja..., a do mnie dopiero teraz dotarło to, że w całej Polsce, w szkołach, wycofano religię. Zgodnie z prawem zeszła ona do podziemi, lub, jeśli ktoś tak woli, do kościołów, salek katechetycznych i domów parafialnych. I gdzie są teraz te ugody, o których moi Przełożeni tyle mi tłumaczyli? Czemu polubownie nie dogadali się z Władzą? No powiedz, Basiu sama? Ja już nic z tej ich polityki nie rozumiem. I napiszę Ci więcej! Już nie chcę nic rozumieć!!!

W Walimiu od nowa szukam Boga. Teraz mam dużo czasu, aby z Nim rozmawiać. I wiesz? Wydaje mi się, że on mnie słucha i do mnie mówi. Tylko nie śmieję się tam, gdy będziesz czytała mój list. Bardzo Cię proszę, bo ja naprawdę znów chcę znaleźć Go.

Teraz, gdy jestem „emerytem”, zaczęło mi go brakować. Kiedyś, gdy byłem jeszcze młody, to wydawało mi się, że sama kapłańska suknia wystarczy, aby być bliżej Niego. Ale teraz wiem, że to nieprawda! Można codziennie odprawić kilka mszy i być od Najwyższego dalej niż analfabeta stojący w kruchcie.

Czasami, gdy idę na długi spacer i patrzę na ośnieżone góry, to czuję Jego obecność obok siebie. I tak idziemy we dwóch przed siebie. Ja Mu opowiadam o Tobie, o moich rozterkach, o życiu, które mi gdzieś tam minęło za szybko. A On tylko słucha i słucha i słucha... A potem wracam do swojej chaty, bo to nie dom jest Basiu, tylko chata, i padam na kolana i składam ręce do modlitwy i szepczę: A... B... C... I obiecuję Mu, że znów nauczę się wszystkiego od nowa. Bo jakoś tak wszystko zapomniałem... Chyba jestem już taki... nie niedobry, ale zapominałski Stach.

LIST XXIX

Walim, 28 czerwca 1962 r.

Basiu! Dawna z dzieciństwa przyjaciółko moja!

Już jest dobrze. W ubiegłą niedzielę, gdym był na zastępstwie w jednej z wałbrzyskich parafii, powiedziałem kazanie. To stało się tak zwyczajnie. Po prostu. Przeczytałem Ewangelię i poczułem w sobie Moc. To była Basiu Boża Moc. I gdy wypełniła po brzegi moją duszę, to wypowiedziałem bez zająknięcia, najpiękniejsze kazanie w moim życiu. Nie potrafię Ci Basiu teraz powtórzyć jego treści, ale mówiłem o tym, że Bóg zawsze jest obok nas. Że mijamy Go w szkole, w pracy, na ulicy, bo On jest w drugim człowieku. Nawet wtedy, gdy wydaje nam się, że ludzie są źli.

Ja sam chyba najlepiej wiem, do czego zdolny jest drugi człowiek. To ludzie zrobili ze mnie gównozercę! Skazali na paniczny strach. Wybili numer na rękę. Basiu, czy Ty wiesz, że podczas całej II wojny zamordowano 2779 kapłanów?! Ja, gdybym nie zmuszał się do życia, nie żarł własnego kału i nie rozmawiał wciąż z Tobą, to byłbym 2780 ofiarą w sutannie!

To człowiek skazał mnie na więzienie! I to też ludzie zabrali mi wiarę w to, w co całe lata wierzyłem! I nagle, wbrew wszystkiemu, powiedziałem jak człowiek potrafi być dobry. Bo skoro Bóg w nim mieszka, to musi być dobry!

Odnalazłem spokój. I jestem bardzo szczęśliwy, że gdy mnie kuszono, to nie uległem... Jam Ci nie pisał, ale byłem kuszony. Pewien Urzędnik, on nadal jest na stanowisku, więc nic Ci o nim nie napiszę, zachęcał mnie, abym porzucił służbę kapłańską, skoro Władza Duchowna, niczym Piłat, umyła ręce w mojej sprawie i zostawiła mój los w rękach Temidy. Proponował mi, to jeszcze było w więzieniu, że gdy przejdę na Ich stronę i będę w cywilu, to zemszczę się na Kurii Biskupiej, za to, że mnie samego zostawiła...

Innym razem proponowano mi, jako wyrzutowi Kościoła, że gdy zdejmę swą suknię, to dostanę mieszkanie, pensję pozwalającą na spokojne życie, może nie w bogactwie, ale bez strachu o jutro. Mówili mi:

– Ksiądz jest bardzo wykształcony... nam takich teraz trzeba...

*damy od ręki pomoc finansową, tak na pierwsze urządzenie się...
Przecież ksiądz teraz nie jest ani Ich ani Nasz, to My zapraszamy do
Nas!*

*Basiu, to była prawda. Ja nie czułem i nie czuję się nadal związany
w żaden sposób z Władzą Kościelną. Już wtedy byłem banitą. To, co
robiłem, było z przeznaczeniem dla zwykłych ludzi. Jestem kapłanem, bo
obiecałem to matce. Ona Ci życie uratowała. To, że mi je w pewien
sposób zabrała, to nie ma już najmniejszego znaczenia. Może sam się
wahałem... Może jednak czułem, że On mnie woła... ale nie po to, abym
zaprzeczał sam sobie! Nie mogłem czekać, gdy dzieci potrzebowały nauki
religii! I gdy Kierownik zaczął kpić ze mnie, z tego co robię
i udowadniać mi, że i tak te dzieci „przerobi się” na woły do roboty,
takie które nie muszą mieć duszy, to wtedy gniew mnie taki ogarnął
i dlatego go w twarz pięścią zdzielił!*

*Ja nie robiłem tego ani dla władzy kościelnej ani przeciw
państwowej. Ja jestem człowiekiem i tym jednym ciosem w twarz
Kierownika, chciałem uratować to, co wypełniło całe moje życie. Wiarę
w człowieka.*

*Ale nie jestem sprzedawczykiem! Takim co raz w jednym, raz
w drugim poniewiera się obozie. I dlatego, choć czułem pokusę aby się
zemścić na Przełożonych, to jednak nie sprzedałem swej duszy! I dziś
mogę Ci napisać, że dobrze zrobiłem, iż nadal jestem księdzem, choć
banitą, bo wygnanie me, wbrew oczekiwaniom, stało się mą nagrodą!
Na wygnaniu tym powoli odnajduję i Boga i siebie samego. Wiara mi
w tym pomaga. Zatem z wiarą Cię pozdrawiam. Stach.*

LIST XXX

Walim, 28 lipca 1971 r.

Basiu! Nadal najdroższa mi na tej ziemi!

*Coś mi się ostatnio zdaje, że Sodoma i Gomora w naszym kraju
rozkwita. Czyś Ty zauważyła, jak ubrane teraz do kościoła przychodzą
młode dziewczęta i trochę starsze niewiasty? Nie wiem jak tam u Was,*

w okolicach stolicy, ale tu, na co dzień, widuję kobiety ubrane jednako do opalania, na ulicę czy do kościoła też! Co ja piszę, Basiu! One nie są ubrane! One są teraz niemal rozebrane!!! Zamiast sukienek i sukni, noszą takie wążutkie przepaski na biodrach. A czasami te ich zwiewne stroje są tak przezroczyście, że aż nieprzyzwoite! Ja stary, a czasami wzrok odwracam, bo to jakoś tak razi mnie. Mam tylko nadzieję, że Ty Basiu nie zwariowałaś na stare lata i modzie tej nieprzyzwoitej nie uległaś? A Twoje córki? Czy i one taką modą zachłystują się? A może jednak nic mi o tym nie pisz, bo moda to moda, i żadna z Was raczej nie chce od innych odstawać.

No tak! Coraz bardziej starzeję się. Pochyliłem się bardzo, posiwiałem i o kostur opieram się, gdy idę do sklepu po większe sprawunki. Czas robi swoje. Ale nie Tobie Basiu! Jak patrzę na te zdjęcia, co mi to ostatnio przesłałaś, to nie widzę tam starszej niewiasty. Co najwyżej dojrzałą matronę! Ale jaką czerstwą, jaką rumianą! I jak Ci Basiu do twarzy w tych garsonkach, co ci Krawca Stach szyje. Jakie to dziwne, tyś go na ten świat sprowadziła, a on teraz zięciem Twoim jest. Czy pomyślałaś o tym, że tak może się stać, gdyś się bała, że jego matka i on sam, może umrzeć w Waszej komorze? Pewnie nie. Takie to nasze życie jest. Nieprzewidywalne i pełne niespodzianek. Ale Krawca Stach, to taka dobra „niespodzianka”, prawda Basiu?

Jakaś taka inna teraz jesteś, chociaż niby taka sama... A, i włosy krótkie teraz masz. Żal mi tych Twych warkoczy, żal. Ale tak, ja pamiętam, dlaczego Ci zmarniały. Cóż, Bóg jedno daje, drugie zabiera. Dał Ci dzieci gromadę, a zabrał młodość i urodę. To i tak dużo dał! Jam tyle chyba od Niego nie dostał. Albow nie potrafił brać, gdy co dobrego dawał?

Tyle co teraz mam, to moją chatkę nieco poprawioną i podszykowaną. Czym ja Ci Basiu pisał, żem sobie taki mały czarodziejski ogródek wokół niej wyczarował? Bo jakoś tak nie pamiętam.

Mam w nim jeziorko małe, całe nenufarami obrośnięte. I żaby wieczorami w nim koncerty urządzą. Zupełnie jak na gliniankach na Dziesiątej Wsi. I trzciny je gęste porastają i wielkie pałki wodne tam się brązowią. A i nieraz dzieciaki z Walimia podkradają mi się, bo te pałki

bardzo ale to bardzo im się podobają. Bo jak je paznokciami poszczypią, to puch się z nich sypie niczym ze skubanej gęsi! To i ja za bardzo na te ich psoty nie krzyczę, tylko jak którego na swoim ogrodzie przyłapię, to tylko klękać karzę i z pacierzy wszystkich pytam! To przecie pożyteczna kara, prawda Basiu?

Nad jeziorkiem altanka, taka bardzo romantyczna, stoi. Cała bluszczem i dzikim winem porośnięta. I tam, w upały wielkie sobie siadam i brewiarz czytam. A i listy od Ciebie Basiu, też tam zawsze wielokrotnie odczytuję.

I róże. Basiu! Białe, czerwone, różowe, żółte róże sam hoduję, pielęgnuję a gdy pięknie rozkwitną, to do kościoła, przed ołtarz noszę i za swe życie dziękuję. Bo choć nieraz gorzkie było, to jednak zawsze żyć bardzo chciałem! To i mam za co dziękować i dla kogo róże pielęgnować.

Tak więc moja Basiu, ja tak starość pędzę. Bardzo spokojnie, powoli, prawie romantycznie. Powiesz: stary dziad i w dodatku ksiądz, a takie banialuki pisze! Tak, tak ja sobie żyję. Choć i ja jeszcze jedną tajemnicę mam, ale czy Ci o niej pisać, to sam nie wiem, bo to prawdziwa tajemnica i nic w sobie ze starczych banialuk nie ma! Korci mnie, żeby Ci Basiu o niej napisać, ale może jeszcze trochę później, jeszcze później... jeśli tylko zdążę. Stach.

LIST XXXI

Walim, 30 września 1971 r.

Basiu, najdroższa przyjaciółko lat młodości straconych!

Winny jam Ci napisać o mej tajemnicy. Jam się długo miarkował, czy to wyznać, ale co tam! Życie nam się powoli kończy, a do trumny to tak głupio za dużo tajemnic zabierać.

Basiu! My tu, w Walimiu, wielkie tajemnice mamy. Pod wioską, od samego Książa, podziemne tunele idą. Łączą one różne sztolnie, w których kiedyś gwarkowie wydobywali rudę srebra, a podczas II wojny światowej straszne rzeczy tam się działy.

Niemcy w wielkiej tajemnicy prowadzili tu różne inwestycje. Różnie ludzie mówią, a tak naprawdę, to mówić nie chcą, bo jeszcze się boją, ale ponoć rakiety V-2 mieli tu produkować! A i o planach bomby atomowej też słyszano.

Niemcy więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen do straszliwej pracy przymuszali. Ludzie ci musieli w litej skale drążyć tunele i komory. Nie muszę Ci chyba Basiu pisać, że praca ta pochłonęła wiele tysięcy istnień ludzkich... bo to nic nowego, jeśli mówi się o II wojnie. Krwawa ona była, krwawa!

Ale nie o to mi chodzi. Ale o naszą tajemnicę. Otóż Basiu, pod koniec wojny Niemcy część pomieszczeń i korytarzy wysadzili w powietrze, aby ukryć to, czego nie zdążyli wywieźć do Rzeszy.

I my teraz tego cichaczem szukamy. My, czyli ja, proboszcz walimski, Kierownik tutejszej szkoły i paru jeszcze wtajemniczonych mieszkańców Walimia. Powiadają, że w tych tajemniczych tunelach ukryta jest Bursztynowa Komnata carów ruskich. Tak Basiu, ta sama, co to, nie wiadomo gdzie wywieziona została.

Tylko widzisz Basiu, my w tajemnicy od lat kilku robimy te nasze ekspedycje, bo to zabronione jest. Tylko ci, którzy mają specjalne pozwolenia, mogą bezkarnie przemierzać podziemne tunele. My tych pozwoleń nie mamy... jam ksiądz – banita, proboszcz – kapłan, Kierownik – niepolityczny... Niezła grupa, prawda Basiu? I dlatego wszystko w tajemnicy się odbywa.

W podziemiach kościoła my sprzęt nasz i specjalne ubrania chowamy, aby nikt ich nie zobaczył. I do sztolni w mroku nocy się udajemy, wyposażeni w latarki i lampy karbidowe. Basiu! Jakie to przeżycie jest, gdy tajnymi tunelami, w chłodzie wielkim, idzie się przed siebie i człek nie wie, co go po drodze zaskoczy, czy głaz jakiś leżący, czy żyjátko jakieś pod nogami się porusza. Dziwy wielkie tam są, dziwy.

A ze skarbami co zrobimy, gdy je znajdziemy? Oj, pomysłów każdy ma aż za wiele. Walim to wioska uboga, wśród gór skryta. Inaczej tu, niż u was pod Warszawą. Biedniej. To i skarby by się przydały. I to jeszcze jak! A póki ich nie ma, to my chociaż marzenia mamy i dla nich żyć chcemy. Dobrze i to. Dobrze. I tej dobroci na kres życia naszego życzę i Tobie. Twój niedobry Stach.

LIST XXXII

Walim, 15 lutego 1986 r.

Basiu!

Dziwię się trochę, dlaczego dopiero teraz piszesz, abym Ci Twoją cygańską historię opowiedział. Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Twojego? Czy też raczej z narodzinami kolejnej wnuczki? Zadaję sobie te pytania i nie znajduję odpowiedzi. Ale gdy patrzę w lustro i widzę zgarbionego starca, o białych jak mleko włosach, to wtedy przestaję zadawać pytania i myślę raczej o tym, że być może, już niedużo czasu zostało nam tu, Basiu... Oboje jesteśmy u schyłku. Dlatego postanowiłem Ci, na Twoją dziwną prośbę odpowiedzieć, tak szczerze i dokładnie jak tylko mi na to pamięć pozwoli. Tylko nie wiem, co Ty Basiu z tą prawdą zrobisz?

Wtedy, gdym do seminarium iść nie chciał, matka moja, klęcząc przed Świętym Obrazem, wyznała mi, dlaczego nie mogę Cię miłować. A potem przysięgać kazała, że prawdy tej nie wyjawię nikomu i na księdza pójdę. Jam młody był i głupi. Przysięgę złożyłem przed wizerunkiem Najświętszej Paniienki, bom się wtedy oburzył, że pokochałem Cyganichę. I nieraz potem żalowałem. Bo złość minęła. Rozum wrócił i żalu mieć do Ciebie nie mogłem. Bo jak? Jeśli ktoś tu zawinił, to ani Ty ani ja... A przysięga, święta rzecz i łamać jej nie wolno! Ale teraz już za późno, aby stare żale wyciągać. Mnie pochowają w księżej sukni, samotnego w tej ostatniej drodze, tak jak i całe życie. A Ciebie całować martwą będą dzieci Twoje, wnuki a może i prawnuki, kto wie? Dla nich to nic by nie znaczyło, że cygańską krew im dałaś, bo Cię kochają. Ale tak na wszelki wypadek, historii tej im nie opowiadaj, bo straszna trochę jest!

Matki nasze, moja i Twoja, mieszkały tam, gdzieśmy się wychowali, na Dziesiątej Wsi, nad brzegiem Bzury. Kolegówny były od urodzenia i bardzo tej swojej przyjaźni strzegły. Ale Twoja matka, gdy za mąż wyszła, to wysokie ciążę traciła. Aż ją Świekrowie i ojciec Twój

wyzywali, że pożytku z niej nie ma, że chorowita taka i żywego dziecka urodzić nie może. I żaliła się mojej, co jeszcze panienką była. A moja matka bardzo jej współczuła, tylko pomóc nie umiała, bo jak?

Tabory cygańskie wtedy często nad rzeką obozowały. Dla nikogo to dziwne nie było. Teraz to nikt już nawet nie wie, jak to wyglądało, te ich wozy, obozy, ogniska i tańce nad brzegami rzek. Ale wtedy to dzieciaki z całej wsi podglądały ich i dorośli też, bo widok był naprawdę niezwykły!

Tak też się raz złożyło, że matka Twoja znów wysoko brzemienną była i sama w chacie, tylko z matką moją, została, bo Świekrowie i ojciec Twój na wesele daleko, bo aż za Łowicz pojechali a jej nie wzięli, bo bali się aby przez drogę znów dziecka nie straciła. A ona, gdy cebrzyk z wodą podniosła, aby świniom pić dać, to jednak krwotoku dostała. Matka moja wtedy u niej była i wyrzutów takich dostała, że jej dźwigać pozwoliła, że z żalu tego prosto nad rzekę pobiegła aby utopić się...

Ale nie utopiła, bo po drugiej stronie rzeki obóz Cyganie rozbili. I z tamtej strony hałas dziwny, inne niż zazwyczaj dochodziły. Zaciekawilo to matkę moją i po kładce, cichaczem, do nich się zakradła. A tam jakieś święto szykowano. Ognisko wielkie było. I maciora sprawiana była. Ta sama, co dzień wcześniej któremuś chłopu we wsi zdechła, a że nie wiedział na co, to nikt nie odważył się mięsa z niej jeść i za rzekę ją łódką wywieźli i na drugim brzegu do dołu wrzucili, a Cyganie ją wyciągnęli i sprawiać zaczęli... Hałas i rwetes był nie do opisanie. Tak przynajmniej matka moja mi opowiadała. Ale w pobliżu miejsca, gdzie mama się ukryła, tak na końcu obozu, usłyszała cichutkie jęki kobiety.

Mama, w szoku przecie jakimś, skoro topić się chciała, poszła w tamtą stronę. A tam, za wozami, na gołej ziemi leżała cygańska dziewczucha. Młoda bardzo, ale już prawie rodząca, jak to u Cyganów często bywa. Bo oni to przecie i dziewczynki za mąż wtedy wydawali. I ona matkę moją zawołała i o pomoc prosiła. Matka moja zdziwiła się, bo przecie Cyganów kilka wozów było i bab też dużo, a ona ją do pomocy przy porodzie wołała. Ale podeszła i dziewczynie pomagać zaczęła. A ta ją tylko prosiła, aby dziecko zaraz do wsi zabrała i gdzieś ukryła, bo ona czuła, że umrze. Matka moja nic z tego nie rozumiała. Ani

po co ta się schowała, skoro w obozie święto jakieś, ani daczego dzieciaka zabierać prosi. Ale zrozumiała, gdy Cyganka urodziła. Dziecko to, dziewczynka, nie było takie jak wszystkie cyganiaki, śniade, ciemne. Dziewczynka była jasna, łysa prawie. I to była ta tajemnica! Ojcem małej nie był Cygan, tylko jakiś Nasz. A matka dziecka, śmierć czując, bała się, jaki los będzie czekał jej córeczkę, gdy jej mąż zorientuje się, że dziecko nie jest jego. I zanim matka moja coś powiedziała, małą nagą na rękach trzymając, to Cyganka krwotoku nagle dostała i za kilka chwil skonała. I przeraziła się matka moja tego trupa i tego co się stać może, gdy ją obok niej zobaczą. Nie myśląc wcale, dziecko w halkę własną zawinęła, trupowi oczy zamknęła i tą samą drogą do wsi uciekła. Tylko ledwie przez rzekę przeszła, bo kładka chwiejna była a matka przerażona bardzo, więc momentami kładła się na niej aby nie spaść do wody. Bo chociaż pływać potrafiła, to jednak dziecko by się pewnie utopiło.

Nie miała gdzie z cygańskim dzieckiem iść. Jedyne co jej przyszło na myśl, to do chałupy Twojej matki się udać, bo tam, oprócz tej w łóżku leżącej, nikogo nie było. I poszła tam. I położyła dziecko obok Twojej matki, a ta, z bólu oczy otworzyła, a gdy dziewczynkę zobaczyła, to zaraz do piersi przystawiła. Taki jakiś ten odruch macierzyński miała, że chociaż jej martwe w sieni leżało, w płótno tylko zawinięte, to głodnemu noworodkowi jeść dała. I wtedy matka moja zdecydowała, że tamto martwe zakopie gdzieś za wsią, a Świekrom i Twojemu ojcu powiedzą obie, że tym razem żywe się uchowało. I tak się Twoja matka zgodziła. Ciebie, bo to Tyś tym cygańskim noworodkiem była, za swoją córkę wzięła. A że podobno tamta Cyganka bardzo młoda była i Tyś malutka się urodziła, to jakoś Twój ojciec i jego starzy uwierzyli w matki mojej zapewnienia, że sama poród odebrała i żeś ich wymodlonym dzieckiem. A że, jakby za dotknięciem Boskiej ręki, Twoja matka potem co roku żywe dzieci rodzić zaczęła, to i nikt szczególnych podejrzeń nie miał. A moja matka zaraz za organistę za mąż poszła i wielkie poważanie we wsi miała, a Ciebie szczególnie kochała, to i nawet na twoje kruczoczarne włosy nikt głośno nic nie mówił... Chociaż niektórzy to trochę pogadywali, iż dziwne to coś były narodziny gdy Cyganie po drugiej stronie rzeki wielkie święto mieli... i w miejscu gdzie chłopi padłą maciorę zagrzebali, to potem zwłoki młodej Cyganki znaleźli, tylko

piachem przysypane... Ale to czasy inne były. I nikt dochodzenia nie robił, tylko na cmentarzu, pod płótem, ciało jej pochować ksiądz pozwolił. Bo to nie po katolicku, aby tak na zwierzęcym cmentarzysku, człowiekowi leżeć kazać...

O! I taka to prawda! Matka moja tajemnicę trzymała, aż na nieszczęście jej, ja Cię umiłował. I na księdza, jak to już z Proboszczem było ustalone, iść nie chciałem. I ona mi wtedy powiedziała, że Ci życie ocaliła, że rodziców dała i kocha bardzo, ale nigdy, przenigdy, za synową Cyganki nie chce... I tak Cię mi przez chwilę obrzydziła, tak rozpacz wywołała, żem ja przysięgę złożył... I na księdza poszedł... Ale na miłowanie, to żadne przysięgi nie pomogą... I mi też nie pomogły, nie!

A potem, w Oświęcimiu czekałem na śmierć razem z tysiącami Żydów, Romów, Polaków... Byłem jednym z wielu, którego kości miały stać się popiołem, którego ciało miało być przerobione na mydło... I wtedy nie miało to już dla mnie znaczenia, że byłem kimś lepszym – Polakiem, księdzem. Tak jak wszyscy, do ostatniej minuty, chciałem walczyć o życie. Zżerałem własny kał, aby tylko żołądek pracował... I zacząłem pisać do Ciebie, do Cyganki, Basiu. Pisałem listy w moich myślach. Wciąż. Każdego dnia. W każdej minucie opowiadałem Ci, że nie ma ras, narodowości, grup. Wszyscy jesteśmy ludźmi, którzy chcą żyć.

W nocy, na twardych dechach, głodny, drętwy z zimna, śniłem o Twoich czarnych warkoczach. I chociaż byłem już księdzem, a Tyś miała męża, to dla mnie wtedy to nie był grzech.

Te sny, te listy pisane w myślach, one uratowały mi życie. Dlatego przetrwałem. I właśnie wtedy obiecałem sobie, że jeśli przeżyjemy, to już zawsze będę gdzieś tam, obok Ciebie... Choćby dzięki listom. Udało się! Dotrzymałem i tej obietnicy. Bo ja, Basiu, w Oświęcimiu, zrozumiałem, że życie ma się tylko jedno... Że małżeństwo, owszem, jest święte, ale czy przyjaźń jest grzechem? Jeśli przyjaźń buduje a nie niszczy, to czy jest zła?

Te sny... Biegłaś zawsze tą samą ścieżką, w stronę Bzury. Nie widziałaś mnie, dlatego w biegu rozplatałaś warkocze... Cygańsko czarne włosy, falami sływały Ci do pasa. Wiatr rozwiewał je. Wirowały wokół twej twarzy... i ja chciałem je chociaż dotknąć... i nie mogłem...

budziłem się... zrozpaczony ale jeszcze żywy...

A potem, gdy już nie miałaś siły rodzić więcej dzieci, pisałaś mi, że Ci włosy wypadają. A dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Dla mnie mogłaś być całkiem łysa... Mi nie przeszkadzało, że nie masz zębów...

Nie wiem, po co chciałaś znać tą straszną prawdę. Nie wiem. Ale pamiętaj, bez względu na wszystko, że Basia Cicha, to nie tylko Cyganka, Polka, matka, babka, ale przede wszystkim moja jedyna przyjaciółka. Tak ja zawsze o Tobie myślałem i będę myślał! Aż do śmierci! Stach.

*

– Teraz wszystko rozumiem!

Paweł jak zahipnotyzowany spogląda na moje włosy. Potem odkłada list na blat i dłońmi dotyka upiętego koka. Siedzę nieruchomo i czekam, co będzie dalej. Paweł gładzi mnie po włosach. Potem odpina dużą klamrę i czuję, jak włosy spadają na nagi kark. W rozpuszczone włosy wplata swoje palce i delikatnie przeczesuje je nimi.

– Zastanawiałem się – jego głos jest nienaturalnie chrapliwy – farbujesz je czy też naturalnie są tak ciemne...

– Teraz już wiesz... naturalnie... po cygańskich pradziadach.

Wyjmuje palce z włosów i wtula w nie twarz. Nadal siedzę bez ruchu. W końcu robi mi się głupio.

– Paweł – protestuję. – One śmierdzą przepalonym olejem...

– To mój olej i lubię, jak nim pachniesz! Czy ty myślisz, że facetów kręcą tylko francuskie perfumy?

– Nic nie myślę! – Poderwałam się gwałtownie ze stołka.

Najwyraźniej poczuł się odrażony, wziął z blatu list i włożył go do koperty.

– Oj, ty Cyganicho... Cyganicho... Zaplótłbym ci warkocz, a potem... trzymał za niego.

LIST XXXIII

Walim, 14 kwietnia 1986 r.

Basiu!

W ostatnim liście zapytałaś się mnie, czy imię Beata jest ładne? Tak, wiem, to imię Twojej najmłodszej wnuczki. Tej, co urodziła się w Adwencie. Myślałem długo, co Ci odpisać. Nawet specjalnie, w tym celu, aby poznać znaczenie tego imienia, wybrałem się do biblioteki w Wałbrzychu, i tam, w czytelni, przeglądałem wszystkie dostępne źródła, almanachy i imienniki.

Imię Twojej wnuczki jest pochodzenia łacińskiego, od słowa Beata (błogosławiona, szczęśliwa). Oznacza osobę, której się szczęści, dobrze wiedzie lub która jest bogata. Kobieta o tym imieniu jest poważna, troskliwa, szlachetna. Zajmuje się filantropią. Jest to dla niej dziedzina idealna, albowiem dzięki niej znajduje upływ jej energia życiowa, a wielki temperament spożytkowany zostaje dla dobra ogółu. Ceni sobie spokój, a w życiu kieruje się głównie uczuciem. Uwielbia przyrodę i podróże, w związku z czym, często przebywa poza domem. A gdybyś jeszcze chciała wiedzieć, jak można to imię zdrabniać, to już Ci piszę. Otóż Beatę można zwać: Beacia, Beatka, Becia, Biechna, Bieta, Beta, Betka... To tyle podają w „Imienniku”, a ja od siebie dodałbym jeszcze jedną formę tego imienia (tylko się Basiu nie obraż na mnie!), po prostu BE-Łata. A dlaczego tak? Bo nie dość, że BE, to jeszcze i ŁATA!!

Wybacz mi ten żart, ale to nie imię zdobi człowieka, tylko człowiek jest ozdobą imienia! Dlatego Twoje pytanie trochę mnie rozśmieszyło. Nie wiem, jaka będzie Twoja wnuczka. Nie wiem, jak będzie żyła. Ty też tego Basiu nie wiesz! Może będzie tak silna i dzielna jak TY? Wtedy to imię będzie wspaniałe i godne szacunku. A może wręcz przeciwnie, będzie słaba, lękliwa i płynąca z falą? I co wtedy? Co?

Przy okazji, w tej bibliotece, przeczytałem jeszcze o Twoim imieniu. Barbara powinna być niespokojna, tajemnicza, pewna siebie i lojalna... Więc odpowiedz sobie sama, czy Ty Basiu jesteś taka czy też nie? A ja? Stanisław to człowiek sceptyczny, krytyczny, energiczny, kocha pieniądze... No właśnie! Masz Basiu moją odpowiedź. Nie wierzę w znaczenie imion i nie potrafię jednoznacznie określić czy imię jest ładne czy też nie!

Ale zanim się na mnie obrazisz, to najpierw mi napisz, jaka ona

jest, ta Twoja Be-łata? Pewnie śliczna jak jej babcia będzie? Aż żal, że jej pewnie nigdy nie zobaczę. Choć... może... kto wie? Z tą nadzieją na choć ostatnie spotkanie podpisuję. Twój niedobry Stach.

*

Paweł parska śmiechem. Potem kończy pić zimną już kawę. I cały czas się śmieje. Tak, wiem! Ładnie mnie podsumował ten książdz. Jeszcze nawet mnie nie zobaczył, a już był pewien, że nie sprostam zadaniom, jakie niesie ze sobą moje imię.

– Nie przejmuj się tak, Be-łato. On przecież sobie żartował z Basi.

Niepocieszona, myję kubki i powoli zbieram się do wyjścia z budy. Jest już późno. Pewnie chłopcy czekają na mnie. Dla nich jestem mamą, matką, mamusią, a nie żadną Be-łatą! Pieprzony Stach! – myślę sobie. Jak mu łatwo było wydawać wyroki! Jak łatwo kpić z mojej babci!

– Be-łato... Be-łato, twoje imię jest piękne... i ty też. – Paweł powiedział to bardzo poważnie. Tak poważnie, że prawie uwierzyłam w jego słowa. Pogłaskałam go po policzku i powoli wyszłam z budy. Nawet nie powiedziałam mu cześć. Nie musiałam, byłam pewna, że i tak się jeszcze dziś gdzieś spotkamy.

CZEŚĆ III

Warkocz

*

Wróciłam do domu. Od drzwi poczułam odór wódki i kwaśnego chleba. Tylko nie to! – pomyślałam. Jak nic Kuba pije!

Miałam rację. Siedział przy kuchennym stole i był już mocno wstawiony. Kiwał się na krześle w przód i w tył. Jakby był upośledzony, a nie pijany. Zauważył mnie.

– I co, pani Frytko? – wybełkotał. – Jak tam Pawełek? Kocha cię choć trochę? Może zadzwoń po niego, miałbym z kim wypić?

– Zamknij mordę! – Nie panowałam nad sobą. – Gdzie są chłopcy?

– A co mnie, kurwa, oni obchodzą? Twoje bachory, więc sobie pilnuj!

Wybiegłam z kuchni. Zaczęłam wołać, ale nigdzie ich nie było. Coś mnie tknęło. Kuba po prostu nie odebrał chłopców ze świetlicy. Ale dlaczego? Przecież zawsze odbierał!

Nawet nie spytałam go, co się stało. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do szkoły. Boże! Jak już późno! Prawie wpół do piątej. Świetlica już dawno nieczynna. Co się z nimi dzieje? – myślałam, jadąc tam. Nawet nie wjechałam na parking. Zostawiłam samochód tuż pod bramą podstawówki i nie zamykając go, pobiegłam do budynku.

Siedzieli na ławce obok kanciapy sprzątaczek. Nie wyglądali na szczególnie zmartwionych. Jedli z apetytem kanapki z sałatą. Obok nich, na ławce, stały dwa garnuszki z herbatą, a na krzeselku naprzeciw siedziała długowłosa dziewczynka z najbardziej czarnymi włosami, jakie w życiu widziałam. Nie spojrzałam na jej twarz, ale i tak byłam pewna, że widzę Aiszę.

– Konrad... Patryk... – Głos uwiązał mi w gardle. Z kanciapy pod schodami wyszła Anka Muzyczne Usta. Uśmiechnęła się i uprzedzając moje tłumaczenia, powiedziała:

– Nic nie szkodzi! Każdemu się może zdarzyć. Aisza prawie codziennie siedzi tu i czeka, aż skończę sprzątanie.

– Ale, ale... Kuba miał ich odebrać.

– Kuba? – Anka posmutniała. – Tak, chyba był tu, ale jak zobaczył twoich chłopaków z moją córką, tylko obrócił się na pięcie, trzasnął drzwiami i wyszedł ze szkoły.

– Boże – wyrwało mi się – dlatego...

– Co?

– Upił się w trupa.

Anka gestem dłoni zaprosiła mnie do czeluści kanciapy. Tam padłam na jakiś taboret. Zamknęła drzwi. Wiedziałam, że kiedyś do tego dojdzie, do tej rozmowy.

– Beata, czy on tak do końca życia będzie mnie nienawidził?

– zapytała, choć pewnie nie powinna, bo co jej mogłam odpowiedzieć.

– Nie wiem, Aniu. Naprawdę nie wiem.

Zaczęła płakać. Siedziałam obok niej i nawet nie próbowałam jej pocieszać. Sama sobie była winna. Romans z Arabem, tu, w Starszym Folwarku, nie był częstym zjawiskiem. I tak mogła być wdzięczna losowi, że czasy się zmieniły i nikt Aiszy nie dokucza. Pani dyrektor była dobra, dała Ance pracę w szkole. Czego ona jeszcze płacze?

– Beata, czy już całe życie tak będzie? – zaszlochała.

– Jak?

– No... że każdy facet, który może i chciałby być ze mną, najpierw patrzy na moją córkę, a potem obraca się na pięcie i znika, trzaskając drzwiami?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. – Tylko tyle potrafiłam jej powiedzieć. Złamała mojemu bratu serce. Wszyscy się z niego śmiali, że widocznie Arab dłuższego miał, skoro Anka go wołała. Teraz ona się dziwi, że żaden tutejszy jej nie chce. Przecież wystarczy spojrzeć na Aiszę i od razu wiadomo, z kim sypiała jej matka! Mała ma czarne jak sadza włosy, smagłą, oliwkową cerę. Co z tego, że na imię ma Agatka, jak wszyscy, z księdzem proboszczem na czele, mówią do niej Aisza.

Ale skoro na jej widok Kuba musiał się upić, znaczy się, że Anka Muzyczne Usta nie jest mu obojętna. Oboje są samotni, może... kiedyś... kto wie?

*

Dlaczego on ciągle tak do tego wracał? – zastanawiam się już od kilku tygodni. Był księdzem, śmierć wpisana była w jego życie. A jednak wszystko, co go spotkało, wygryzło w jego sercu jakąś straszną ranę. Ciągle o tym myślę. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? I nie znajduję odpowiedzi.

Jestem właśnie w bibliotece. Wypożyczam dla chłopców lektury. Już same tytuły mówią, że nie będą chcieli ich czytać. *Pinokio* czy *Tajemniczy ogród* nie wydają się najlepszą lekturą dla dwóch zadziornych chłopców. Pakowałam książki do torby, gdy nagle coś mnie tknęło.

– Przepraszam! – powiedziałam prawie szeptem do bibliotekarki, wyciągającej karteczki z drewnianej szufladki. – Przepraszam, ale czy mogłaby mi pani polecić coś do czytania o Oświęcimiu?

Pani Maria podnosi się i nawet nie pyta, czy chodzi mi o przewodnik, czy o coś innego. Znika pomiędzy regałami, a po chwili przynosi cały stos książek. Kładzie je na stoliku obok swojego biurka.

– Na początek tyle. Sama coś sobie, Beatko, wybierz.

Biorę każdą z nich do ręki i odczytuję tytuły: *Opowiadania* Borowskiego, *Medaliony* Nałkowskiej, *Zdążyć przed Panem Bogiem* Krall – te znam z czasów technikum. Następne tytuły nic mi nie mówią. Wybieram *Listy miłości* Nurowskiej, *Kadysz za nienarodzone dziecko* Kertesza, *Pianistę* Szpilmana, chociaż przypominam sobie, że oglądałam go w kinie. Na razie tyle. Wyciągam z wybranych książek karty i podaję bibliotekarce. Nie pyta mnie o nazwisko, dobrze je pamięta. Oczywiście panięskie. Nadal mam kartę na nazwisko Cicha. Śmieszne, ale go nie zmieniłam. Nie powiedziałam jej, że od jedenastu lat nazywam się inaczej. Jeszcze śmieszniejszy jest fakt, że Kuba przez te wszystkie lata wypożyczał książki na moją kartę. Dowiedziałam się o tym, gdy po powrocie do Zwierzyńca odwiedziłam bibliotekę w Starszym Folwarku.

– Nareszcie się pojawiłaś, Beatko! – Pani Maria nie kryła radości na mój widok. – Tyle razy pytałam Kubę, kiedy wreszcie sama przyjdiesz wypożyczyć coś, a on ciągle mi tłumaczył, że ciężko ci się wyrwać z Osady.

Postawiłam oczy ze zdumienia. O czym ona mówi? Nie bardzo rozumiem.

– Pani Mario? Kuba wypożyczał dla mnie książki? Naprawdę?

Pani Maria spojrzała na mnie znad eleganckich złotych oprawek okularów. Najwyraźniej zmieszana się.

– Tak mi się wydawało, że dla ciebie... same romansidła brał.

Nie pytałam o nic więcej. Podziękowałam za wypożyczone książki. Powiedziałam do widzenia i wyszłam z biblioteki. Domyślałam się, dlaczego Kuba wypożyczał książki na moją kartę. Po prostu wstydził się pani Marii. Dopiero wtedy skojarzyłam, skąd w Zwierzyńcu brały się harlequiny i romansidła Danielle Steel. Po prostu Kuba najwyraźniej w ten sposób kompensował sobie brak miłości w swoim życiu. Nawet go rozumiałam. Kiedy nie ma się do kogo przytulić, dobrze jest chociaż o tym poczytać. Szczególnie gdy każda historia kończy się bajkowym happy endem.

Czytam tylko w barze. Wtedy, gdy nie ma zbyt wielu klientów, a wszystko jest gotowe, by szybko zrobić hot doga czy zapiekankę. Czytam, czytam i czytam. Przerażający ogrom Holocaustu momentami ściska mnie za gardło. Boli jak jasna cholera. Płaczę, gdy wyobrażam sobie sceny mordowania dzieci i ciężarnych kobiet. Coraz bardziej rozumiem, jakie piętno pozostawił po sobie Oświęcim w życiu tamtego człowieka. On wszystko widział. Ba, sam to przeżył.

Szokowały mnie opisy, jak z głodu jadł własne odchody. Ale on i tak pisał bardzo delikatnie. Oszczędził babci tylu strasznych scen, które przecież każdego dnia widział. Znał ją dobrze. Wiedział, że opisy noworodków, będących tylko materiałem do bestialskich doświadczeń, spowodowałyby straszne spustoszenia w jej psychice. Wolał pisać o swoim odczłowieczeniu. Zwodził ją tym przez całe lata. Wracał do jednej sceny, wciąż i wciąż, i wciąż. Jednak nosił w sobie ból tamtych scen. Nie mógł o nich zapomnieć. Aż dziw, że nie popełnił samobójstwa, jak wielu tych, którzy najpierw spisywali całe tomy wspomnień. Opisywali nieludzkie okrucieństwo. Rozdrabniali je. A potem, nagle, tak znienacka, znajdowano ich martwych we własnych mieszkaniach. Widocznie nie udźwignęli tego ciężaru. Ciężaru swoich wspomnień.

Stach sobie poradził. Podniósł się, chociaż z garbem na plecach. I potem szedł, zawsze tuż obok mojej babci. A ona? Tak mało jej listów ocalało. Czy i ona szła obok niego? Muszę się tego dowiedzieć. Póki

żyją jeszcze moje stare ciotki. Ale to potem. Kiedyś. Teraz dalej czytam i czytam, i opłakuję te wszystkie dzieci, które szły do komór. Dziwne, wzruszają mnie głównie dzieci i ciężarne. Nie myślę o tych wszystkich mężczyznach, którzy też tam byli. Jakbym dla nich nie miała żadnych uczuć.

– Beatko? – Usłyszałam zza regałów głos pani Marii. – Może chciałabyś poczytać jeszcze o Holocauście? Mam taki segregator, do którego wkładam materiały z różnych źródeł. Zasadniczo podsuwam je maturzystom, ale skoro od miesiąca nie czytasz nic innego, jak tylko o wojnie, może cię to zainteresuje.

Podeszłam do bibliotekarki. Spojrzałam na gruby czerwony segregator i kiwnęłam głową, na znak, że chcę. Pani Maria podała mi go, potem wskazała miejsce przy stoliku. Tak, ta jej niby-czytelnia, gdzie całe godziny spędzałam, przygotowując się do matury z historii. Uśmiechnęłam się do niej i usiadłam na wskazanym miejscu. Zaczęłam czytać. Po chwili łyzy ciekły mi ciurkiem, a pani Maria dyskretnie podała mi paczkę chusteczek higienicznych. Tak po prostu. A kiedy skończyłam czytać, wyjrzałam przez okno i pierwszy raz od wielu miesięcy zauważyłam, że świat jest naprawdę piękny. Potem pomyślałam, że o to właśnie chodziło Pawłowi. Taki miał cel. Oderwać mnie od ciągłych rozmyślań o Michale i porażce, jaką poniosłam. Nie wiem, skąd przyszło mu do głowy, że jak poznam dramatyczne losy mojej babci i jej przyjaciela, to inaczej spojrzę na swoje problemy, ale dobrze to wymyślił. Babcia Basia i ksiądz Stanisław mieli w życiu dużo trudniej, a i tak przetrwali. W porównaniu z tym, co oni przeżyli, moich kłopotów nie można nawet nazwać drobiażdżkami. Ja nie mam pojęcia, czym jest prawdziwy strach, ból, głód czy cierpienie. Zatem nic nie stoi na przeszkodzie, żeby i mnie się w życiu poukładało.

*

– No proszę! – Ciocia Zośka z niedowierzaniem przegląda listy babci i Stacha. – Mnie się wydawało, że ojciec wszystkie je zabrał matce i pod fajerką spalił. Taki zazdrosny o nie był. A te? – Pokazuje na kartki zapisane babci pismem. – Skąd je masz? Przecież ksiądz Stanisław zmarł gdzieś pod Wałbrzychem, zdaje mi się, że u swojej bratanicy. Ona

wszystko po nim wzięła... Od niej je masz, co?

Gwałtownym ruchem głowy zaprzeczam. Potem opowiadam jej całą historię. Ciotka z niedowierzaniem kiwa głową.

– Tak podejrzewaliśmy, że on, ten Zefiryn Zarządca, przeciwko ojcu naszemu był. Takie czasy były, nic nie można było głośno powiedzieć i twój dziadek cztery zimy w więzieniu odsiedział. My tylko kluchy z twarogiem żeśmy jedli na zmianę z zacierkami na mleku, przecie maciory nam nie wolno było ubić. – Rozmarzyła się na wspomnienie tych klusek z twarogiem. Cała ciotka Zośka! Babcia miała rację, Zośka była łakomczuchem i zostało jej to do tej pory. Ale właśnie ją ze wszystkich sióstr ojca kochałam najbardziej. Była taka bezpośrednia, ciepła. Potrafiła całymi godzinami uczyć mnie, jak się kroić kluski. Co prawda, teraz ta wiedza do niczego nie jest mi przydatna. Makaron od lat kupuję gotowy. Ale wtedy ciotka Zośka nie wiedziała, że aż tak dobrze będzie się w Polsce działało i nikt ciasta na kluski nie będzie zagniatał. Dlatego też uczyła mnie tego krojenia.

Ciotkę Zośkę lubiłam też z innego powodu. Była mamą Wojtka. Nawet przez jakiś czas myślałam, że moją też będzie... Głupia byłam i tyle! Nic nowego.

– Ciociu, dlaczego ja go wcale nie pamiętam?

– Kogo, Beatko? – Postarzała się znacznie i nie wszystko dociera do niej tak szybko, jak bym sobie tego życzyła.

– No, tego księdza Stacha! Wcale nie pamiętam, żeby kiedyś do nas przyjeżdżał.

– Przyjeżdżał, przyjeżdżał, owszem! Szczególnie jak ojciec już nie żył. Dziadek twój a mój ojciec tego Stacha po prostu nie cierpiał. Znaczą się – ciocia poprawiła się – zazdrosny ojciec był, choć mama już wtedy zbrzydła znacznie.

– Naprawdę tak od tych porodów chorowała? – dopytuję się z niedowierzaniem.

– A co ty sobie myślisz! Jakbyś tak na zmianę rodziła, karmiła i ronila, i ty byś dobrze nie wyglądała! Ale temu Stachowi widocznie nic w niej nie przeszkadzało. Jak nas odwiedzał, wpatrzony był w matkę jak w obrazek. Czasami aż nam głupio było, w sutannie siedział, a gały wlepił w nią jak zwykły chłop.

– A babcia? Co babcia na to?

– Ona... ona... – Ciotka zamyśliła się na chwilę. – Mama to nic nie dała po sobie poznać, czy się jej ta cicha adoracja podobała czy nie. Ona taka chłodna była w obejściu. Nieraz aż mróz od niej szedł. Szczególnie jak ojciec chciał co miłego do niej powiedzieć, jak to chłop, jak ona się na niego spojrzała, od razu mu się amorów odechciewało.

– Ale dzieci jej napstrykał, nie? – zaśmiałam się głupkowato. Ciotka nie zwróciła na to uwagi, zajęta przeglądaniem listów.

– To takie czasy były, Beatko. Nie to, co teraz! Wtedy jak chłop nie był wyrozumiały, a baba sprytna i zaradna, dzieci co rok się rodziły.

– A babcia?

– Babcia, moja droga, po prostu była bogobojna i nic przeciwko naturze robić się nie odważyła. Zresztą... może po prostu nie potrafiła, kto ją tam wie? Nic nam na ten temat nie mówiła, a ojciec kochliwy był jak cholera, i we mnie też efekt tej miłości widzisz, ha, ha, ha.

– A oni... no, babcia i ten Stach, oni się kochali? Jak, ciociu, myślisz? Przez cały czas, gdy czytaliśmy z Pawłem listy, zastanawialiśmy się nad tym. Paweł uważał, że tak, a ja sama już nie wiedziałam, co mam myśleć, i dlatego postanowiłam o tym z tobą pogadać.

– A bo ja wiem? On oryginał taki był. Ze wszystkimi zadzierał i kłopoty ciągle miał. Jak u nas w parafii proboszczował, mówili, że nie było tygodnia, aby z kierownikiem albo Zefiryнем zatargu nie miał.

– Naprawdę?

– Podobno. Ja tam tego za bardzo nie pamiętam, on wtedy do nas za często nie przychodził. A i mama do kościoła zawsze z którymś z nas chodziła, inaczej ojciec by się awanturował. On też ciągle jej tę miłość wytykał i pisać do niego zabraniał.

– Jednak pisała, prawda?

– Taaa, z naszych zeszytów kartki rwała i Władek w tajemnicy przed ojcem, jak do roboty w Lniarskich¹ jeździł, matce te listy wysyłał. Wiesz... ona, gdy pisała, trochę szczęśliwsza była. Jakaś taka inna. Wiesz, Beatko? Teraz sobie myślę, że była między nimi miłość, ale taka platoniczna... taka wydumana, dla potrzeby samotnego serca wymyślona.

Nie bardzo rozumiem, o co ciotce chodzi. Zresztą dziwnie się dziś zachowuje. Nerwowo na mnie zerka, listy przewala i chce coś innego powiedzieć, niż mówi.

– Jak się nie zna miłości prawdziwej, czasami dobrze jest ją sobie wymyślić, ale co wy młodzi możecie na ten temat wiedzieć. Teraz słowo miłość wytarte jest i wyświechtane jak papier do dupy! O! Choćby ten twój Michał! Kochał, kochał i się odkochał! I po miłości, a tobie tylko bieda z tymi dziećmi została. A myśmy z twoim ojcem myśleli, że ty szczęśliwa będziesz... dobrze, że Tadeusz tego nie doczekał.

– Ciociu! Ja ciocię proszę!

– Dobrze, już dobrze, zaraz przestanę. Ale mnie nie o niego chodzi, nie o twojego Michała, tylko o tę miłość, co platoniczna była. Wiesz, on, ten Stach, na księdza od małego był szykowany. Wiadomo, syn organisty. Matka moja też do gadania nic nie miała, wyswatano ją z ojcem i tyle. I po miłości! Nawet jej pewnie nie dotknął, nie miał kiedy... Ha, ha, ha. – Sztucznie coś się ciotka zaśmiała. Dziwnie tak.

Zdenerwowana dziś jest ciotka – pomyślałam sobie i już miałam zbierać się do wyjścia, gdy podniosła się i poszła do drugiego pokoju. Wróciła po dłuższej chwili z albumem w ręku.

– Masz tu swojego Stacha, patrz!

Patrzę i patrzę. Widzę pochylonego starca o białych włosach. Stoi oparty na zwykłym kijku. Nawet sęki na zdjęciu widać. I ta jego sutanna... coś mi się przypomina... tysiące tysięcy malutkich guziczków. Cholera, przypominam sobie!

– Ciociu! Ciociu! – krzyczę, choć ciotka siedzi obok mnie.

– Przypomniałam go sobie! Siedział raz w babci kuchni. Schowałam się wtedy za kozetkę, bardzo się go bałam, jak tym kosturem o podłogę stukał. Babcia Basia kazała mi przed nim Ojciec Nasz mówić i ja się pomyliłam. Potem patrzyłam, jak on siedzi. I zaczęłam się śmiać, ciociu! On w kiece był, a nogi w takim rozkroku trzymał, że miejsce od kredensu do biurka całe zajmował. Ta scena utkwiała mi w pamięci! Pamiętam jego czarną sutannę i niezliczoną ilość maleńkich guziczków. Potem babcię pytałam, czy on je codziennie zapina. Nakrzyczała na mnie, że głupia jestem i żadnego szacunku dla jej gościa nie mam!

– No widzisz! Cała babcia! Zawsze udawała, że zła, ale serce miała

złote. A ty, Beatko... ty z tym Pawłem, coś myślicie? Coś z was będzie? Co?

– No nie, ciociu! Ja jeszcze rozwodu z jednym nie mam, a ty się o drugiego dla mnie martwisz?

– Ja się zawsze o ciebie martwiłam! I przez to ty teraz pewnie żal do mnie masz, co Beatko?

– O co? Jaki żal? – Już całkiem coś się jej pomieszało.

– O Wojtka... i o ciebie.

– Nie rozumiem – szepczę, choć chyba zaczyna mi coś świtać.

Ciotka Zośka bierze głęboki wdech. Potem drugi i trzeci.

Czwartego nie bierze, tylko zaczyna płakać.

– My z Tadeuszkiem, z ojcem twoim.... My tylko nie chcieliśmy, aby do kazirodztwa doszło! – Rozryczała się na całego i ledwie co przez te jej szlochów rozumiem. – Ojciec twój wziął Wojtka na poważną rozmowę. Wy tłumaczył mu jak chłop chłopu, co się może stać, gdy tak dwoje młodych sobie po polach i lasach chodzi... i że my, broń Panie Boże! na coś takiego się nie zgadzamy, przecie z tego grzech straszny. Tylko raz, w naszej rodzinie... ta Werka tak zgrzeszyła, ale za zgodą księdza... wtedy wojna była i wszystko na głowie stało!

– Ciociu...

– Nie przerywaj mi, całe lata się zbierałam, aby ci powiedzieć! Teraz daj mi mówić!

Zamilkłam, choć najchętniej wcisnęłabym jej te słowa z powrotem do gardła.

– No i Wojtek najpierw nasłuchał się od twojego ojca, a potem i ja mu dołożyłam, że on jest starszy, a ty taka młodziutka i w niego zapatrzona... i że on ci krzywdy tą swoją miłością nie powinien robić, przecie wy cioteczne dzieci jesteście i kłopoty z tego tylko będą, a i grzech wielki! I jak się nasłuchał, czerwony na mordzie się zrobił, chociaż my mu bardzo spokojnie tłumaczyli, a on się tak zawstydził, że po prostu, jak tu stał – ciotka palcem wskazała na miejsce, gdzie leżał dywanik z owcy – tak z pokoju uciekł i już go tego dnia nie widziałam. Za kilka dni przyprowadził do domu tę Magdę i powiedział, że na dyskotece ją poznał i się zakochał.

– Po co mi teraz to wszystko mówisz, po tylu latach? – pytam

z coraz większym gniewem.

– Sumienie mnie gryzie! I tyle! My nieraz z twoim ojcem myśleli, aby ci powiedzieć, ale nam Wojtek bronił. On nie chciał, abyś wiedziała...

– ...wolał, abym myślała, że naprawdę zakochał się w tej Magdzie tak nagle?

– Chyba tak.

– Po cholere mi teraz, ciociu, prawdę mówisz! – Przestałam panować nad sobą. Nie widzę przestraszonej twarzy ciotki. Widzę tylko pijanego Wojtka, który wszedł do pokoju, popatrzył na mnie, powiedział cześć i wyszedł. – Po cholere? Po cholere?

– Beatko!

– Ciebie, ciociu, sumienie gryzie? A może raczej co innego, co? Żeście się z ojcem moim martwili o kazirodztwo, o kłopoty i grzech, tak?

– Tak.

– A Wojtkowi z całkiem obcą Magdą dzieci się chore rodzą! Tak?

– Tak.

– I ta mała Kasia umarła... pewnie konflikt serologiczny mieli, tak?

– Tak.

– Po cholere żeście się do nas miesza!

– Grzech by był. – Już sama nie wie, co ma powiedzieć, i tak w kółko o tym grzechu gada.

– A jak na jego chore dziecko patrzysz, o grzechu nie myślisz, bo go nie było, prawda? Jak go pijanego widzisz, o naszym kazirodztwie nie myślisz, ciociu, co? Boście dobrze nam zrobili, prawda? I ty, i ojciec...

– Ja wiem, ja teraz wiem, że nie tak trzeba było... że inaczej może.

– Za późno, ciociu, za późno. – Żegnam się z nią i wychodzę.

Przyszłam, aby wyjaśnić tajemnicę, i wyjaśniłam. Tylko nie tę, co chciałam.

*

Przeszukałam wszystkie regały i meblościanki w całym domu, ale

nigdzie ich nie znalazłam. Po prostu jakby się pod ziemię zapadły. W końcu postanowiłam zapytać Kubę, czy nie wie, co się stało z moimi szkolnymi nagrodami. Przecież do Osady ich po ślubie nie zabrałam. Pamiętam jeszcze całkiem dobrze, że mama powiedziała, że mogę je zostawić, skoro w nowym mieszkaniu nie mam miejsca na książki. I tak właśnie zrobiłam. Wszystkie książki z czasów podstawówki i technikum zostawiłam na półkach w pokoju rodziców.

– Nie masz większych zmartwień? – Kuba jak zwykle był niezadowolony, że coś od niego chcę. Nawet zwykłe pytanie padające z moich ust go drażniło. – Tobie tylko głupie książki w głowie. Lepiej byś pomyślała i dołożyła mi pieniędzy, żeby podatek rolny za ziemię zapłacić! Ale nie! Ty wolisz po chałupie biegać i starych książek szukać, które pewnie dawno w kiblu swój żywot zakończyły! Albo je ojciec na podpałkę w piecu spalił.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! – Już prawie skaczemy sobie do gardeł. – Nie wierzę, że mama pozwoliłaby tacie je zniszczyć. Mówisz tak z zazdrości.

– Pewnie... bo nie mam co robić, tylko od dwudziestu lat umierać z zazdrości, że cię rodzice bardziej kochali. Taka cudowna przecież byłaś... tacy dumni z ciebie byli... ha, ha, ha. Szkoda tylko, że na koniec im taki numer wywinęłaś.

– Jaki? Jaki numer?

– A nie? Nawet dwa numery wywinęłaś! Taka święta wcale nie byłaś! Najpierw z tym głupolem Wojtkiem po polach i lasach latałaś, a jak cię wystawił...

– To co?

– To nic. – Kuba przez okno w kuchni zauważył, że Patryk z Konradem wyszli z garażu i kierowali się w stronę domu, i pewnie tylko dlatego przestał się ze mną kłócić. – Cokolwiek sobie myślisz, ja ci żadnej książki nie schowałem. A co się z nimi stało... naprawdę nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że długi czas stały na regale w pokoju rodziców. Raz nawet, o ile dobrze pamiętam, mama się Pawłowi twoimi zakichanymi nagrodami chwaliła, a potem to już nie wiem. Może je na strych wyniosła?

– Może masz rację – powiedziałam pojednawczo. Doceniam to, że

Kuba nie chce się ze mną kłócić przy chłopcach. – Jak będę miała czas, to wejdę na strych i ich poszukam.

– Mamusiu, co będziesz szukała? – Patryk, wbiegając do kuchni, usłyszał moje ostatnie słowa.

– Skarbów z minionego życia – zadrwił Kuba, a mnie zrobiło się bardzo, bardzo przykro.

*

– Mamooo! Mamooo! Gdzie idziemy?

– Na cmentarz, do waszych dziadków.

– Mamooo! Mamooo! Ale przecież zniczy nie masz ani kwiatków, z pustymi rękami na cmentarz?

Poraża mnie logiczny sposób pojmowania świata przez moich synów.

– Czyli co? Jak się nie ma zniczy i kwiatów, już na cmentarzu przy grobie bliskich nie można się pomodlić, co?

– Eeee! Mamooo! Może i można, ale jakoś tak głupio, jakby cię, mamoo, nie było na te świece stać!

– Jak się wstydzicie biednej matki, zostańcie sami w domu.

– Niiieee... my się nie wstydzimy, tylko może tak trochę... ale pójdziemy tam z tobą, mamooo.

– A po co? – droczyć się z nimi.

– Mamo, cmentarz po drodze do Aiszy jest. – Konrad tłumaczy mi z przejęciem. – Aisza powiedziała, że możemy ją kiedyś odwiedzić. To my, mamoo, pomodlimy się szybko na cmentarzu i do niej pójdziemy. Dobrze, mamoo?

– Dobrze, dobrze – odpowiadam bez zastanowienia. – Tylko potem Kubie o tym nie mówcie, żeby się znów nie wściekł i nie upił.

– Spoko, mamoo! Nie wydamy się!

„Nie wydamy się...”. A myśmy się z Wojtkiem wydali, chociaż myśleliśmy, że nikt o nas nie wie. Jednak wiedzieli. I tata, i ciotka Zośka. Babcia Basia też wiedziała, ale ona zawsze mi mówiła, że Werka dobrze trafiła, ten jej Józek to ją bardzo kochał, i dzieci tyle nie musiała rodzić.

Chłopcy szybko odkleпали „Wieczny odpoczynek” nad grobem

moich rodziców. Pobiegli jeszcze na grób babci Basi, a potem prosto do Aiszy.

Anka Muzyczne Usta mieszkała tam, gdzie zawsze, dwa domy od cmentarza. Chodziłam z nią do jednej klasy. Razem szłyśmy do Pierwszej Komunii. Nawet kieckę miała podobną, tylko mniej koronki na falbanach. Ale rękawiczki takie same miałyśmy, z cieniutkiej satyny. Tylko ona miała woreczek na rękę, a ja torebkę z białej sztucznej skórki i bukiet z białych frezji. Anka z konwalii. Mnie porzucił Michał. Ona wypięła się na Kubę. Ja mam dwóch synów. Anka ma córeczkę z Arabem.

– Słyszysz, tato? Słyszysz? – mówię dość głośno. Tak aby wszystkie cmentarne gapy mnie słyszały, skoro tata nie może. – Anka Muzyczne Usta ma córkę z Arabem, a mogła ją mieć z Kubą, prawda, tato? Wiesz, teraz Patryk i Konrad poszli do małej Aiszy i będą grali w gry komputerowe! A ja, tato, byłam u ciotki Zośki. – Czuję, że powinnam mu powiedzieć. Tak na wszelki wypadek, gdyby o tym nie wiedział. – Ciotka powiedziała, coście razem zrobili Wojtkowi... i mnie. Mam do was żal... wielki żal.

Usiadłam na brzegu pomnika i zapatrzyłam się w litery na nagrobnej tablicy. Tadeusz i Joanna Cisi, dalej daty urodzenia i śmierci moich rodziców. Na samym dole: „Spoczywajcie w spokoju”.

Tak, przyszłam i ten spokój zakłócam im moimi pretensjami poniewczasie. Chyba lepiej jak pójdę do babci Basi. Ona mnie lepiej zrozumie. Zapytam, ile razy w życiu miłość może umrzeć: raz? dwa? trzy? Czy jeszcze więcej? Ile razy ona się rodzi? Naprawdę nie pojmuję tego. Nie potrafię.

U babci Basi na nagrobnej tablicy tłok: Filipek, Jan, Barbara Cichy. Pod nimi jeszcze Kasia Karwat – córeczka Wojtka. Chyba nie powinnam tu rozmawiać z babcią na temat Wojtka. Jeszcze maleńka Kasia usłyszy... Wiem, pogadam z babcią w myślach. Tak będzie najlepiej!

Nie pogadałam, zatopiłam się we własnych wspomnieniach.

Wojtek był zawsze. Odkąd tylko pamiętam. Pochylał się pewnie nad moim wózkiem i uśmiechał do mnie. Potem uczył mnie chodzić, mówić, biegać, skakać przez skakankę, jeść zielone jabłka, jeździć na rowerze. Jak urosłam, opowiadałam mu, jak Rodziewiczówna pisze

o miłości, przejęta, czy mnie nie wyśmiej. Nigdy nie wyśmiał. Zawsze mnie rozumiał.

Patrzyłam w jego oczy i znałam jego myśli. Rozumieliśmy się bez słów. Nam słowa nie były potrzebne. Miał szare oczy. Bardziej niebieskie niż zielone. Takie jak morze w pochmurny dzień. Uwielbiałam te jego oczy. W nich odbijałam się ja. Tylko ja.

Wiem, był trochę ciotowaty. Najlepiej czuł się w moim towarzystwie. Każdą wolną chwilę spędzał u nas. Mama zawsze robiła kakao i kanapki z kielbasą, jajkiem na twardo, szczypiorkiem i ogórkiem konserwowym. Były takie pyszne.

Kuba, chociaż młodszy, nie lubił Wojtka. Wojtek nie grał w nogę, nie lubił grzebać w motorach, smarach i kluczach nasadowych. A mój brat kochał zapach towotu. Natomiast Wojtek lubił wdychać kurz unoszący się z książek w bibliotece. Staralam się mu dorównać i dlatego bardzo dużo czytałam.

Całymi godzinami dyskutowaliśmy o wszystkim. Wojtek zapowiadał się na niezłego historyka. Śmiałam się, że do twarzy będzie mu w grubych okularach i sweterku w serek. Tak sobie wyobrażałam nauczyciela historii.

Ale nim nie został! Tylko dlatego, że komuś nie spodobało się, że wolał spędzać czas ze mną i oglądać *Wichrowe wzgórza*. Siedział, a ja leżałam z głową na jego kolanach. Głaskał mnie po włosach i nic nie mówił. Nie musiał. Dla mnie nic nie musiał. Wystarczyło, że był.

Nigdy nie dotknął mnie w dwuznaczny sposób. Nigdy go nie pocałowałam. Choć przyznaję, czasami przez myśl mi przeszło, że może kiedyś my tak jak w *Wichrowych wzgórzach* i tyle. To był szczyt naszej namiętności, która jeszcze się nie poczęła, a już została zgnieciona w zarodku. Tak aby nie było grzechu.

Grzechu nie było. Pewnego dnia Wojtek nie przyszedł do nas na kakao i kanapki. Sama je wszystkie zjadłam, zalewając się łzami, przecież nie wiedziałam, co się stało.

Kilka dni później Kuba z triumfem w głosie powiedział mi, że Wojtek pierdoła ma dziewczynę i się z nią całuje. I w dupie ma moje dyskusje o książkach.

Nie wierzyłam, dopóki ich sama nie zobaczyłam. Ona brzydka

i ponura jak noc listopadowa, ale zapatrzona w niego jak w obrazek. A on? Jego już nie było. Zamiast mojego Wojtka obok tej Magdy stał jakiś dziwny chłopak z mętnym spojrzeniem, w mętnych od wódki oczach. Z dnia na dzień Wojtek zaczął pić. A ja, jakby na zawołanie, poznałam Michała. Tak jakoś niedługo potem. I od razu wiedziałam, że z Michałem trzeba inaczej. Tak ostro. Od razu iść na całość. Po co czekać na jakieś porozumienie dusz, czytanie w myślach i tym podobne bzdety? No po co? Aby taki Wojtek zakochał się w dziewczynie, która ledwie zawodówkę skończyła?

Ożenił się z nią w zadziwiająco jak dla mnie tempie. Nawet nie zaprosił mnie na ślub. Potem ja, w rewanżu, nie zaprosiłam go na moje z Michałem wesele.

W ten sposób nasze drogi się rozeszły. Tylko od czasu do czasu tata opowiadał, że Magda traci ciążę, a ciotka Zośka rwie włosy z głowy. Gdy urodziłam Konrada, kilka dni potem Magda urodziła dziewczynkę. Martwą dziewczynkę. Kasię.

Tylko jedno ich dziecko urodziło się żywe, ale z wadą wzroku i wadą wymowy. Wojtek był jakby poza tym. Nieobecny i ciągle pijany. Jakby chciał zapomnieć o całym świecie. Teraz już wiem dlaczego. W tym jego świecie nie było miejsca na mnie. Ja i on równaliśmy się grzech. Słowo „my” nigdy nie mogło nas dotyczyć.

Właśnie tym martwili się ciotka z tatą. By nigdy nie było „nas”. Udało się im. Nie doszło do kazirodztwa. Do niczego nie doszło.

– Słyszysz, Kasiu? Do niczego nie doszło – mówię do dziecka, które leży pod granitową płytą. – A ty i tak tu leżysz! Zatem jaki to wszystko miało sens?

Nie miało żadnego sensu.

*

Wszystko już posprzątane i gotowe do zamknięcia fast foodu na cztery spusty. Wiadomo, jutro Boże Ciało, potem długi weekend. Nie opłaca się w piątek budy otwierać. Pakuję do wiklinowego koszyka wszystko, co nie wytrzyma do poniedziałku. Resztki surówki, pokrojone warzywa, kawałki mięsa z kebabu. Kuba na pewno się ucieszy, przecież lubi takie przekąski. Chłopcy też by się pewnie ucieszyli, ale zaraz po

szkole miała ich zabrać do siebie teściowa. Odkąd przeżyła zawał, jakoś bardziej potrzebuje ich towarzystwa. Może wreszcie zrozumiała, że Michał i jego angielska córka Joyce są jej równie obcy jak mnie. Dlatego dwa tygodnie temu dzwoniła do mnie z prośbą, abym pozwoliła chłopcom spędzić u niej ten długi weekend. Pozwoliłam. W końcu jest ich jedyną babcią. Dlatego nie widzę powodu, by chłopcom zabraniać z nią kontaktu. Nie! Całkiem niedawno zrozumiałam, że nie jestem dla nich pępkiem świata i mają prawo utrzymywać kontakt z rodziną Michała. Zresztą w końcu babcia wypłaca im alimenty.

Łukaszowi, dla świętego spokoju, zapłaciłam za tę piłę. Paweł pożyczył mi pieniądze i po trochu odlicza od wypłaty. Nie miałam siły walczyć z własnym szwagrem. Po prostu nie potrafiłam. Może nie chcę niszczyć wszystkich kontaktów z rodziną Michała? Przecież kiedyś byli mi bardzo bliscy.

W ten oto sposób szykuje mi się długi samotny weekend. Na Kubę jako towarzysza nie ma co liczyć, albo ciągle się ze mną kłóci, albo bez słowa znika z domu. Nie, nie kukurydza go tak absorbuje, chociaż znów bujnie obrosła cały Zwierzyniec. Domyślam się, że ma to związek z Anką Muzyczne Usta... ale o tym sza! Nic jeszcze nie wiem dokładnie.

– Poczekaj chwilkę. – Paweł stanął w wejściu do naszej budy i nawet gdybym nie chciała czekać i tak nie dam rady wyjść. – Usiądź... jeszcze... Beato!

– Usiadłam! Dobrze? – Śmieję się, spodziewając się kolejnej niespodzianki.

– Wyśmienicie! Teraz zamknij oczy. Oooo, tak dobrze. Otwórz na chybił trafił.

– A co to? Biblia? Będziesz szukał planów Bożych na przyszłość?
– Po omacku dotykam książki, którą położył mi na kolanach.

– Hm! Coś w tym rodzaju. No nie gadaj, tylko przewracaj kartki!
– niecierpliwi się. – Już?

– Już! Już! – Otwieram oczy i patrzę zaskoczona. Na moich kolanach leży informator turystyczny. Zakładam sznurkową zakładkę w miejscu, w którym otworzyłam książkę, i zamykam ją, aby odczytać tytuł.

– *Polska na weekend*. Znowu coś wymyśliłeś?

– Właśnie swoimi cudownymi rączkami wybrałaś naszą przyszłość... no, może tę najbliższą przyszłość. Teraz mi powiedz, Beatko, gdzie za dwie godziny wyruszamy? – Patrzę na niego i powoli dociera do mnie, co zrobiłam. Szybko otwieram przewodnik na zaznaczonej stronie i czytam.

– Góry Wałbrzyskie, Kamienne i Sowie. I jak? Zadowolony jesteś?

– Ba! – Paweł mruży oczy. – Z tobą i na koniec świata mogę jechać!

– Ale kto ci powiedział, że ja gdzieś jadę? – Udaję oburzoną, a w sercu grają mi fanfary! Nie będę przez cztery dni sama! Nareszcie gdzieś pojedę i coś zobaczę! Ale, ale... Paweł też będzie coś chciał i dla siebie. Wiadomo co...

– Chyba nie powiesz mi, moja droga Be-łato, że uśmiecha ci się siedzieć samej w domu i patrzeć tylko, jak wiatr buja kukurydzą, co?

– Zbliżył swoją twarz do mojej. – Ale uprzedzam cię, że moje objanie się o ciebie zaczyna nabierać erotycznego podtekstu.

– Tak i mnie się wydawało! – Śmieję mu się w nos. – Coś tam ostatnio czułam! Ha, ha, ha. – Spowaźniał.

– Ja poważnie mówię! Chcę spędzić z tobą sam na sam kilka dni i porozmawiać o pewnych sprawach. Nazbierało nam się tego trochę. Nie uważasz?

Nie odpowiadam. Milczę. Potem zauważam, że jak mamy za dwie godziny wyjechać, powinniśmy nareszcie zamknąć bar i pojechać do domów, zmyć z siebie zapach fast foodu, spakować do torby parę majtek chociażby.

– Dobrze! Przed siedemnastą będę u ciebie. Tylko mi się nie rozmyśl! – Grozi mi palcem. Majtek koniecznie nie musisz pakować. Zresztą, jak uważasz.

– Nie rozmyślę się! – zapewniam jego i siebie.

*

O mały włos z naszego weekendowego wypadu nic by nie wyszło. Oczywiście jak zwykle Kuba miał wiele do powiedzenia na temat mojego, rzekomo, niezbyt moralnego prowadzenia się. Może byśmy się

nie pokłócili, ale kiedy jak burza wpadłam do domu i zaczęłam się pakować na wyjazd, za nic nie mogłam znaleźć moich ulubionych majtek z czarnej koronki. Zapytałam więc Kuby, czy ich czasem przez pomyłkę nie wrzucił ze swoim praniem do pralki, która akurat pracowała na najwyższych obrotach.

Niestety, zamiast normalnej odpowiedzi usłyszałam stek wyzwisk, obelg i zarzutów pod swoim adresem. Dowiedziałam się nawet, że jestem zwykłą dziwką, co daje dupy za resztki z kebabu, a majtki... pewnie zostawiłam je w budzie, a teraz się go czepiam.

Normalnie miałam dość i Kuby, i tej całej sytuacji. Najpierw zabrał mnie z Osady. Sam zaproponował mi pomoc, a teraz, zaledwie po roku wspólnego mieszkania, nie może na mnie patrzeć. Przynajmniej mam takie wrażenie. I te jego głupie uwagi na temat Pawła. Niby nic nie ma do niego, ale ciągle się go czepia. Dlatego dla świętego spokoju postanowiłam zrezygnować z wyjazdu. Jednak kiedy mu to powiedziałam, zaczął chrząkać, że to nie wypada, że skoro obiecałam Pawłowi wspólny wyjazd, to powinnam jechać. Tym bardziej że chłopców nie ma, a on nie zamierza całego weekendu spędzić w domu, więc jeśli zostanę, będę całkiem sama.

Pomyślałam sobie, że niezły z niego cwaniaczek. Najpierw robi mi wielką awanturę, a potem za wszelką cenę chce udawać dobrego brata. Ale co tam! W końcu może zaprosi na kolację Ankę Muzyczne Usta. Zatem pojedę z Pawłem.

*

Najnowszy model skody octavii mknie po drodze pełnej kolein z oszalałającą jak dla mnie prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Paweł ubrany w niebieską koszulę spokojnie prowadzi auto. Patrę przed siebie. Świat wydaje mi się taki inny, jakbym pierwszy raz widziała pasące się na pastwiskach krowy. Przydrożne maleńkie krzyże znaczą miejsca ludzkich tragedii. Im dłużej jedziemy, tym więcej ich widzę. Przez blisko sto kilometrów liczę je. Gdy dochodzę do dwudziestu, przestaję liczyć. Wolę obserwować krowy.

– Rozmowna jesteś! Nie ma co! – Paweł przerywa nasze milczenie.
– Jak nie masz ochoty na pogawędkę, chociaż poczytaj mi, gdzie

właściwie jedziemy, tytuł rozdziału niewiele mi mówi.

– Dobra! Już czytam! – Sięgam do bocznej kieszeni auta i wyciągam przewodnik. – Uwaga! Zaczynam akcję: cała Polska czyta biznesmenom, ha, ha, ha. – Poważnieję i skupiam się na treści przewodnika.

„W południowo-zachodniej Polsce, niedaleko granicy z Czechami, na pograniczu i przedgórzu Sudetów Zachodnich i Środkowych (...) znajdują się okolice pełne niezwykle cennych zabytków i przeróżnych osobliwości.

Warto przyjechać tu dla prawdziwych zamków, malowniczych ruin, spacerów po wspaniałych ogrodach i oranżeriach, rozległych widoków na porośnięte lasami góry... dla zabytkowych kościołów i cysterskich opactw. Można tropić tutaj zagadkowe ślady hitlerowskich budowli, zobaczyć zabytki techniki w rodzaju starych kopalni (...).

Wałbrzych, główny ośrodek regionu i zarazem baza turystyczna, porzuca industrialne oblicze, wracając do dawnych tradycji zdrojowych.

Dojazd z całej Polski do opisywanego regionu nie stanowi problemu, a sieć dróg należy do najgęstszych w kraju. Wyznaczono liczne szlaki piesze i rowerowe. Bez trudności można znaleźć nocleg i posiłek”2.

Zmęczyłam się. Robię głęboki wdech. Paweł zerka na mnie. I nagle czuję, że prawą ręką głaska mnie po udzie.

– Nie interesuje cię, co koniecznie trzeba tam zobaczyć?
– Spycham jego dłoń, delikatnie, ale stanowczo. Mruczy niezadowolony, ale zabiera rękę.

– Interesuje, pewnie że interesuje. Skoro nie masz chęci na amory, trzeba będzie coś zwiedzać. Czytaj dalej.

Robi mi się go szkoda. Stara się chłopak, ale ze mną jeszcze nie wszystko jest w porządku. On wie, jednak jest tylko facetem. I nie jest mu łatwo. Tak, trzeba czytać dalej, a potem się zobaczy.

„Koniecznie trzeba odwiedzić zamki w Książu, Bolkowie i Grodno, pospacerować po ogromnej palmiarni w Lubiechowie, arboretum w Wojsławicach i Książańskim Parku Krajobrazowym, zobaczyć sztolnie w Osówce, zespoły pocysterskie w Krzeszowie i Henrykowie, Skały Krasnoludków, lokomotywy w Jaworznie, starówkę

w Świdnicy, stanąć pod Krzywą Wieżą w Ząbkowicach”.

– Dość! Dość! Zamknij już tę książkę! Jak mi wszystko przeczytasz, to nie będę miał potrzeby zwiedzać. A wiesz? – Nagle zmienił temat. – Nie mówiłem ci tego wcześniej... atmosfera naszego baru jakoś nie sprzyja takim rozmowom, ale była u mnie Edyta i jej znajomi. Pokazałem im, co zrobiłaś ze Starym Parkiem. Edyta wybałuszyła oczy ze zdziwienia, prawie nie poznała tego miejsca. Jak ostatnim razem poszła tam na spacer, wpadła w pokrzywy, a potem w placki, które zrobiła krowa wuja Szymona.

Niby przeglądam przewodnik, ale słucham uważnie. Hm, czyżby dlatego pojawił się ten geodeta. Stary Park najwidoczniej spodobał się komuś z Warszawy i Edyta namówiła Pawła, aby go sprzedał, razem z kawałkiem ziemi pod budowę. Po cholere brałam się do jego odrestaurowywania? Ledwie wycięliśmy krzaki i wyźwirowaliśmy stare alejki, a już trafił się amator.

– Ci jej znajomi – Paweł nie zauważa mojego pozornego braku zainteresowania i dalej papie – stwierdzili, że Stary Park przypomina kawałek nieborowskiego parku.

– Tak? Może postawimy tam parę gipsowych imitacji lwów, Wenus albo innych bóstw. Posadzimy kilka rododendronów i przystrzyżemy żywopłot. Na końcu postawisz budkę z biletami i będziesz wpuszczał turystów... – Zauważył, że kpię z niego.

– O co ci chodzi? Czy ja coś złego powiedziałem? Ja tylko... tylko chciałem cię pochwalić i podziękować za pracę, jaką wykonałaś w tym parku.

– Niepotrzebnie! – Ucinam jego podziękowania. – Wszystko robiłam raczej z potrzeby serca niż dla ciebie! Jeśli tego nie zauważyłeś!

– Dobra. Dajmy spokój parkowi. – Najwidoczniej gryzie go sumienie i chce zmienić temat. Kątem oka spoglądam na jego naburmuszoną twarz. Dobry humor gdzieś przysł. Trudno! Mógł mnie nie dręczyć. Przecież chyba domyśla się, jak kocham Stary Park. Może powinnam skończyć tę podróż? Albo nie! Jadę dalej. Jest szansa, że powie, komu zamierza sprzedać park. – Przeczytam ci, jaką trasę polecają w przewodniku do zwiedzania. Chcesz?

– Nie! I muszę cię uprzedzić, że dziś nie dojedziemy tam... w te

Sowie Góry.

– Jak to? Gdzie będziemy spać? – Zaskoczył mnie znowu.

Spodziewałam się noclegu przynajmniej w trzygwiazdkowym hotelu.

– Wyjechaliśmy za późno. Nie mamy umówionego noclegu w tamtej okolicy i raczej nie wyobrażam sobie, abyśmy w nocy biegali po górkach i szukali miejscówki do spania w jakiejś jaskini! Mam lepszy pomysł! Zatrzymamy się kilkadziesiąt kilometrów przed Wałbrzychem, w jakimś przydrożnym zajazdzie. Zjemy dobrą kolację, pogadamy sobie, wyśpimy się, a jutro rano zdecydujemy, gdzie dokładnie mamy ochotę jechać. Dobrze myślę? Pasuje ci taki plan na dziś?

– A jak mi nie pasuje, to co?

– Nic. Po prostu nic. Jesteś zdana na moją łaskę lub niełaskę, ha, ha, ha. – Znów śmieje się ze mnie. – Ale obiecuję ci, że nie pożałujesz tego wyjazdu, Be-łato.

– Udam, że nie słyszałam! Lepiej pilnuj drogi.

– Postaram się. I zaraz będę rozglądał się za jakimś przyzwoitym motelem albo zajazdem, chyba czuję się nieco zmęczony. – Puścił do mnie oczko. – A ty?

– W sumie... nie mam nic przeciwko dobrej, zaznaczam, Dobrej! – kolacji. – Młasnęłam. – Ale jest romantycznie. – Staram się nadać słowom kuszącą barwę. – Jedziemy w nieznane i nie wiemy, co nas tam spotka. Ty wypatrujesz noclegu, a ja marzę o kąpieli w wannie pełnej piany.

– Ja wiem, co nas tam spotka.

– Co?

– Tam spotkamy miłość.

*

Miłości nie można znaleźć na zawołanie. Uświadomiłam to sobie, gdy po bardzo sytej kolacji wylądowałam w jednym pokoju razem z Pawłem.

Wypatrzył jakiś przydrożny zajazd o wielce pospolitej nazwie Zajazd pod Kasztanem. Kasztanowce, owszem, rosły wokół zabudowań. W środku było bardzo przyjemnie i swojsko. Drewniane proste stoły i zydle do siedzenia. Wystrój stylizowany na wiejską chatę. Jednak

w oryginalność tego wystroju tylko mieszcuchy mogły uwierzyć, natomiast ja, wychowana na zapadłej wsi, nie bardzo. Babcia Basia mieszkała do samej śmierci w starym drewnianym domu. I nie przypominam sobie, by miała na dębowym kredensie sześć samowarów albo wazy ładząco podobne do eksponowanych w nieborowskim pałacu.

Jedzenie było w porządku i ze smakiem zjadłam sandacza duszonego w ziołach. Był przepyszny. Podany w pergaminie, z zielonym groszkiem i marchewką, pieczonymi ziemniakami i surówką z białej kapusty. Paweł zauważył, że danie raczej nie pochodzi z tej części kraju, ale mnie to wcale nie przeszkadzało. Lubię ryby. Mogę je jeść o każdej porze roku, w górach i na Mazurach! A jeśli są tak pyszne, jak ten sandacz, potrafię zjeść nawet czterysta gramów! Tak, tak. Tyle ważyła moja porcja, co zauważyłam na rachunku, który dyskretnie podała Pawłowi młoda kelnerka. Nieopatrznie zostawił go na stole, gdy wychodził do toalety. A może specjalnie? Żeby zobaczyć, ile kosztowała moja kolacja. Sporo. Dodatkowo zjadłam deser: szarlotkę na gorąco z bitą śmietaną i lodami. Na koniec zaszalałam i zamówiłam sobie drinka. Na odwagę – tak się w duchu tłumaczyłam, gdy Paweł bardzo powoli jadł jedyne godne go danie: schabowego z ziemniakami i surówką. Alkoholu nie pił, przecież rano mieliśmy jechać dalej. Pozwoliłam sobie na jeszcze jedną szklaneczkę, którą zabrałam do pokoju na poddaszu, gdzie mieliśmy nocować. Tak na wszelki wypadek...

Pokój był bardzo przyzwoity. Czysta łazienka. Duże, podwójne łoże, telewizor, stolik, dwa krzesła i szafa na ubrania. Podobał mi się. Odstawiłam drinka na stolik, wyjęłam z torby przybory toaletowe, bieliznę na zmianę i poszłam się wykąpać. Paweł dyskretnie zmieniał kanały, udając, że z uwagą śledzi kolejny odcinek *Dr. House'a*. W jego oczach widziałam napięcie. Dlatego wzięłam na górę drugiego drinka. Bałam się tego sam na sam. Nie miałam już nastu lat i wiedziałam, że zabrał mnie na weekend w wiadomym celu. Od początku byłam świadoma, co się może zdarzyć. Jednak teraz, gdy leżałam w wannie pełnej piany, bałam się, że może wejść do łazienki, przecież drzwi nie zamknęłam na klucz.

Miałam obawy. Chyba dlatego, że go nie kochałam! Choć bardzo

chciałam. I czułam się z tym strasznie. Świadomość, że nie potrafię już kochać, że moje serce umarło, bardzo mi ciążyła.

A on? – Przemknęła mi myśl. Czy Paweł potrafi kochać? Zaraz się go spytam. A co tam! Dopiję drinka. Będę trochę odważniejsza.

Nie odpowiedział. Zdjął spodnie od piżamy, w których paradował po pokoju. Potem na nagie ciało włożył dżinsy i podkoszulek i wyszedł z pokoju. Nie wiedziałam, co myśleć. Obraziłam go czy jak?

Wrócił po kilku minutach z dwoma szklaneczkami pełnymi pomarańczowego napoju.

– To dla ciebie – podał mi jedną. – Dopij się, bo inaczej nie uśniesz w jednym łóżku z facetem, który był alfonsiem! A drugą masz, jakby ci jeszcze było mało – powiedział, stawiając szklankę na nocny stolik.

Wypiłam ją prawie jednym haustem. Trzeci drink tego wieczoru trzepnął mnie ostro. Paweł miał rację, czwarty mogłam sączyć bardzo powoli, byłam już tak wstawiona, że nawet opowieść o tym, jak mój własny szef, a obecnie prawie kochanek, pozwalał swojej dziewczynie sprzedawać się, nie przerażała mnie. Jak się jest pijanym, nawet takie historie wydają się zabawne. Tylko dlaczego Paweł się nie śmieje? Dlaczego płacze? A! Fakt! On jest trzeźwy. Pewnie dlatego.

– Malwinę poznałem na studiach. Byłem na drugim roku. Już wtedy ostro ćpałem, ale prawie nikt o tym nie wiedział. Matka dawała mi kasę bez pytania o nic. Miała... więc dawała. Edyta chodziła jeszcze do liceum, a mama puchła z dumy, że jej nieślubny syn jest taki zdolny i będzie prawnikiem. Wtedy też planowała, żeby moją siostrę wysłać na prawo. Tłumaczyła, że to nasza rodzinna tradycja. Dziadek Zefiryn był prawie prawnikiem, mama sekretarką w sądzie, a potem żoną sędziego, ja z Edytą mieliśmy prowadzić kancelarię adwokacką. – Paweł zamyślił się. – Tylko się nie udało.

– A co z tą... tą Malwiną? – bełkoczę, czując, że język mi się płacze. Dziwnie ucieka we wszystkie strony, a ja nie mogę nad nim zapanować.

Paweł nie patrzy na mnie. Rozciąga się na łóżku i zamyka oczy. Potem nerwowo trze czoło.

– Malwina była piękną dziewczyną. Ale niezbyt lotnego umysłu, delikatnie mówiąc. Obsługiwała ksero w holu na moim wydziale.

Zakochała się we mnie, gdy przychodziłem do niej kserować skrypty.

– A ty?

– Co ja? – Otworzył oczy i przeciągnął wzrokiem po suficie.

– A ty się zako...ko...chałeś w niej?

– Trochę tak, a trochę nie. Miałem jeszcze kasę i bajer, kilka razy zaprosiłem ją tu i ówdzie.

– Tak jaaaak mnie?

– Beata! Jesteś pijana i nie wiesz, co mówisz! Masz trzydzieści kilka lat, męża w Anglii i dwóch synów! Cały bagaż różnych doświadczeń. Ona była taka młoda.

– I głupia! – dodaje, trzeźwiejąc nagle.

– Tak. Jak skończyła mi się kasa i nie miałem za co kupować koki, podstawilem ją znajomemu dilerowi. Malwinę mamiałem obietnicami o świecie, miłości i o tym, jacy będziemy szczęśliwi, gdy tylko wyjdę z dołka. Ale musi mi pomóc. I pomagała. On robił z nią, co chciał, a ja miałem z tego... no wiesz.

– Narkotyki, tak?

– Tak.

– A ty? Ty też z nią... no... sypiałeś?

– Pewnie. A czemu nie? – Jest zdziwiony moim pytaniem. – Jak człowiek ćpa, jest mu wszystko jedno, kto, z kim i ile razy. To nie ma znaczenia, czasami nawet nic nie pamięta. Najważniejsze jest, aby mieć co brać. By była działka. Żeby nie być na głodzie. Miłość? Miłość wtedy nie istnieje! Są tylko zwykłe, zwierzęce odruchy.

Paweł zamyślił się. Pociągnęłam następny łyk drinka. Spojrzałam na szklaneczkę. Była prawie pusta, tylko na dnie leżał kawałek pomarańczy. Chciałam go zjeść, ale gdy ugryzłam, poczułam okropną gorycz pomarańczowej skórki. Wtedy coś mi się przypomniało.

– Cholera! Jak w Twin Peaks! – wykrzyknęłam.

– W czym?

– W *Miasteczku Twin Peaks*! Nie pamiętasz tego serialu?

– Aaa, ten psychodeliczny horror Lyncha. Oglądałem go czasami, ale przerażał mnie. Ta dziewczyna...

– Laura Palmer – podsuwam mu.

– Tak. Właśnie! Nie mogłem patrzeć na jej zdjęcie... na końcu

każdego odcinka. Litery spływały po nim, a ona uśmiechała się jak anioł. Blond anioł, który skończył w foliowym worku wrzuconym do jeziora.

- Dlaczego? Była taka piękna!
- Piękne kobiety skazane są z góry...
- Na co? – dopytuję się Pawła.
- Na przegraną... tak jak Malwina.

Wstał z łóżka. Zaczął chodzić po pokoju. Nerwowo łamał palce. Nie wiadomo dlaczego w uszach słyszałam muzykę z tamtego filmu. Zawsze ją słyszałam. Od lat miałam ją zaszufadkowaną w pamięci. Gdy się czegoś bałam, otwierałam szufadkę i słyszałam ją. Uwielbiałam atmosferę grozy, niedopowiedzianego lęku przed czymś, czego bohaterowie *Miasteczka Twin Peaks* nie potrafili opisać, a jednak czuli to. Ta Laura... Przez ileś tam wieczorów przeżywałam grozę poszukiwań jej mordercy. Potem po latach obejrzałam prequel tego serialu.

Nazywał się dziwnie... Coś z ogniem... *Ogniu, kroc za mną*. Ukazano w nim wydarzenia prowadzące do zabójstwa dziewczyny i jej wcześniejsze życie. Nastolatkę, narkomankę, prostytutkę, ofiarę własnego ojca, wyobraźni i erotycznych obsesji. A jednocześnie wrażliwą i bardzo uczuciową dziewczynę. Nie pozwoliła, by jej przyjaciółka tak jak ona stała się kurwą. Odtrąciła ukochanego, by go Bob nie zabił. Wtedy dotarło do mnie, że nigdy nic nie jest takie, jak by się mogło wydawać. Dlatego, chociaż bardzo zszokowana niespodziewanym wyznaniem Pawła, nie potrafiłam go potępić. Było mi go żal. Zsunęłam się z łóżka. Na miękkich nogach podeszłam do niego. Stał tuż obok okna. Cały drżał. A ja tak po prostu objęłam go.

- Beatko – szeptał – ty nie wiesz, co myśmy z nią robili...
- Nie chcę wiedzieć! – Świat mi wiruje, słyszę muzykę z *Twin Peaks*, w pamięci migają sceny z *Sekretnego dziennika Laury Palmer*.

„Powiedziałam doktorowi Jacoby, że kiedy widziałam Lea i Jacques’a ostatni raz, nie było to zbyt przyjemne. Zabawialiśmy się razem i oni związali mnie na krześle, ale zaczęłam czuć się klaustrofobicznie, skrępowana... Wpadłam w panikę i zaczęłam dyszeć. Usiłowałam wyjaśnić, co się dzieje, ale było mi trudno mówić i nikt nie brał mnie na serio. Zaczęłam mieć silne zawroty głowy, błyski przed

oczami i wreszcie udało mi się krzyknąć, żeby przestali. To nie było w porządku... Ze mną było coś nie w porządku. Bawiliśmy się w grę, w którą bawimy się często – ja jestem dziewicą, a oni mężczyznami przysłanymi z dziwnego, erotycznego miejsca po to, by pozbawić mnie dziewictwa i ukarać za stawiany opór. No więc Leo słyszał, jak mówię, że to nie w porządku, ale pomyślał, że to część zabawy, i powiedział: »O, dziewczeczka się boi?«. I tak przez jakiś czas, aż ja zaczęłam huśtać się na krześle w przód i w tył. Leo był tym chyba naprawdę podniecony, Jacques zresztą też. Leo zaczął trochę wariować i uderzył mnie – mocno... za mocno. Zadzwońło mi w uszach. Zaczęłam płakać. Dopiero wtedy Jacques powiedział: »Moment, z nią coś nie tak«. Rozwiązali mnie, a ja pobiegłam do domu bez słowa.

Po uderzeniu Lea pozostał mi brzydki siniak na policzku”3.

Tak, Pawle, nie musisz mi nic mówić, mogło być podobnie... a Paweł... Paweł szepcze:

– Beatko, ona nie wytrzymała tego, Malwina przedawkowała.
– Czuję, jak ściska mnie z całej siły za ramiona.

– Laurę zabił własny ojciec! – krzyczę na cały głos. Przestraszony Paweł zatyka mi dłońią usta. Na chwilę tracę oddech i... nic więcej nie pamiętam.

*

Śniłam pijacki sen. Męczący i lepki. Chciałam wyrwać się z niego, obudzić, ale nie potrafiłam.

Widziałam Malwinę. Miała twarz Laury Palmer. Blond włosy, nienaturalnie rozszerzone źrenice, wpółotwarte usta. Jakby chciała coś powiedzieć, ale się bała... Malwina wciąga nosem kokainę. Paweł wiąże jej ręce sznurem. Ona tylko się śmieje, szalonym śmiechem, wariackim śmiechem. On też jest naćpany. Nie widzę jego twarzy, ale wiem, że to Paweł, obok Laury. Na pewno on i jeszcze ktoś, ten drugi... Diler?

Laura-Malwina histerycznie łka, potem z trudem wciąga czarne pończochy. Idzie chwiejnym krokiem, wpada w ramiona Pawła. On ma sznur, a ja czuję, że to tylko sen, i chcę się obudzić, ale nie mogę! Boję się. Boję się nie o siebie, ale o dziewczynę. Krzyczę do niej, wołam, błagam – przestań, przestań, uciekaj... Ona śmieje się histerycznie

i znów wciąga działkę. Potem nie ma jej, jest tylko Laura Palmer, nocne drzewa i pohukujące sowy.

Paweł stoi nad nią. Dotyka jej martwego ciała. Szłocha. Zawija blond włosy na palce. Nie ma twarzy. Nie widzę jego twarzy, widzę Zefiryne Zarządcę... jest Pawłem. Nienawidzę go. Jest zły i niszczy Stacha.

Laura płacze, Malwina krzyczy, Pawła nie ma. Jest tylko Zefiryn i ja. Ale nie boję się go! Gdzieś w oddali widzę anioła. Ma twarz mojej babci. Mówi coś do mnie, ale jej nie słyszę, choć wiem, co mówi.

– Nie bój się, Beatko! Sąd jest tylko jeden. Nie nam sędzić drugiego! – Odplywa w mgle, znika. Laura też. Malwina stoi obok Pawła. Jest aniołem. Paweł nadal nie ma twarzy. Ale dlaczego? Dlaczegooooo?

Podświadomie chcę go kochać. Dlatego nie chcę widzieć jego prawdziwej twarzy!

Potem znów widzę babcię Basię. Idzie do mnie powoli, bardzo powoli, jakby dźwigała jakiś ciężar. No tak! W ramionach niesie niemowlęta. Filipka i córeczkę Wojtka. Widzę ją po raz pierwszy. Nawet jak się urodziła martwa, nie pojechałam na jej pogrzeb. Nie chciałam jej widzieć. Nie chciałam widzieć rozpaczki Wojtka. Tak bardzo go kochałam! I jego dziecko też kochałam!

Za babcią idzie Stach. Poznają go z daleka. Nic się nie zmienił. Nadal jest zgarbiony i opiera się na zwykłym kosturze. Długa sutanna z niezliczoną ilością guziczków płacze mu się pomiędzy nogami. On nie zwraca na to uwagi. Podchodzi do babci i zabiera z jej ramion Filipka...

Rozumiem, zawsze chciał jej pomagać, nieść ten nieludzki czasami ciężar niekochanego życia. Patrzę na nich, choć wiem, że to sen. Wtedy dociera do mnie prawda, że moje życie jednak jest bajką! Moje dzieci żyją, jestem zdrowa, mam co jeść i gdzie mieszkać. Tylko Michał... Ale co on? Przecież też chciał być szczęśliwy! Dlatego odszedł. Wojtek? Ja? Nam nie wolno było się kochać, nie tak, jak byśmy tego chcieli. A Paweł? Paweł nawet nie wie, czym jest miłość. Dlatego ja teraz śnię... dla niego! Aby się obudziła, abyśmy się razem obudzili.

*

Kac jest przykrym uczuciem. Nawet aspiryna, podana przez Pawła, od razu nie zdziała cuda. I jeszcze ten jego wyraz twarzy! Wygląda jak zbity pies. Nie chcę, aby się tłumaczył. Chcę zapomnieć o tym, co wczoraj powiedział. Po prostu tego chcę.

– Beatko... Beatko.

Zatykam mu dłonią usta. Nie chcę, by mówił.

– Ani ciebie – mówię bardzo powoli – ani Michała ja nie będę sądzić. I wy nie sądzcie mnie!

Zrozumiał. Zabrał szklanekę po aspirynie i poszedł się golić. Zrozumiałam, że odbijam się od dna. Jakiego dna? Przecież nigdy tam nie byłam!

*

Kac powoli mijał. Paweł był milczący. Od Zajazdu pod Kasztanem do Świebodzic powiedział może z dziesięć słów. W tym mieściło się pytanie, gdzie według przewodnika, najlepiej byłoby zacząć zwiedzanie tych okolic. Naprędce przejrzałam kilka stron i zdecydowałam, aby dojechał właśnie do Świebodzic, tam można rozpocząć bardzo spokojną wędrowkę. A czego jak czego, ale spokoju i wyciszenia po nocnych koszmarach bardzo potrzebowałam. Tak w ogóle trochę się dziwiłam, że Paweł nie zarządził szybkiego powrotu do domu. Nawet byłoby to zrozumiałe. Zamiast upojnej nocy były psychodeliczne wspomnienia. Jakoś tak głupio wyszło. Ale rano, gdy się ogolił, a ja wypiałam już drugą rozpuszczoną aspirynę, uśmiechnął się do mnie nieśmiało i zapytał się, czy mam siły i ochotę, aby jednak spędzić weekend w jego towarzystwie. Skinęłam głową, że tak, i zadzwoniłam do chłopców, by powcisnąć im trochę kitu, jak super się bawię... No, mogłabym się bawić jeszcze lepiej.

W Świebodzicach Paweł zaparkował samochód w pobliżu stacji PKP. Trzy razy sprawdzał, czy go zamknął. Gdy był już tego całkowicie pewien, ruszyliśmy szukać czerwonego szlaku. Znaleźliśmy go dość szybko i z przyjemnością wyszliśmy z miasta. Wolnym krokiem spacerowaliśmy pomiędzy ogródkami działkowymi.

Wdychałam rześkie powietrze, przesycone zapachem jaśminu. Czy może raczej późnego bzu albo kaliny? Nie byłam tego pewna, ale co

tam! Najważniejsze, że wszystko wokół pachniało, kwitło i cieszyło mnie swym pięknem. Gdy przeszliśmy przez tory kolejowe, otoczyły nas pola. Czułam, jak resztki alkoholu parują ze mnie. Trochę pociłam się, ale powoli wracałam do zdrowia. Czerwcowe łąki były tak piękne, że wątpiłam, aby Paweł zbytnio interesował się moim wyglądem. Raczej podziwiał wyjątkowo urokliwe okolice. W pewnym momencie, gdy zauważył moje zmęczenie, zatrzymał się nagle, zdjął swoją sztruksową koszulę, rzucił ją na trawę, a potem złapał mnie za rękę i jednym pociągnięciem usadził na niej. Sam położył się na trawie tuż obok mnie i przez dłuższą chwilę gryzł źdźbło kwitnącej trawy.

Poszłam w jego ślady. Wyciągnęłam się na koszuli i tak leżałam, podziwiając płynące po niebie białe chmury. Zastanawiałam się, czy babcia Basia obserwuje mnie z góry. Potem zrobiłam przewrót na brzuch i zaczęłam przyglądać się rosnącym na łące roślinom. Niedaleko nas zauważyłam kępy fioletowo kwitnących dzwonków. Tak je nazwałam. Przypominały mi dzwoneczki rosnące nad rzeką w Zwierzyńcu. Nad nimi brzęczały roje pszczoł. Zbierały nektar. Zaczęłam zazdrościć pszczołom, że w swoim krótkim życiu mają tylko jeden cel – zbieranie nektaru z kwiatów i produkcję miodu. Nikogo nie krzywdzą, chyba że całkiem przypadkiem, gdy kogoś użądla. Ale i same wtedy tracą życie.

Paweł chyba też o tym pomyślał, wypluł przezutą trawę i drapiąc się w nogę, zagadnął mnie:

– Beata? Żałujesz, że mnie poznałaś? No, powiedz prawdę!

– Dlaczego pytasz?

– Zastanawiam się, czy teraz, po tym... co ci powiedziałem, czy nie czujesz do mnie obrzydzenia?

– Czy mówiłam ci, że kochałam się w ciotecznym bracie?

– Z konsumpcją czy bez? – Zaśmiał się szeroko i połaskotał mnie pod kolanem.

– Jasne, że bez konsumpcji! Przecież to by było kazirodztwo!

– Nic nowego w twojej rodzinie... – urwał, ale za późno.

– Tak jak w twojej niszczenie niewinnych ludzi! – Próbowałam poderwać się na równe nogi, ale był szybszy. Złapał mnie w pól i przycisnął do siebie.

– No widzisz! Zło mamy zapisane w genach. A ty, nawet gdybyś

chciała mnie czymś zszokować, to ci się nigdy nie uda. Jesteś tak samo naiwna jak twoja babcia!

Szarpałam się, chciałam, aby mnie puścił. Wbrew pozorom był bardzo silny. Chude, żylaste dłonie ścisnęły mnie z jakąś niehumanitarną siłą.

– Dlatego tak bardzo cię pragnę. – Rozluźnił nieco uścisk, zbliżył swoją twarz do mojej i pocałował. Nie potrafiłam się bronić. Nie chciałam i zarazem chciałam, by mnie całował. Przestał po chwili. Zamiast wstać i odejść jak najdalej od niego, zrobiłam coś zupełnie przeciwnego. Objęłam Pawła za szyję i z dziką furją całowałam go dalej. Teraz ja wtapiałam swoje usta w jego wargi. Oszołomiony, oddawał pocałunki, głaskał mnie po plecach, włosach. Jego ręce błądziły po moim ciele. Nie potrafiłam przestać. Tak, zawsze byłam głupią, naiwną Beatą ze Zwierzyńca. Taką, która ledwie poszła na dziesiątą wieś, od razu traciła głowę i serce. Teraz też, nieważne, że kilkaset kilometrów od Zwierzyńca, tarzałam się w pachnącej trawie na dziesiątej wsi. Babcia Basia miała rację, dziesiąta wieś jest tam, gdzie idziemy bezwiednie, bez zastanowienia. Tylko po to, by stracić serce i spokój. Miała rację. Czułam, że jestem bliska zakochania się w Pawle!

*

– Znów jestem na dziesiątej wsi! – powiedziałam, gdy skończyliśmy się całować. Paweł otworzył oczy ze zdumienia.

– Gdzie jesteś? Na dziesiątej wsi? Ale... ale...

Nie dokończył, podniosłam się i ruszyłam przed siebie. Musiałam ochłonąć, zastanowić się, co dalej. Leżąc dalej na jego koszuli, pewnie poddałabym się emocjom. Tego akurat nie wolno mi było robić.

Szłam w stronę drogi, która wyłoniła się spośród łąk i pól. Za sobą słyszałam kroki Pawła. Właśnie wytrzepał koszulę i próbował dogonić mnie. Zwolniłam trochę. Po chwili poczułam, jak jego dłonie obejmują mnie w pasie i już wiedziałam, że nigdy nie zechcę wrócić z dziesiątej wsi... bez niego.

Szliśmy dość długo zadrzewioną drogą, która łagodnie, ale stanowczo prowadziła nas pod górę. Po jakimś czasie wyszliśmy z doliny i naszym oczom ukazał się Sudecki Uskok Brzeżny, jak doczytałam w przewodniku. Zgodnie z jego wskazówkami spojrzeliśmy

w lewo i zobaczyliśmy tam niemal idealnie płaską równinę, zaburzoną jedynie widocznym w oddali Masywem Ślęzy i Wzgórzami Strzegomskimi. Widok był naprawdę fantastyczny. Było tak, jakby Stwórca nie mógł się zdecydować, jak ukształtować ten teren. Czy zostawić go płaskim, czy też zasypać wzniesieniami? Paweł zauważył, że być może Bóg potknął się i z dłoni wypadły mu góry. Możliwe, że tak było. Widocznie każde potknięcie ma swój cel. Wystarczyło spojrzeć w drugą stronę, gdzie w oddali dostrzegliśmy lekko wznoszącą się krawędź lasu. Patrzyliśmy i patrzyliśmy. Miałam wrażenie, że czas zatrzymał się, a na tym świecie nie było nikogo prócz nas.

Właśnie! Poczulałam nagle wyrzuty sumienia, że przez ostatnie kilka godzin przestałam prawie myśleć o chłopcach. Czy to znaczy, że Paweł jest dla mnie ważniejszy od nich? Nie! Nieprawda! Oni są dla mnie najważniejsi! I tak już musi zostać.

Nie powiedziałam mu jednak tego. Poszliśmy dalej. Minęliśmy ostatnie zabudowania Mokreszowa Górnego. Przeszliśmy obok nich obojętnie. Tak by nie raziły nas swą brzydotą. W okolicach pięknych nic nie powinno być brzydkie. Szczególnie gdy śni się tam swoje sny. A sny, przynajmniej czasami, powinny być piękne. Tak się właśnie czułam. Jakbym przeżywała piękny sen.

Za wsią skręciliśmy w prawo. Chyba zeszliliśmy ze szlaku i powoli szliśmy pod górę. Czas przestał się liczyć. Paweł objął mnie ramieniem, ślimaczym tempem dreptaliśmy przed siebie. Przed nami widoki zmieniały się jak w kalejdoskopie. Za pierwszymi pagórkami, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znaleźliśmy się w sporej dolinie, której zbocza obrastał las. Doszliśmy do niego. Potem, zgodnie z instrukcją w przewodniku, zaczęliśmy szukać Jeziorka Daisy.

Znaleźliśmy je w końcu. Małe, urocze oczko wodne, a na jego brzegu zrujnowane baszty. Usiadłam na gołej ziemi, chociaż Paweł martwił się, czy przypadkiem nie złapię wilka. Jednak gdy zapewniłam go, że wilka, owszem, złapałam, ale nie od zimnej ziemi, tylko po ciąży z Konradem, wtedy Paweł wyzbył się wszelkich skrupułów i sam też usiadł obok mnie. Potem, przytuleni do siebie, podziwialiśmy dzieło pomysłowej księżnej, która stare wapienne wyrobisko kazała zalać wodą, a wapienniki przerobić na romantyczne ruiny. Owszem, całkiem

nieźle to sobie wymyśliła. Mogłabym tak tam siedzieć i siedzieć, do końca świata. O ile, oczywiście, rzeczywistość nie dałaby znać o sobie.

– Mamoooo, co tam porabiacie? – Głos w telefonie bez wątpienia należał do Konrada. Co miałam mu odpowiedzieć?

– Właśnie jesteśmy nad Jeziorkiem Daisy – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Aaaaa, a kto to jest, ta Daisy?

– Opowiem wam, jak wrócimy do domu – ucinam rozmowę, dopytuję się tylko, jak sobie radzą z babcią, zapewniam, że bardzo ich kocham, i delikatnie zauważam, że powinien już zakończyć rozmowę, babcia może się zdenerwować, jak zobaczy rachunek za telefon. Potem jeszcze tysiące całusków, buziaczków i pa, pa, pa. Czyżby takie rozstanie dobrze zrobiło moim synom? Czyżby tęsknili za mną? A nie za Kubą?

– No jasne! – Paweł co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Konrad z Patrykiem to równe chłopaki. I bardzo cię kochają. Ale zanim ty zaczniesz płakać z tęsknoty za swoimi bobaskami, proponuję, abyśmy jeszcze zwiedzili twoją palmiarnię.

– Taka ona moja, jak i twoja! – docinam mu, ale posłusznie idę za nim w stronę Lubiechowa. Znaczący się, chcę wierzyć, że tam dojdziemy. Otaczający nas z każdej strony las raczej nie przypomina palmowego zagajnika, a Pawłowi coraz bardziej szklą się oczy. Mam pewne wątpliwości, czy od oglądania stuletnich palm nie wolałby raczej zboczyć z dróżki i oddać się innym przyjemnościom... zapewne tak, ale jednak panuje nad sobą i idziemy dalej.

Las, przez który wędrujemy, jest mieszany. Z zachwytem patrzę na drzewa iglaste i liściaste. Uwielbiam jedno i drugie, Paweł woli liściaste.

– Kiedyś na szkolnej wycieczce – zebrało mu się na wspomnienia – kiedy szliśmy przez sosnowy zagajnik, nagle zachciało mi się wypróżnić. Zboczyłem z dróżki, schowałem się w małych sosenkach, ale tak skutecznie, że ich igły powłaziły mi w slipki. Potem przez dalszą część spaceru kłuły mnie w tyłek, nie miałem ich jak powyciągać. Dlatego nie znoszę iglastych lasów! Ani sosen, ani świerków...

– A daglezie lubisz? – przerwałam mu wspominki.

– Co?

– Daglezje. Agent Cooper w *Miasteczku Twin Peaks* zachwycał się ich zapachem.

– W Polsce też rosną?

– Jasne, że tak! Nawet tego nie wiesz? – dziwię się.

– Hm, przecież ci mówię, że nie znoszę drzew iglastych...

Przekomarzając się, doszliśmy do Lubiechowa. Krajobraz uległ zmianie. Znow pojawiły się łąki i pola. Po drodze dopytujemy się, czy idziemy w dobrym kierunku. Mijający nas ludzie uśmiechają się łagodnie i pokazują widoczne w oddali budynki, w których znajduje się palmiarnia. Uff! Udało się! Zaraz zobaczę, co tam ciekawego wyhodowano.

Zaraz po wejściu do środka spotyka mnie niespodzianka. Paweł życzy mi miłego wachania, zwiedzania, wdychania i czego tylko sobie zapragnę, a sam idzie do kawiarenki. Stwierdził, że człowiek nie wielbił i pić musi. A jemu chce się natychmiast pysznej, gorącej kawy. Ale obiecał poczekać tam na mnie. Cóż, czego innego można spodziewać się po facecie?

Sama podziwiam stuletnie agawy, palmy i kaktusy. Potem ulegam czarowi kwitnących storczyków. Nie miałam pojęcia, jak są piękne. Tak samo jak drzewka pomarańczowe i różnorodne pnącza. Tego po prostu nie da się opisać. Trzeba koniecznie zobaczyć.

Błąkam się po szklarni i powoli tracę poczucie czasu. Egzotyczne klimaty działają na moją wyobraźnię. Jak cudownie byłoby mieć własną oranżerię. W niej setki kwiatów. Móc postawić tam wiklinowe fotele. Spędzać beztrósko czas.

Oszalałam. Najpierw marzyłam o Starym Parku. Kiedy odzyskał swój dawny (mniej więcej) wygląd dzięki mojemu uporowi, teraz mi się marzy oranżeria. Chyba z braku cukru w organizmie. Nie mam pojęcia, ile już godzin jestem na nogach. Pewnie sporo. Powoli robię się strasznie, ale to strasznie głodna. Do tej pory nie chciało mi się jeść, kac mnie jeszcze trzymał. Jednak kilkugodzinny spacer na świeżym powietrzu dobrze mi zrobił i marzę o szarlotce z bitą śmietaną.

O nie! Myślami wracam do rzeczywistości. Gdzie dziś będziemy nocować? Jakie duchy z przeszłości tym razem nas dopadną? Nie chcę, aby urok wycieczki przysł za wcześnie. Jest tak cudownie, tak beztrósko.

Czuję się prawie jak panienka. Prawie... no właśnie! Nie powinnam się za bardzo zapominać. Te łaskotki, pieszczotki, całuski i przytulania oraz godziny zwierzeń robią się coraz bardziej niebezpieczne. Muszę stać się czujniejsza. W końcu Paweł jest moim szefem, a na dodatek wnukiem tego przekłętego Zefiryndy, i tak do końca nie powinnam mu ufać. Nie wiadomo, co naprawdę chodzi mu po głowie. Babcia zawsze ostrzegęła mnie, że na dziesiątej wsi szybko można głowę stracić. Szkoda tylko, że nie powiedziała mi prawdy, jak to jest, gdy całe życie myśli się o kimś, kogo nie można mieć obok siebie... A może w tym tkwi czar dziesiątej wsi? Marzenia, do których realizacji jest tak blisko, a jednocześnie nieskończenie daleko. Czyżby mnie spotkało coś podobnego?

Chyba tak. Myślę o tym, idąc powoli w kierunku kawiarenki. Co z chłopcami? Wplączę się w romans z Pawłem, zgłupieję dla niego, a co z nimi? Nie są już rozkosznymi maluchami, dla których otwiera się każde serce. Są już prawie nastolatkami, rozkrzyczanymi i bardzo podobnymi do swego ojca. Przecież Paweł nie będzie im tatusiował. Nie ten typ. Niestety! Już wiem, że muszę to skończyć. Nie mogę oszaleć, wystarczy, że Michał tak zrobił. Niestety, ja muszę zostać na swoim miejscu. Obok Patryka i Konrada. Dla Pawła nie ma tam miejsca. Niestety. Jeszcze kilka godzin temu czułam się szczęśliwa i bliska zakochania, a teraz dopadło mnie zwątpienie.

*

Zanim doszłam do stolika, przy którym Paweł pił kawę, miałam wszystko obmyślane. Z wielkim smutkiem rozglądałam się po przeuroczej kawiarni. Jej wystrój przypominał nieco śródziemnomorskie miasteczko, jedno z takich, które podziwiałam w telewizji i żałowałam, że nigdy tam nie pojedę. Ba! Za chwilę pojedę, ale do Zwierzyńca, a nie w szeroki świat!

Wiedział, że kłamię. Wiedział na pewno. Mienił się na twarzy, gdy tłumaczyłam mu, że Patryk z Konradem zadzwonili do mnie, akurat wtedy kiedy stałam i podziwiałam stuletnią agawę.

– Oni naprawdę chcą, abym wróciła do domu i resztę weekendu spędziła z nimi – starałam się mówić z głębokim przekonaniem. – Paweł, oni są jeszcze dziećmi! Moimi synami. I mają tylko mnie.

– A ty?

– Ja mam tylko ich. – Powinam dodać, że i ciebie Pawle, ale tego nie zrobiłam. – Dlatego Książ, arboretum i wszystkie inne cuda mogą poczekać, ale moi synowie nie powinni na mnie czekać.

– Dobrze! – przerwał mi. – Tylko musimy załatwić tu jeszcze jedną ważną sprawę. Ona już nie może czekać! Za długo czeka... stanowczo za długo!

Wróciliśmy do Świebodzic. Skoda octavia stała nienaruszona. Paweł głęboko odetchnął, gdy do niej wsiedliśmy. Prawdziwy z niego facet. Najważniejszy jest dla niego samochód.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

– Do Walimia. Szukać ducha Stacha.

– Ale po co?

– Będzie mi potrzebny jako świadek.

– Czego?

– Wkrótce się dowiesz!

*

Nie znaleźliśmy go na cmentarzu. Może dlatego, że wieczór się zbliżał i zmrok gdzieś skrył jego grób? Może w ogóle nie był tam pochowany? Przecież ciotka Zośka mówiła, że umarł u bratanicy w Wałbrzychu.

Poszliśmy pod kościół. Paweł uznał, że duch księdza Stanisława też może się tu błąkać, więc jest to dobre miejsce, aby zakończył pewną sprawę.

Stałam i patrzyłam na niego. Nie wiedziałam, co chce zrobić. Czekałam. Po raz kolejny w życiu czekałam, aż mężczyzna coś zrobi. Widocznie do tego jestem stworzona, do wiecznego czekania.

Podszedł do mnie i przytulił się. Tak mocno, aż mnie zabołało. Miałam wrażenie, że jakby mógł, cały schowałby się we mnie, ale nie mógł, dlatego rozluźnił uścisk i zaczął mówić:

– Zrobiła to dopiero po moim powrocie z odwyku. Nie wiem, skąd się dowiedziała... no, o Malwinie, ale jednak wiedziała. – Zamyślił się.

– Wszedłem wtedy do domu. Chciałem się z nią przywitać, przytulić albo chociaż porozmawiać, a ona rzuciła we mnie paczką z tymi listami.

Zaczęła krzyczeć, że jestem taki sam jak jej ojciec, Zefiryń, że potrafię tylko siać zniszczenie wokół siebie. Nie bardzo wiedziałem, o co jej chodzi. Po śmierci Malwiny tak się naćpałem, że zasłabłem na ulicy. Ktoś wezwał karetkę. Gdy się ocknąłem, leżałem przywiązany pasami do łóżka. Byłem na oddziale psychiatrycznym na odtruciu. Potem zgodziłem się na odwyk. – Głos zaczął mu się łamać! – Nagle przestraszyłem się śmierci. Po wszystkim chciałem wrócić do matki i do Edyty. O studiach nawet nie myślałem, nie zastanawiałem się, co dalej. Chciałem tylko żyć.

– Udało cię się, Pawle, udało! – Trzymam go za rękę i chcę, aby uwierzył w moje słowa.

– Tak, ale tylko dzięki niej. Rzuciła we mnie tymi listami i zaczęła swoją okrutną spowiedź. Nienawidziła Zefiryń, znęcał się nad matką, nad ślepą ciotką, nad nimi. Uważał się za Boga albo jeszcze kogoś ważniejszego. W Starszym Folwarku wszyscy omijali ich szerokim łukiem, każdy bał się, aby jej ojciec nie doniósł na niego, tak jak na twojego dziadka.

– Jednak to on... wtedy... o tych dębach?

– Tak. Tak powiedziała mama. Zefiryń widział, jak Cichy z innymi chłopami wycinają olbrzymi dąb w waszym lesie. Trochę poniuchał, podsłuchał i domyślił się reszty. Doniósł na milicję, podał miejsce, czas, wszystko.

– Ale dlaczego?

– Tego mama nie wiedziała. Ale nie mogła mu wybaczyć, bardzo lubiła twoją babcię i jej dzieciaki. Przez następne cztery zimy słyszała, jak bardzo ciężko im się żyje, gdy ojciec siedzi w więzieniu. Tak samo jak z księżmi, po prostu ich nienawidził. A szczególnie Stacha. W szkole nikt z nią i wujem Szymonem nie chciał się bawić, wszyscy się bali. Tylko czasami, jak nikt nie widział, dzieciaki od Cichych przybiegały do Starego Parku i wtedy mogła z nimi ganiać. Ale rzadko, Zefiryń nie znosił, jak ktoś wchodził na jego ziemię.

– A listy? Skąd je miała?

– Kiedy rzuciła nimi we mnie, powiedziała, abym sobie poczytał, czym jest ciężkie życie, skoro go nie doświadczyłem na własnej skórze. Dodała jeszcze, że powinienem je znać, przecież ukradł je dziadek

Zefiryń, a skoro tak się do niego upodobiłem... może dokończę to, czego on nie zdążył.

– Nie rozumiem? Co chciał z nimi zrobić?

– Publicznie odczytać w kościele albo pokazać twojemu dziadkowi. Przynajmniej tak chwalił się w domu. Mama go podsłuchiwała i przeraziła się, że jej ojciec znów zrobi coś strasznego. Dlatego gdy wyszedł do obory, zabrała listy z jego szuflady.

– A Zefiryń?

– Skatował ją, Szymona i matkę też. Chciał, by oddali mu listy. Mama powiedziała, że je spaliła. Uwierzył. Odgrażał się, że ich wszystkich pozabija. Kilka dni potem ktoś go bardzo mocno pobił i dostał wstrząśnienia mózgu, a pewnie i innego poważnego urazu. Tydzień później zmarł.

Wtedy mama postanowiła, że ucieknie z domu, by nigdy nie widzieć tego przeklętego miejsca, zastraszonej matki, która nawet po śmierci Zefiryńa nie przestała bać się ludzi.

Gdy już ułożyła sobie życie, miała marzenia... ale jej syn... jej własny, rodzony syn okazał się takim samym okrutnikiem jak jej ojciec! Wyklęła mnie wtedy. Krzyczała, że nie chce mnie widzieć na oczy. Nie chce nawet myśleć, co zrobiłem tamtej dziewczynie. Że mnie nienawidzi i żałuje, że mnie urodziła. Nie mogła sobie wybaczyć, że przez nią inna matka straciła swoje dziecko. Powiedziała też, dobrze pamiętam, że źle jest być matką ofiary, ale jeszcze gorzej być matką kata. Na koniec dodała, że zazdrości mojemu biologicznemu ojcu, który mnie nie uznał.

Siedziałem jak zbity pies na podłodze. Ona cały czas krzyczała i płakała. Siedziałem tam i w dłoniach trzymałem paczuszkę z listami. Nie wiem dlaczego, ale z całej siły ścisnąłem je i czekałem, co matka zrobi ze mną, ze swoim synem.

Skończyła. Uspokoila się trochę. Usiadła na fotelu i wydała wyrok.

Powiedziała, że najchętniej by mnie zabiła, ale nie zrobi tego, nie da mi najłżejszej z możliwych kar. Zatem wymyśliła lepszą. Poinformowała mnie, że w czasie gdy byłem na odwyku, zmarł jej brat. I ona odziedziczyła ten przeklęty dom w Starszym Folwarku. Podjęła decyzję, że notarialnie podaruje mi wszystko, co tam jest: ziemię, budynki, sprzęt rolniczy. Mogę sobie z tym zrobić, co mi się podoba.

Mogę sprzedać albo tam zamieszkać, tylko mam zejść jej z oczu, dłużej nie może na mnie patrzeć. Zaznaczyła, że akt notarialny jest ostatnią rzeczą w jej życiu, którą mi da. Wszystko inne, co ma w Warszawie, zapisała mojej siostrze.

Kazała mi się spakować i jeszcze tego samego dnia wyprowadzić z domu. Nawet nie pożegnałem się z Edytą, była wtedy na kampusie studenckim w Międzyzdrojach. Wyszedłem z domu z jedną torbą i paczuszką listów. Gdy zamykałem za sobą drzwi, usłyszałem, jak moja matka cichym głosem powiedziała, że mimo wszystko życzy mi, abym na dziesiątej wsi odnalazł spokój. Nie zrozumiałem jej wtedy...

Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Chciałem iść na cmentarz, do Malwiny, ale się bałem. Nie miałem już innych znajomych oprócz narkomanów, a do nich nie chciałem wracać. Kręciłem się bez celu wokół Pałacu Kultury. Wreszcie, bezwiednie, zszedłem do podziemi dworca. Akurat podjechał pociąg do Skierniewic. Wsiadłem do niego. U konduktora kupiłem bilet do Żyrardowa. Tylko tyle wiedziałem, że trzeba dojechać do Żyrardowa, a potem dopytać się, gdzie jest ten Starszy Folwark.

– Na dziesiątej wsi – szepnęłam mu do ucha.

– Tak, nowe życie znalazłem na dziesiątej wsi... licząc od Żyrardowa.

– A listy?

– Cały czas miałem je przy sobie. Zacząłem czytać w pociągu. Najpierw śmiałem się, głupie wydawało mi się to pisanie o dzieciach, krowach, borsukach i jakiejś dziesiątej wsi. A potem, gdy raz za razem wracałem do tych listów, za każdym razem odnajdywałem tam coś nowego. Jakaś niezwykłą i niezrozumiałą potrzebę pisania u tej kobiety. I te jej zwroty: „Mój”, „Mojemu”, „Mojego”... Nigdy nie napisała, jak jej mąż miał na imię.

– Jan, dziadek miał na imię Jan.

– Wiem. Po jakimś czasie poszedłem na cmentarz, zapaliłem znicze na grobie Zefiryńna, babci i wuja Szymona. Potem zacząłem chodzić po cmentarzu i szukać grobu lub grobów Cichych. Znalazłem go. Byłem pewien, że to ten. Na tablicy widniało: Filipek, żył cztery miesiące, Jan i Barbara Cichy... i była tam jeszcze jedna mała

tabliczka... dziecka... Kasi, ale nie Cichej.

– To córeczka Wojtka. Nie mieli gdzie jej pochować, a moi rodzice zgodzili się, aby spoczęła razem ze swoimi dziadkami. Mówili, że oni jeszcze trochę mają zamiar pożyć, potem też ich tam z Kubą pochowamy. – Łzy same zaczynają płynąć po mojej twarzy. – Ale nie pożyli i musieliśmy wykupić nową kwaterę w drugiej części cmentarza, w tym grobie już nie było miejsca.

Paweł scałowywał łzy z moich policzków, głaskał po włosach, przytulał. Tak bardzo chciałam, aby został ze mną już na zawsze. A przecież nie było to takie proste. W Zwierzyńcu byli moi synkowie. Moje chcenie, by mnie ktoś kochał, nie było ich chceniem. Powiedziałam mu to.

– Beatko, ja wszystko rozumiem! Dlatego chciałem spędzić z tobą kilka chwil sam na sam. Na rozmowy z chłopcami jeszcze przyjdzie czas. Nie musimy się śpieszyć. Naprawdę nigdzie już się nam nie śpieszy!

Miał rację. Nigdzie się nam nie śpieszyło.

Mnie już nie cykał zegar biologiczny. Miałam dzieci i nie zamierzałam mieć ich więcej. Pracowaliśmy razem i mogliśmy być ze sobą aż do znudzenia. Jasne, że wołałabym budzić się i zasypiać we wspólnym łóżku. Robić wspólne zakupy, planować niedzielny obiad i ustalać płodozmian na rok następny. Jednak najpierw musieliśmy pomyśleć o uczuciach dwóch małych chłopców. Zastanowić się, czy gotowi są na następne poważne zmiany w ich życiu. Obawiałam się, że nie są gotowi i jeszcze długo nie będą. Dlatego postanowiłam wrócić do domu, zanim zrobię coś, czego nie będę potrafiła już odkręcić.

A moje uczucia? One nie były najważniejsze. Babcia Basia przeżyła całe życie z niekochanym facetem. Mogła? Pewnie, że mogła! Ja też mogę czekać, aż chłopcy trochę podrosną.

*

– Beata! Beata? Słyszysz mnie?

Ocknęłam się. Cały czas stał obok mnie. Na dworze zrobiło się prawie ciemno. Paweł stał i na coś czekał. A! Chciał przecież zakończyć pewną sprawę, a potem mieliśmy wracać do domu.

– Jestem! Jestem! Coś chcesz?

– Chcę zakończyć sprawę dziadka Zefiry.

– Tu?

– Właśnie tu, w Walimiu, gdzie przez niego musiał na wygnaniu mieszkać Stach. – Był bardzo poważny, gdy to mówił. – Nie wiem, czy wiesz, ale jakiś czas temu w Starym Parku był geodeta i wytyczył działkę koło niego.

– Wiem. Widziałam go tam. Akurat robiłam opryski zielska, gdy się tam zaczął kręcić. Powiedział, że go wynajęłaś. Domyślałam się, że chcesz sprzedać Stary Park, prawda?

– Nie do końca. Beata, ja chcę zakończyć tę sprawę z listami... tak jak chciała mama.

– A co ma z tym wspólnego Stary Park? – Już nic z tego nie rozumiałam.

– Ma całkiem sporo. Słuchaj, geodeta wytyczył działkę, sporą działkę, cały park i ziemię, na której w tamtym roku rósł owies. Będzie tego ponad dwa hektary. Zadzwoiłem do mojej mamy i zapytałem...

– Głos mu się łamał, tak jak ciotce Zośce, gdy wyznawała mi prawdę o Wojtku. – Zapytałem, czy miałyby coś przeciwko temu, gdybym ziemię podarował wnuczce pani Cichej.

Nie wierzyłam własnym uszom!

– I co? Co ci mama powiedziała?

– Powiedziała, że bardzo by się ucieszyła, gdybyśmy my, Zarządcy, w ramach zadośćuczynienia zrobili coś dla was, Cichych. Byłem u notariusza, mam sporządzony akt darowizny dla ciebie. Jak wrócimy do Starszego Folwarku, dam ci go.

– Ale...

– Beata! Dobrze wiesz, ile wart jest ten kawał ziemi. Pomyśl o chłopcach, może któryś będzie chciał wybudować sobie dom obok Starego Parku? Kto wie?

– Ale on jest twój.

– Nie. Jest twój od zawsze. Ty go kochałaś, a dla mnie niewiele znaczy... tylko kilka drzew i krzaczorów... nic więcej. Dzięki temu, że wreszcie zrobiłem coś dobrego, może znów... znów będę miał jakąś rodzinę, kto wie? Nie dziękuj! Ja ci jeszcze nie podziękowałem za tamtą

anginę, no wiesz.

– Wiem.

– Zatem sprawę zakończyłem! Mam nadzieję, że duch Stacha wszystko słyszał i widział, i powtórzy Basi – zażartował. – Teraz pakuj się do samochodu i wracamy do domu. Gdzieś tak nad ranem powinniśmy dojechać. I nic się nie martw! Mamy jeszcze sporo czasu, by jakoś ułożyć nasze życie. Nie trzeba się spieszyć. Nie trzeba.

*

– Pierwszy raz cieszę się na widok tej rośliny. – Palcem wskazałam widoczną z oddali plantację kukurydzy w Zwierzyńcu. – Myślałam, że nigdy się nie pogodzę ze zmianami, jakie po śmierci rodziców w naszym gospodarstwie wprowadził Kuba, ale teraz... myślę, że może to i dobrze, że jest taki...

– ...nowoczesny? Postępowy? Rolnik na czasie? – podpowiedział Paweł, gdy zjechaliśmy z asfaltu na leszówkę prowadzącą wprost do Zwierzyńca.

– Niespoglądający wstecz... w przeszłość. Myślisz, że on się czegoś domyśla, że ty i ja, że my...

– Myślę, że tak. W końcu jest dorosły i rozumie, że taka kobieta jak ty na dłuższą metę nie może być sama. Zresztą zaraz się przekonamy, jak nas powita...

Paweł zamilkł w pół zdania. Właśnie wjechaliśmy na podwórko, po którym, mimo wczesnej pory, krzątał się już Kuba. Wystarczyło jedno spojrzenie zza szyby na grymas, jaki pojawił się na jego twarzy na widok wjeżdżającego na podwórko samochodu, abyśmy oboje przestali oczekiwać radosnego powitania. Nie zdążyłam jeszcze odpiąć pasów, a Kuba z wściekłą miną był już przy zaparkowanym samochodzie.

– O co ci chodzi? Nie cieszysz się na nasz widok? – Paweł, chcąc uprzedzić słowny atak Kuby, szybko wypiął się z pasa i wysiadł z samochodu, w momencie gdy ten już miał wylać z siebie potok przekleństw pod naszym adresem. Najwidoczniej pytania, jakie usłyszał, na chwilę zamknęły mu usta. Kuba nie odpowiedział od razu. Stał w milczeniu i przyglądał się, jak wysiadam z samochodu. Speszona nie wiedziałam, jak się zachować. Obawiałam się, że za chwilę usłyszę od

brata, że mam się pakować i wynosić, dlatego nawet torebkę zostawiłam w samochodzie.

– Cieszę się. – Kuba wreszcie przemówił. – Cieszę się, nawet bardzo się cieszę, że widzę cię, Beato... żywą. Chyba miałaś więcej szczęścia niż właścicielka tego... – Kuba znów zamilkł i tylko głośno przełykał ślinę.

– Kuba! Czyś ty oszalał? Dlaczego miałabym nie żyć? – Miałam wrażenie, że pod moją nieobecność coś niedobrego stało się z moim bratem. Zawsze był mrukowaty i oschły, ale nigdy tak absurdalnie się nie zachowywał. Szczególnie w obecności Pawła.

– O to możesz zapytać jego. – Kuba obrócił się w stronę Pawła i z nieukrywaną nienawiścią popatrzył mu w oczy. – Aha... a odkąd ty lubisz czesać się w warkocz? Możesz mi to wytłumaczyć?

Odruchowo złapałam się za spływający po moich plecach warkocz, który na ostatnim postojach zaplótł mi Paweł. Nie wiedziałam, dlaczego Kuba czepia się nawet tego uczesania.

– Nie... nie tłumacz! Nic mi nie mów! Przynajmniej zanim nie zabiję tego... tego... zbrojnego! Mordercy! I pewnie jeszcze gwałciciela!

Paweł stał bez ruchu. Milczał poblądły i zaskoczony.

– Paweł! Powiedz coś! Powiedz mu coś! – Nagle zaczęłam szlochać. Byłam kompletnie zdezorientowana. Nie wiedziałam, z jakiego powodu Kuba mówił takie straszne rzeczy. Nie rozumiałam też milczenia Pawła, który wyglądał tak, jakby zobaczył upióra.

– Nic ci nie powie! A jeśli powie, to skłamię. Zresztą, co ci może powiedzieć? Tacy jak on milczą. Tacy jak on tylko działają... folgują swoim chorym żądzom, a potem udają, że nic się nie stało. Zresztą coś ci pokażę, tylko... chodź do domu. Boję się, żeby on ci czegoś nie zrobił.

Kuba złapał mnie za rękę. Bezwolnie poszłam za nim w stronę domu. Co krok odwracałam głowę do Pawła, który nadal stał przy samochodzie.

Dlaczego on milczał? Nie mogłam zrozumieć. Niczego zresztą z tej sytuacji nie rozumiałam.

*

– Zobacz! – Kuba z triumfem w głosie sięgnął ręką po coś do reklamówki. – Znalazłem to w jego domu. Zresztą nie tylko to. Kilka twoich osobistych rzeczy też. Jak myślisz, co zrobił z ciałem?

Miałam nadzieję, że wszystko mi się tylko śni. Najpierw zobaczyłam, jak Kuba wyjmuje z reklamówki jedną po drugiej moje szkolne nagrody, których przecież tak długo szukałam. Potem pomachał mi przed nosem zaginionymi czarnymi majtkami, a na końcu patrzyłam na dyndający w dłoniach brata długi czarny warkocz nierówno ucięty u nasady głowy. Patrzyłam i czułam, że wiem, że znam, że już gdzieś widziałam taki sam albo podobny.

– On ci się kazał tak uczesać? – Głos Kuby przywrócił mnie do rzeczywistości. – Nigdy wcześniej nie plotłaś warkoczy.

– Tak. Paweł mnie o to poprosił na postoju, na stacji benzynowej. Zapytał, czy pozwolę mu zapleść warkocz...

– Zbok! Zboczeniec! Zabiję go! – wrzasnął Kuba i rzucając warkocz na podłogę, wybiegł z domu. Pochyliłam się i podniosłam splecione włosy. Jak zahipnotyzowana przyglądałam się im, zastanawiając się, kim była ich właścicielka i... co Paweł jej zrobił.

1 Zakłady Lniarskie w Żyrardowie.

2 *Polska na weekend*. Wydawnictwo Pascal, 1999, s. 531.

3 Jennifer Lynch, *Sekretny dziennik Laury Palmer*. Wydawnictwo Fis, Lublin 1990, s. 202.

Spis treści

CZEŚĆ I. Kukurydza CZEŚĆ II. Listy z dziesiątej wsi CZEŚĆ III.
Warkocz

